

Marek Nowakowski

POWIDOKI

CHŁOPCY Z TAMTYCH LAT

1. RZEKA

Miasto zawsze dzieliła rzeka i to lewobrzeżne było ważniejsze, a dzielnice na drugim brzegu żyły swoim odrębnym rytmem i na przykład ci z Pragi przekraczając most, powiadali — jedziemy do Warszawy. W tych słowach brzmiała zapowiedź wyprawy. Wcale to nie przesada. Po jednej stronie był wschód nie tylko w znaczeniu geograficznym, po drugiej zaś mocniej zawiewało Europą. Od niepamiętnych czasów brzegi naszej królowej rzek, Wisły, stanowiły samoistne obszary. Rzeka była nie uregulowana i jej kapryśny nurt oraz wiosenny przybór wód tworzyły wiele mielizn, łąk i wysp. Jedną z tych wysepek rzeczno-archipelagu żulia z Czerniakowa nazwała wyspą Arara i latem podążano tam wplaw na łotrzykowskie konwentykle. Po praskiej znów stronie bliżej Żerania była łąka nazwana Pawią Wyspą z powodu hucznych libacji wieńczonych z reguły „pawiem”. Dostyc znane określenie wybuchu z przeładowanego napojami wyskokowymi organizmu.

Nadrzeczne łąki często zalewała woda i powstawały dzikie, zarośnięte wikliną obszary. Dużo się tutaj działo i chaszcze ukrywały nadrzeczne życie przed okiem niepowołanych intruzów. W tych ostępach odbywały się miłosne spotkania, libacje, przestępcze samosady. Nierzadko po zimie w jakiejś zapadlinie czy jamie odkrywano ludzkie zwłoki trudne do identyfikacji.

Noclegiem dla włóczęgów bywały zabudowania żeglarskich przystani: baraki, magazyny, hangary do składowania łodzi, które gęsto obrosły przede wszystkim prawy brzeg. Wynurzali się stamtąd o świcie brudni, zarośnięci osobnicy i z utęsknieniem oczekiwali słońca.

Rzeka dzieląc miasto na dwie oddalone od siebie części dawała jego mieszkańcom szansę ucieczki, spokoju i wytchnienia od udreń codziennej egzystencji. Pokolenie za pokoleniem wystawiali nad jej brzegami cierpliwi rybacy. Jeszcze w latach 50. ryby, które łowili były jadalne. W miarę upływu lat wody rzeki przyjmując w swoje koryto tony nieczystości ze ścieków miasta i jego okolic stały się mętne, brudne, zatrute i upalnym latem od wody bił fetor jak z szamba. Jednak rybacy dalej uprawiali swój refleksyjny proceder. Łowili ryby już raczej dla czystej, zgoła abstrakcyjnej sztuki i niezatartym wspomnieniem pozostał dla mnie widok dwóch ludzi nad rzeką. Jeden był bardzo stary. Drugi bardzo młody. Starzec wtajemniczał chłopca, może wnuczka, w arkana ustawiania szałwika, ciężarka, nabijania chleba czy kartofla na haczyk i umiejętnego zarzucania żyłki wędziskiem na wodę. Wobec nowoczesnego sprzętu wędkarskiego i współczesnych sposobów był to kunszt archaiczny, tradycyjny. Pewno dziś jego wnuk korzysta ze spinninga, automatycznego kołowrotka i innych ułatwień. Kiedyś także widziałem dwóch rybaków, mężczyzn w sile wieku, którzy rozstawiając kilka wędek na brzegu między kamieniami raczyli się wódką z butelki i szczyrzykiem wydziobywali z puszki szproty lub skumbrie w pomidorach. Za nimi stał brudny, wyłysiały bocian w typowej swej pozycji na jednej nodze. Czasem sucho klekotał długim, czarnym dziobem. Rzucali mu wtedy jakieś resztki. Zbierał je skrzętnie. Oswojony bocian! Okulawiony, z przetrąconym skrzydłem, wyrzucony z gniazda. Jeden z mężczyzn znalazł go, wychował?

Rzeka dawała chleb dynastiom wiślanych piaskarzy. Cieszyli się oni opinią chłopów na schwał i niekiedy dawali pokaz swych możliwości. Przeważnie zdarzało się to podczas zabaw u Wedla po tamtej, praskiej stronie. Port czerniakowski i ten po drugiej stronie wykształciły kastę wodniaków, bosmanów, sterników, majtków, mechaników. Nosili oni chętnie pasiaste, marynarskie koszulki i okrągłe, granatowe czapki z lakierowanymi daszkami, ozdobione emblematem rzecznej żeglugi. Tak samo jak piaskarze nie dawali sobie dmuchać w kaszę i do późnej jesieni mieszkali na berlinkach, holownikach, pogłębiarkach i barkasach.

W naszym zmaltretowanym mieście rzeka spełnia niebagatelną rolę estetyczną. Cieszy oko i nieraz chwytą człowieka nagła ochota, żeby pójść jej brzegami przed siebie. Można patrzeć na żółte łąchy, śnieżne stada mew. Tak pięknie wschodzi słońce, wznosząc się po czarodziejsku ponad wieże kościoła św. Floriana, baniaste kopuły cerkwi i korony drzew. A jeżeli spacerujemy po prawobrzeżnej stronie, to spoglądamy na masyw zamku i staromiejską zabudowę, za którą osuwa się zachodzące słońce.

Jeszcze do niedawna pływały statki wycieczkowe do Młocin. A bardzo dawno temu popłynąłem sobie statkiem do Płocka. Skończyły się te długie rejsy. Koryto nie pogłębiane, zmienny nurt, pełno zdradliwych płycizn. Rzeka jednak żyje nadal i, mimo że miasto napiera z dwóch stron, zachowała swą niezależność. W jej mętnej, brudnej wodzie zaklęta została resztką smaku swobody i tak dziwnie jakoś pociąga obserwacja kawałka drewna czy patyka, który płynie z prądem. Skąd płynie? Dokąd? To miało i ma swój czar.

Piszący te słowa przeczytał gdzieś to, co powiedział pod koniec tamtego wieku w rozmowie ze Stanisławem Witkiewiczem Szalom Asz, znakomity pisarz żydowski.

Powiedział on tak: „Co mi tam Jordan! Wisłych to jest moje rzeki! W niej przez tyle setek lat odbijały się światelka naszych szabasowych świec.”

2. TAK SIĘ ZACZYNAŁO

Ledwie skończyła się okupacja, mój ojciec w porywie przywracania ciągłości wydobyl z ukrycia popiersie Józefa Piłsudskiego. Spoczywał Marszałek przez lata całe pod stosem węgla w piwnicy i przy pomocy woźnego Żalimasa ojciec odczyścił jego marsowe oblicze, maciejówkę i pierś w kurtce bez odznaczeń. Postawili w korytarzu na parterze szkolnego budynku. Na starym miejscu. Szkoła była przecież Jego imienia. Niedługo trwał ten przywrócony stan rzeczy. Któregoś wieczoru odwiedził niesłużbowo mego ojca Roman T., komendant nowo powstałej milicji, przedwojenny jego uczeń. Poszeptali, poszeptali. Ojciec zasmucił się, lecz zastosował się do życzliwej rady byłego ucznia. Znow przy pomocy woźnego Żalimasa schował Marszałka pod węgiel.

W tym czasie do pałacyku w parku powrócili prawowici właściciele. Pałacyk podczas okupacji zajmowali Niemcy. Niedługo jednak stary pan K. i jego rodzina cieszyli się odzyskaną nieruchomością. Wykwaterowano ich stamtąd i pałacyk przeznaczony został na siedzibę urzędu bezpieczeństwa i o jego piwnicy zaczęto opowiadać różne historie.

— Zaczyna się — powiedziała moja matka.

Ojciec nadal pozostał niepoprawnym optymistą i tak samo jak przed wojną zorganizował zabawę,

/, której dochód został podzielony po polowie na budowę szkoły i kościoła,

Tak czynili zawsze przed wojną) z księdzem proboszczem, który wrócił z obozu koncentracyjnego i na przedramieniu miał wytatuowany niebieski numer. Obaj nie porzucili swych ambitnych zamiarów. Ojciec feęgnął dobudować jeszcze jedno skrzydło do budynku szkolnego, ksiądz proboszcz zaś wznieść drugą wieżę kościoła, ledwo zaczęty przed wojną. W jego marzeniu kościół miał dominować nad całym miasteczkiem o niskiej, w przewadze jednopiętrowej, kolejarsko-robotniczej zabudowie. Do drugiej wspólnej zabawy już nic doszło. Znów pewien życzliwy człowiek (tym razem ojciec ucznia, który został aktywistą PPR-u) ostrzegł przed groźnymi konsekwencjami ulegania wpływom klerykalizmu. Odbyła się druga i trzecia zabawa, Już tylko pod hasłem budowy szkoły. Wpływami z biletów i bufetu potajemnie podzielił się ojciec z księdzem proboszczem. Jednak instytucja donosów zaczęła już funkcjonować i sprawa się wydała. Zjechała specjalna komisja z kuratorium, towarzyszył jej ponury osobnik w mundurze wojskowym. W wyniku prac tego zespołu mój ojciec został zdjęty ze stanowiska kierownika szkoły.

Doigrałeś się — powiedziała matka.

Ojciec zajął się korepetycjami.

Zaraz po wojnie także odrodził się jak Feniks z popiołów dawny klub sportowy „Przyszłość” i znów drużyna piłki nożnej zaczęła odnosić sukcesy. Gwiazdą doborowej jedenastki był lewy napastnik, Longin Sypuła. Większość składu drużyny byli to jego koledzy z Szarych Szeregów, z zastępu, którego zastępowym podczas okupacji był Lonek właśnie.

Na nic jednak się nie zdały sukcesy wspaniałej jedenastki, pierwsze miejsce w turnieju Muzowska i nagroda w postaci kryształowego pucharu ze złoceniami. Bo oto w bardzo wpływowej gazecie codziennej ukazał się artykuł o obcym reakcyjnym elemencie, który opanował klub sportowy „Przyszłość”. O lewoskrzydłowym zaś napastniku, ulubieńcu publiczności, napisano tak;

Longin Sypuła, notoryczny pijak, pasożyt, syn właściciela składu paszy, co jednoznacznie określało jego obce pochodzenie.

W wyniku demaskatorskiej enuncjacji prasowej nastąpił pogrom w drużynie. Czystka, tak się później mówiło. Kolejny ważny mecz jedenastka piłkarska w nowym składzie przegrała sromotnie. Szło nowe.

3. ŚWIECZKA!

Mówi Ziutek Kogut: — Szliśmy na powstanie. Ja, czyli Kadryl, Lonek, czyli Tygrys i Jurek Kowalski, czyli Katon. Takie pscuda mieliśmy w Szarych Szeregach. Powstanie wybuchło kilka dni temu. Mój starszy brat walczył gdzieś na Woli. My też chcieliśmy walczyć, Jak to chłopaki. Mieliśmy po piętnaście, szesnaście lat. Lonek był najstarszy. Doszliśmy do Grójeckiej przy placu Narutowicza i tam dopadła nas feldżandarmeria. Jechali ciężarówką, Zatrzymali się, wyskakują i otaczają nas z bronią gotową do strzału.

- Haiti

Pytają, dokąd idziemy.

— Do cioci — mówi Lonek.

Najstarszy rangą, chyba feldfebel, coś zawarczał. Kopniakami wpędzili nas do ciężarówki i zawieźli na Filtrową. Tam już odbywał się rabunek. Powstanie na Ochocie upadło najwcześniej. Trupy leżą na chodnikach. Ludzi wypędzają z piwnic i ustawiają pod ścianą. Ten feldfebel, wściekły pies, też chciał nas pod ścianę. Ale drugi żandarm, Ślązak, powstrzymał go w ostatniej chwili. Poszwargotali i feldfebel machnął ręką. Wzięli nas ze sobą. Buszowali po mieszkaniach i szabrowali. Pomagaliśmy im do ciężarówek znosić. Walili kolbami, nieźle byli ochlani. Po pewnym czasie jakby przyzwyczaili się do nas. Szczególnie ten Ślązak. Rozmawiał z nami po polsku śląską gwara. Czekoladę nam dał. Tylko ten feldfebel wilkiem na nas patrzył. Bydlak taki, czerwona mordą, kłął. Najbardziej był pazerny na szabrowanie. Po szufladach, różnych schowkach szperał. Blitu szukał. Ściany opukiwał, klepki z podłogi zrywał. W jednej willi, to była boczna uliczka od Filtrowej, wyciągnął futro z szafy. Pelisa z bobrowym kołnierzem. Przymierzył, obejrzał się w lustrze. Pasowała na niego. Zęby do lustra wyszczerzył.

— Schttt — powiada i patrzy na nas.

Przytaknęliśmy. Po plecach mnie poklepał i w policzek szczypnął. Zadowolony. Oswoił się z nami. My też się poczuiliśmy. Znalazłem gdzieś rakiety tenisowe. Wziąłem. Pozwolili. Lonek jakąś ciupagę z mosiężną siekierką, pięknie obitą blaszkami. Tylko Jurek, czyli Katon, nic nie chciał brać.

— Cudza własność — powiedział. — Nic będę tak samo jak szkopy postępował.

Istny Katon,

Nadźwigaliśmy się przy tych żandarmach. Całą ciężarówkę załadowali. Podjechaliśmy pod Dworzec Zachodni. Kazali nam wysiadać i iść przed siebie. Nie pozwolili oglądać się do tyłu.

— Trzeba żegnać się z życiem — mówi Lonek.

— Wygląda na to, że nas rozwałą — zgodził się Jurek Kowalski.

Przeżegnałem się. Jurek Kowalski też. Ja z raketami. Lonek z ciupagą. Nie rzuciliśmy. Ściskamy w rękach. I tuk idziemy na sztywnych nogach. Przeszliśmy kilkadziesiąt metrów i oglądaliśmy się za siebie ostrożnie. Nic ma już ciężarówki. Odjechali. Od Zachodniego poszliśmy polami do Włoch... Rozkoszy było słuchać Ziutek! Ten warszawski akcent, zmiękczenie spółgłosek. Tę powiedzonka. Ziutek Kogut jeszcze raz próbował dojść do powstania. Nic udało mu się. Zgarnęli go

na Woli. Zamknęli w kolejowym wagonie. Takich jak on i starszych było kilkudziesięciu. Pędzili ich do kopania umocnień dla artylerii, która ostrzeliwała Sowietów po drugiej stronie Wisły. Po miesiącu udało mu się zbiec.

Za trzecim razem dotarł do Puszczy Kampinoskiej. Tam była duża koncentracja oddziałów AK. Pamięta nazwę zgrupowania „Jerzyki”. Powstanie już dogasało. W Kampinosie siedział dwa tygodnie. Były potyczki z Kałmukami. Oni otaczali puszcę i nie dopuszczali do Warszawy.

— Kałmuki to też byli patrioci — powiada Ziutek Kogut. — Postawili na Hitlera przeciw Stalinowi.

Stoczyli dużą bitwę pod Jaktorowem. Był łącznikiem na szczeblu plutonu.

Teraz skończył 65 lat i rozpoczął starania o rentę ze względu na stan zdrowia. Komisje lekarskie, dużo łażenia po urzędach, zbieranie zaświadczeń. Obracając w palcach małą, niebieską legitymację kombatantów AK, powiada:

— Życie jest jak świeczka. Moje już dogasa.

4. SKLEP MASLICHÓW

Był to sklep spożywczo-kolonialny i jego właściciele, państwo Maslichowie, mieszkali po sąsiedzku. Mówili z twardym akcentem i bulgotała w ich mowie głoska — r. Często matka wysyłała siostrę do sklepu po zakupy i gruba pani Maslichowa zapisywała należność w zeszycie. Rozliczenie następowało z początkiem kolejnego miesiąca. Siostra przypomina sobie, że w ostatnim roku przed wojną ojciec zakazał kupowania w sklepie Maslichów. Oni już wtedy mówili do siebie wyłącznie po niemiecku. W pierwszych dniach okupacji pan Maslich pokazał się na schodach swego sklepu w jasnobrązowym uniformie, okrągłej, sztywnej czapce z daszkiem i butach z cholewami, a rękaw jego mundurowej kurtki zdobiła czerwona opaska z czarną swastyką. Witryna sklepu została opatrzona napisem „Nur für Deutsche”. Synowie Maslichów, Gerdy i Eugen, zostali członkami Hitlerjugend i przy pasach czarnych welwetowych spodnek nosili w skórzanych pochwach sztylciki z błyszczącymi rękojeściami. Też starali się mówić tylko po niemiecku. Ale ze mną przez płot mój rówieśnik Gerdy rozmawiał po polsku. Starszy Eugen został w drugim roku okupacji powołany do wojska i na pierwszy urlop przybył w mundurze lotnika. Pan Maslich w niedzielę ubrany w jasnobrązowy mundur, trzymając pod pachę swą grubą, przysadzistą żonę kroczył wolno, uroczyście

do ewangelickiej kirchy, która znajdowała się w pobliżu szkoły na Parkowej nad glinianką. Kiedyś, spotkawszy grubą Maslichową, zawróciłem raptownie, nie chcąc ukłonić się jej. Nasłuchałem się przecież w domu tyle
o nich! Maslichowa poskarżyła się matce.

— Dobrze zrobiłeś! — powiedziała potem matka.

Z Gerdym coraz rzadziej rozmawiałem przez płot. On i jego koledzy z Hitlerjugend zaczepiali polskich chłopców. Bili ich i obrzucali wyzwiskami. Eugen przyjechał na kolejny urlop z wojennym odznaczeniem na piersi. Stary Maslich promieniał radością i na cześć swego syna wydał przyjęcie. Z otwartych okien domu słychać było śmiech, brzęk szkła, często powtarzane: „Prosit!” i chóralny śpiew. Śpiewali „Liii Marlen”

1 „Deutschland liber alles”.

Niemcy uciekli z naszego miasteczka nocą i rankiem dom Maslichów był już opuszczony. Ludzie z „Pekinu” i bud buszowali po pokojach, wynosząc meble, kołdry, poduszki i marmoladę w beczułkach ze sklepu. Rozwalali framugi okienne, odrywali klepki z parkietu i obstukiwali ściany, poszukując złota i biżuterii.

Wkrótce w domu po Maslichach zamieszkali państwo Czczotowie z synami bliźniakami Piotrem i Pawłem. Mówili śpiewnie i miękko. Przybyli ze Wschodu. Pan Czczot na powrót otworzył sklep spożywczy, który prowadził wraz z żoną. Sklep istniał przez kilka lat i zyskał sobie liczną klientelę we Włochach. Pan Czczot nie był zdziercą i ceny u niego były bardziej umiarkowane niż gdzieś indziej. Pan Maslich też, co by nie powiedzieć o nim, był solidnym kupcem. Ważył skrupulatnie i nie sprzedawał nieświeżych produktów żywnościowych. Pan Czczot odznaczał się tymi samymi przymiotami. W dodatku był zawsze pogodny, życzliwy

lu

dziom i rozmowny, co różniło go od dawnego właściciela sklepu, nadętego i małomównego.

Jednak w 1950 roku pan Czczot, nie mogąc poddać rosnącym podatkom i szykanom inspekcji handlowej, zmuszony został do likwidacji sklepu. Zaczął jeździć kolejką do Warszawy. Podjął pracę w handlu państwowym. Jego bliźniacy, Piotr i Paweł, byli moimi kolegami z jednej klasy. Łudząco do siebie podobni, słabo mówili po polsku. Wyglądali na zabiedzonych i głowy mieli ostrzyżone do gołej skóry. Bardzo grzeczni, stawiani przez nauczycieli za wzór dla innych. Nam jednak wydawali się zbyt grzeczni, pokorni i bojaźliwi. Trochę im dokuczaliśmy. Waliliśmy ich z upodobaniem w ostrzyżone do gołej skóry głowy. Po krótkim czasie włosy im odrosły i zupełnie upodobnili się do nas. Nauczyciele już przestali ich stawiać za wzór do naśladowania.

W późniejszych latach z rzadka widywałem bliźniaków. Pan Czczot zmarł. Potem pani Czczotowa. Piotr wyjechał na Śląsk i tam się ożenił. Paweł zamieszkał w nowym osiedlu na Grochowie.

Dopiero niedawno dowiedziałem się od Pawła o wojennych losach jego rodziny. Mieszkali w Stołpcach na Wołyniu. Pan Czczot był właścicielem dużego sklepu przy rynku i kamienicy z ogrodem. Miał wysoką pozycję szanowanego obywatela i działacza rozmaitych organizacji społecznych. Po 1939 roku nastąpiła okupacja sowiecka i pewnej nocy odwiedził pana Czczota tragarz Abramek ostrzegając, iż mają przyjść po niego o świcie. Abramek był komunistą i witał czerwoną armię jako wyzwolicielkę. Równocześnie darzył pana Czczota sympatią i szacunkiem. Był lokatorem w jego kamienicy. Pan Czczot spakował niezbędne rzeczy w tobołek i uciekł zaraz po rozmowie z Abramkiem.

W domu pozostała żona z bliźniakami. Przyszli o świcie. Panią Czeczotową wywieźli do obozu na Ural, a bliźniaków do sierocińca pod Krasnojarskiem. Matka zdążyła im jeszcze zaszyć do paltocików karteczki z nazwiskami i imionami, adresem w Stołpcach oraz datą chrztu w kościele rzymskokatolickim. Chłopcy przebywali w ponurym, łągiernym sierocińcu przez kilka lat. Zapominali powoli języka ojczystego i tylko chronili jak relikwie karteczki wszyte do ubrań przez matkę. Wiedzieli, że są Polakami i gdzieś daleko znajdują się ich rodzice. W czasie powojennej repatriacji Polaków ze Wschodu matka szczęśliwie odnalazła swoich bliźniaków. Przywędrowali do Włoch pod Warszawą. Pan Czeczot całą wojnę przeżył na Wołyniu i Polesiu. Stamtąd wyruszył do nowej Polski. Była to odyseja. Odnalazł żonę i dzieci.

Taka była ich droga do sklepu po Maslichach. Paweł zwierzył się, że dla nich po powrocie z ZSRR nasze miasteczko było idylliczną krainą szczęścia i dokuczliwości, które im wyrządzały, nie miały żadnego znaczenia. Teraz obaj bliźniacy są w Związku Sybiraków i zbierają oświadczenia świadków i inne potrzebne dokumenty, żeby w niedalekiej przyszłości mieć podstawę do renty kombatanckiej.

Dom Maslichów uchował się i jeszcze do niedawna mieściło się tam przedszkole.

5. SZOFER GOMUŁKI

Polecony przez panią z sekretariatu ZLP na Krakowskim Przedmieściu, zawieszono go w kilka dni potem przez władzę stanu wojennego, pojawił się u mnie mały i łysy człowieczek, z plastikową teczką pod pachą. W niej trzymał poźółkłe tygodniki i dzienniki. Były tam opublikowane fragmenty jego wspomnień z długiego życia. Dotyczyły powrotu do zburzonej przez Niemców Warszawy, pracy w charakterze kierowcy szefa ówczesnego PPR-u i ministra ziem odzyskanych i czasów jeszcze wcześniejszych, przedwojennych, kiedy zaczynał pracę jako warszawski kierowca taksówki nr 8 czy 9. Liczył sobie ponad osiemdziesiąt lat, lecz trzymał się bardzo krzepko. Mały, zasuszony, poruszał się szybko, odrywał sprężyste stopy od ziemi i jego oczy patrzyły bystro, cwane i nieco figlarne. Pragnął napisać księgę swoich wspomnień, jak mówił, pełny „życiarys”. Potrzebował do tego zadania fachowca w pisaniu.

— Gadkę mam niezłą i pamięć też — powiedział. — Ale pióro mi nie idzie za tokiem myśli.

Wiązał ze swoim zamysłem nadzieje finansowe. Oczywiście „po polam”, popatrzył na mnie kusicielsko. Cieszył się, że jestem warszawiakiem. On urodził się na dalekiej Woli. Ojciec zatrudniony był u Norblina. Rodzina wielodzietna. Praca ojca zakłócana była długimi przerwami. Bezrobocie, lokauty i inne nieszczęścia spa

Marek Nowakowski

dające na wyzyskiwaną klasę robotniczą. Od chłopaczka chował się samopas i stał się warszawskim ulicznikiem. Wyobraziłem go sobie w tamtych czasach. Niskiego wzrostu, szczuplak. Musiał wtedy wyglądać jak cwany mikrus, iskierka taka. Krainą jego dzieciństwa była ulica Wolska, wielka kamienica, która przetrwała wojnę, stoi dotychczas i nadal jest nazywana przez najstarszych ludzi „Domem Hrabiego”, oraz rozległe obszary za wiaduktem, glinianki, chaszczę, baraki biedoty. Tereny te zwały się „Sadurką”, może od niegdysiejszego właściciela lub właścicielki tych nieruchomości. Handlował papierosami, bogatym ludziom czyścił buty, bywał chłopcem na posyłki. Terminował nawet u starego kieszonkowca. Po krótkim czasie termin ten porzucił. Może z braku talentu? Może z powodu rozterek moralnych? Szczęście uśmiechnęło się do niego, kiedy skończył siedemnaście lat i zatrudniony został w warsztacie samochodowym. W tamtym czasie takich warsztatów nie było zbyt wiele i samochód to była rzeczywista rzadkość. W nim zaś ujawniła się smykałka do motoryzacji. Zamiłowanie połączyło się z zawodem. Przeszedł wszystkie szczeble wtajemniczeń i doskonale poznał tajniki mechanizmów rozmaitych aut. Nawet hispano- -suiza czy buick nie były mu obce. Szef zajmował się konserwacją komfortowych wozów dla bogatych, utytułowanych panów. Tapicerka z czerwonej skóry, mosiężne okucia, wykładzina z kości słoniowej.

— Były i takie bajery — powiedział.

Przy okazji nauczył się prowadzić automobile. Sam szef nazwał go urodzonym kierowcą. Prawo jazdy zrobił bez trudności i ta nowa umiejętność stała się ostatecznie jego zawodem. Odtąd był już samodzielnym, regularnie zarabiającym kawalerem. Mógł sobie pozwolić na zabawę z panienką w ogródkowej kawiarni, garnitur, słomkowy kapeluszyk, laseczkę i błyszczące lakiery.

Prowadził wozy fabrykantów, bankierów, panów z herbowej arystokracji. Wymienił kilka nazw skomplikowanych herbów. Kilka koligacji. Kilka ekskluzywnych adresów. Dzięki temu, jak powiedział, zapoznał się z nierównością klasową i przepaścią dzielącą wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy. Jedni chlebobdawcy rekomendowali go drugim jako świetnego kierowcę. Początkowo pokornie znosił poniżenie konieczne w tej pracy. Czapkowanie, niskie ukłony, obieganie samochodu i otwieranie z drugiej strony drzwiczek dla swego pana.

— Jakby skurwiel sam nie mógł sobie otworzyć — tak powiedział. — Cholera mnie zaczęła brać!

Zarabiał przyzwoicie i dokładał okrągłą sumkę do skromnego budżetu matki, która jeszcze miała na utrzymaniu dwoje jego rodzeństwa. Ojciec umarł na suchoty w sile wieku. A on sam, pewno ze względu na wyostrzone widzenie różnic klasowych i majątkowych, zbliżył się do partyjnego ruchu robotniczego. Brał udział w akcjach bojówek PPS-u; znał osobiście słynnego Tatę Tasiemkę z placu Kercelego i Doktora Łokietka, bossa żydowskich tragarzy z hal na Mirowie. Później skierował się bardziej na lewo i zaczął się kręcić przy komunistycznych bojówkach na Powązkach. Z powodu rosnącej świadomości klasowej nie chciał już być szoferakiem bogaczy i udało mu się zostać taksówkarzem z numerem 8 czy 9. W tym zajęciu pozostał do wojny. Podczas okupacji wstąpił do PPR-u i po wyzwoleniu jako kierowca wozził Gomułkę, który był pierwszym sekretarzem PPR-u i ministrem ziem odzyskanych. Polubił towarzysza Wiesława. Gość to był skromny; nie lubił siadywać z tyłu, przeważnie koło kierowcy. Dopytywał się o jego żonę, dzieci. Podawał rękę, częstował papierosami. Kilka razy jedli przy jednym stoliku w partyjnej stołówce. Towarzysz Wiesław często bywał małomówny, zamyślony. Pewno rozważał sprawy

państwowej wagi. Toteż kiedy aresztowali go jako wroga i odchyleńca ideologicznego, przeżył ten fakt boleśnie. Nie miał żadnych wątpliwości co do uczciwości towarzysza Wiesława i jego oddania dla budowy władzy ludowej. Sam też był członkiem rządzącej partii, ale w zawiłościach polityki niewiele się wyznawał. Teraz wie doskonale, że Stalin był zbrodniarzem. Z radosnym uniesieniem witał powrót Gomułki na placu Defilad pod Pałacem Kultury i Nauki, i od razu zgłosił się do niego. Zaszedł prywatnie do mieszkania towarzysza Gomułki na Saskiej Kępie. Przyjęła go żona, towarzyszka Zofia. Bardzo się ucieszyła na jego widok. Ale odradziła mu pracę w Komitecie Centralnym. Poradziła spokojniejsze zajęcie na niższym szczeblu. Podjęła gościnnie herbatą, ciastem własnego wypieku. Ale nie wyglądała zbyt dobrze. Wymizerowana taka i wcale nie wyrażała radości z powodu zwycięskiego powrotu męża do władzy. Tak jak obiecała, robotę mu znalazła. Woził dyrektora pewnego zjednoczenia. Nieźle mu się wiodło i dotrwał na tym samym miejscu do emerytury. Po latach jest skłonny przyznać rację towarzysze Zofii. Nie warto się trzymać za blisko polityki. Polityka, jak gad jakiś groźny, wali znieńcka ogonem i można zdrowo oberwać. Tak sobie pogawędziliśmy i umówiliśmy się na następne robocze spotkanie.

Jednak szofer towarzysza Wiesława już nie pokazał się więcej.

Jak powiedziała mi znacznie później zaprzyjaźniona pani z sekretariatu zawieszonoego ZLP, starszek dowiedział się skądś, że jestem trefny literat, solidarnościowiec, związany z podziemiem. Słusznie wywiódł z tego, że nie bardzo będę mu pomocny w wydaniu i lansowaniu jego wspomnień, które, jak zaznaczył podczas pierwszej rozmowy, nie powinny jednak czytelników zniechęcać zupełnie do socjalizmu.

6. DZIKIE POLA

Były to tereny rozciągające się między przystankami EKD: Szczęśliwicami i Granicą Miasta przy Opaczewskiej. Obszar jak na miarę możliwości podmiejskich malowniczy. Pola badylarzy, łąki, glinianki. Uroku dodawały jeszcze pozostałości wałów i fos dawnych fortyfikacji. Rozległe te nieużytki, swoiste Dzikie Pola dochodziły z jednej strony do Okęcia, a z drugiej do Włoch. Stanowiły ziemię niczyją, bo ani władza, ani nikt inny tutaj nie wkraczał. Widziało się staruszki wypasające kozy, rybaków wystających nad gliniankami i bezpańskie psy.

Chłopcy z Ochoty i Okęcia tutaj odbywali wszelkie przypisane do wieku inicjacje: ryzykowną naukę pływania w zdradziecko głębokich gliniankach, igraszki z dziewczynami, pierwszą degustację napojów wysokowych i rybacką sztukę medytacji z wędką nad wodą w oczku między trzcinami.

Piszący te słowa, jako sześciolatek uciekł z domu. W poszukiwaniu wolności bezwiednie podążył wzdłuż torów kolejki w kierunku Szczęśliwie. Rozszalała się wtedy letnia burza z błyskawicami rozdzierającymi niebo i trzeba było wracać.

Często nad gliniankami zatrzymywały się kolorowe tabory Cyganów i nocą płonęły ogniska. Z okien wagonów EKD obozowisko tych ostatnich, niepokonanych

nomadów wyglądało tak pociągająco i romantycznie! W latach późniejszych te strony stały się miejscem zwózki śmieci. Zewsząd, z całego miasta przyjeżdżały wozy — śmieciarki i zwały tony makulatury, szmat, żelastwa, zgniłych odpadków, słowem wszystkiego, co wydała z siebie codziennie przeszło milionowa metropolia. Powstawały stale rosnące wysypiska, niby jakiś księżycowy łańcuch górski. Śmieci dymiły, płonęły i nieraz nocą była stamtąd wielka luna jak od pożaru. Z czasem hałdy i zwałowiska poczęły formować się w jednolitą górę kształtu stożka: u jej podnóża, w budach skleconych prowizorycznie ze skrzynek, dykty, papy i blachy zamieszkała zgraja włóczęgów i zbieraczy, utrzymujących się z grzebania w śmietniku. Krążyły opowieści o skarbach, które wydobywali. Śmieciarze wyprawiali huczne uczty na zboczach góry i z okien jadącej wieczorem kolejki można było widzieć figurki ludzi zataczających się wokół ogniska i słyszeć było wrzaski, chóralne śpiewy. Ludzi przypisanych do stałej, monotonnej pracy brała zazdrość i patrzyli w posępnym milczeniu na zabawę beztroskich nicponiów. Kilka płyt- szych glinianek zostało pochłoniętych przez śmietniko i wokół rozciągał się przykry smród starzyzny, butwie- nia, rozkładu. W wietrzne dni wirowały strzępy papieru, sadza, kłaczki pierza, waty. Nieraz przebywały długą drogę, osiadając aż na Grójeckiej.

W latach 70. przestano zwozić odchody miasta. Śmietnikową górę obsypano ziemią i zaczęto sadzić krzewy, drzewa. Wtedy, lub może trochę wcześniej, powstał tu przystanek kolejki, nazwany Stadionem-Strzel- nicą. Rozpadliska na stokach góry służyły do ćwiczeń strzeleckich. Prawdopodobnie był pomysł wybudowania stadionu sportowego. Nie doczekał się realizacji i góra z przyległościami przeznaczona została do wypoczynku i zabaw. Dwie największe glinianki połączono kanałem, wybudowano basen i przystań kajakową. Śmietnikowe zwałowisko przeistoczyło się w imponującą górę, na pewno największą po tej stronie Warszawy, porośniętą trawą, krzewami. Zimą biegnie z jej wierzchołka zjazd dla narciarzy, a latem u jej podnóża po stawach suną kajaki i rowery wodne. Mieszkańcy pobliskiej Ochoty w dni wolne od pracy plażują tutaj, odbywają pikniki, jeżdżą na rowerach i grają w piłkę. Powstało osiedle domków letniskowych. Pełna rekreacja!

Czasem na szczycie góry pojawia się Ikar, który rozkłada lotnię i korzystając ze sprzyjających wiatrów, próbuje się wzbić ponad ziemię i poszybować w przestworzach. Przeważnie zaraz opada.

Idylliczny obraz zielonej góry i dwóch połyskujących w słońcu stawów zamyka od strony Ochoty wysoka, szczelna ściana domów napierającego miasta.

7. LODOWNIA PACIORKA

Ocean stanął pod lodem. To było święto! Biegliśmy nad brzeg i patrzyliśmy z radością na grubą, sinawą pokrywę, zalegającą cały staw. Ale czasem długo trzeba było czekać. To przecież zależało od mrozu. Bywało i tak, że przez zimowe ferie ledwie cienka i krucha szybka pokrywała tę największą gliniankę, zwaną Oceanem. Pod nią widziało się wodę. Często z powodu niecierpliwości zdarzały się wypadki. Co dzień badając twardość lodu, traciliśmy rozeznanie i zsuwając się z brzegu próbowaliśmy wejść na staw. Tak długo przecież czekaliśmy. Wyzywaliśmy więc los. Jeden krok, drugi. Cienka warstwa szkliwa trzeszczy, pokazują się rysy, odkrywają się ciemne oczy wody. Mimo to posuwaliśmy się dalej. Raz lód się załamał i Wiesiek N. nagle zapadł się po pas. Osuwał się coraz głębiej. Zmartwieliśmy. Na wysokiej skarpie pokazał się stary Paciorek. Zbiegł szybko na brzeg i podsunął Wieškowi bosak zakończony krzywym szpikulcem. Zmoczony i dygoczący jak psiak Wiesiek wygramolił się jakoś na brzeg. Groźny Ocean pochłonął w tamtych latach kilku chłopców. Toteż naprawdę był to dzień prawdziwego szczęścia, jeszcze poprzedzała go noc i słupek rtęci w termometrze opadł do kilkunastu stopni — kiedy mogliśmy śmiało i pewnie stąpać po twardym, grubym lodzie leciutko przysypanym śniegiem. Wtedy rozpoczynała się zabawa w ulubionego hokeja. Zbrojni w odpowiednie kije rzucaliśmy na taflę boiska metalowy krążek, sporządzony ze zgniecionej puszki po jakichś konserwach unrowskich i toczyła się zażarta walka dwóch drużyn. Nie zawsze jeździliśmy na łyżwach. Czasem po prostu ślizgaliśmy się. Spieszeni hokeiści. Łyżwy to był luksus. Te słynne turfy, salkowy, inne. A jeszcze specjalne buty z łyżwami! Takie mieli tylko wybrańcy, chłopcy z najzamożniejszych rodzin. Graliśmy w hokeja do zmroku i często na środku lodowiska wydawało się nam, że nasza glinianka jest naprawdę oceanem. A najwspanialszym doznaniem było posłuchać, jak lód stęka. Z głębin rozlegał się głuchy dźwięk, potem suchy trzask i na powierzchni pokazywała się rysa. Szła jak błyskawica. Jakby jakaś potężna żywa siła rozsadzała lód. Patrząc w przeręble, które wyrąbывali rybacy myśleliśmy o rybach skrytych tam pod lodem. Szczególnie o tym ogromnym sumie zamieszkującym od lat Ocean. Zabawy i harce na lodzie trwały ze zmiennym szczęściem przez długie tygodnie. W czas odwilży lód stawał się miękki, nabiegał wodą po wierzchu i wtedy już gra w hokeja była niemożliwa. Czekaliśmy na kolejny atak zimy. Nagły zacisk mrozu pokrywał tę miękka, namokłą warstwę lustrzaną gładzią i nasi wyczynowcy wykonywali efektowne piruety na łyżwach.

Aż przychodził taki dzień, kiedy stary Paciorek i jego pomocnicy zabierali się do swojej roboty. Zaopatrzeni w siekiery, łomy i bijaki wychodzili na staw i cięli lodową pokrywę na kwadratowe i prostokątne kawały. Obtłukiwali po brzegach, odkrywali wodę i na pochyłej skarpie, która dochodziła do jamy lodowni kładli deski. Pocięty lód obwiązywali łańcuchami lub zbroili żelaznymi prętami i za pomocą potężnego kołowrotu obra-

SsSis

canego przez konia wciągali grube i lśniące, białe do lodowni.

pokryta ziemią i lód w niej przechowywano iMi lata. Otwierało się kłapę i na przykład w upalny dzień Paciorek wyciągał bosakiem białe, twarde bloki, doskonale zakonserwowane w odizolowanym od temperatury zewnętrznej pomieszczeniu. Lód cieszył się dużym popytem, nabywany przez rzeźników, kupców, straganarzy, wytwórców lodów śmietankowych, nawet przez nasze matki do domowych spiżarni.

Powracając jeszcze do tego dnia, kiedy Paciorek zaczynał swoją robotę na stawie. W miarę ubytku lodu na powierzchni wody pojawiały się kry jak wyspy. Wskakiwaliśmy na nie i czuliśmy się jak śmiali żeglarze płynący polarnymi wodami Arktyki pełnymi gór lodowych i białych niedźwiedzi. Kry chygotały się niebezpiecznie, uderzały o siebie ze zgrzytem.

Paciorek przepędzał nas, waląc kijem i wrzeszcząc: .- p[^]HMM

— Potopita się jak koty i ja za was będę odpowiadał, naser mater!

Był to niewysoki, żylasty facet. Miękki z natury, wiecznie trzymał w kąciku warg przylepionego papierosa i jego ulubionym powiedzeniem było: „Naser mater” Niezwykłym wydarzeniem w naszym miasteczku stał się pewien wiosenny poranek kiedy pod drewniany domek stróża lodowni

wilów i mundurowych. Pobiegli i uciekli

z domu skutego w wypadku

groźnym bandytą, podejrzanym o napad na stwo. Mówiono też, że jego przestępstwa miały

zostać ukarane

li łobuziak. Niezły szprync, jak i

dała moja matka.

POWIDOKI 33

Dzis po lodowni i drewnianym domku nie ma śladu. Znajduje się tam ogród warzywny i murowana willa z garażem. Mieszkańcy tej wille nie wiedzą nawet że w tym miejscu kiedyś była lodownia i mieszkał stróż Paciorek.

Ocean pozostał. Lecz zmalał niezwykle. Wtedy był taki ogromny.

8. CHŁOPCY Z TAMTYCH LAT

Na imieninach u Archipa Stenia pod koniec biesiady zagrała na pianinie „Gdzie są chłopcy z tamtych lat”, szlagier rzeczywiście z dawnych lat. Archip wzruszył się ogromnie. Jego pełna ekspresji twarz wyrażała żal za utraconą młodością. Wspominał wypadki do Polonii, Paradisu. Trzymał się wtedy w paczce razem z Ryśkiem Bubą, Kogutem, Madziarem, Gigantem. Wyciągnął jak relikwię starą fotografię. Sylwestrowa noc w Paradisie. Młodzi birbanci z kieliszkami w dłoniach. Aż kipi z nich ślepa, zachłanna radość. Archip potem był na zsyłce w Jeleniej Górze. W tamtych latach aspołeczny i politycznie obcy element wywalano z Warszawy. Archipowi przypisali na miejsce zesłania Jelenią Górę. Cóż to było za życie! Pracował w domu wczasowym jako palacz i co noc podrywał panienkę. Wszyscy wiedzieli, że jest warszawiakiem z poważnych powodów wysiedlonym ze stolicy. Archip opowiadał o sobie niestworzone bajdy. Brał udział w leśnym podziemiu. Był członkiem antykomunistycznej organizacji. Broń oczywiście za pasem. Głęboka konspiracja. Brawurowe ucieczki z łap bezpieki. Tak plótł zasłuchanym dziewczynom, podlewał je słodkim winem i one słuchały jak urzeczone.

— Tak pajacowałem i naprawdę czułem się jak „Zorro, jeździec w masce” — mówi Archip.

W tym samym domu wczasowym „Jutrzenka” za trudniony był jako nocny stróż milczkowaty gość w więcej niż średnim wieku, z obwisłymi wąsami.

Archip popijał z nim czasem i jemu też przedstawiał się jako ważna persona ze zbrojnego podziemia, walczącego z komuną. Stróż o sobie nie mówił nic, tylko słuchał cierpliwie, chrząkał i uśmiechał się półgębkiem. A raz, po szczególnie barwnej opowieści Archipa o jego bojowych wyczynach, wybuchnął śmiechem. Śmiał się długo i do łez...

— Co, nie wierzysz pan? — rzekł z urazą Archip. — Tak było naprawdę!

— Synusiu... — powiedział stróż swoim flegmatycznym głosem. — Żebyś sobie biedy nie napytał. — Po ojcowsku pogroził mu palcem. Kilka dni później zjechał kolejny turnus wczasowy i odbywał się wieczorek zapoznawczy. Archip był w swoim żywiole. Tancerz z niego zawołany, znał te wszystkie nowoczesne wygibasy. Wypatrzył sobie blond dziewczynę o obfitych kształtach i ją emablował z myślą o słodkim spełnieniu.

Zajechali w dwie „cytryny”. Te czarne, żałobne „cytryny” to były samochody bezpieki z tamtych lat. Wskoczyli cywile ze spluwami w garści. Pobiegli do stróżówki. Wywlekli stamtąd tego gościa z obwisłymi wąsami. Zakuli go w kajdanki, kopiąc i poszturchując wepchnęli do samochodu. Później czytał o nim Archip w gazetach. To był porucznik Grom ze zgrupowania NSZ działającego na Białostoczczyźnie. Proces odbywał się w Białymstoku. Dali mu czapę, którą zamieniono na dożywocie.

— Jak go zabrali — wspomina Archip — to już przestałem wygadywać te bajdy westernowe o sobie. Tamten to był prawdziwy geroj. Nawet chciałem go odszukać. Podobno przeżył. Stenia jeszcze raz zagrała tę rzewną melodię o chłopcach z tamtych lat. Archip zmożony trunkami oparł głowę o stół i zasnął.

9. TELEKOM

Tak nazywano Poczte Główną i jako uczniowie siódmej klasy szkoły podstawowej często spędzaliśmy tam wagary. Mój przyjaciel i ja. Mieliśmy w teczkach oprócz zeszytów, podręczników, drugie śniadanie, i tyle czasu przed sobą! Sezon wagarów przypadał na późną jesień, zimę. Gmach na Nowogrodzkiej stał się odkrywaniem przez nas światem osobliwości i tajemnic. Wielka hala z okienkami dla interesantów po dwóch przeciwległych stronach, pod bocznymi ścianami drewniane ławy. Szczególnie te dalsze ławki, nie na widoku, były zawsze zajęte przez ludzi na nic nie czekających i nie mających żadnych interesów na poczcie. Siadywaliśmy w ciemnych, oddalonych od światła kątach i obserwowaliśmy sąsiadów.

Babcię z ogromnym workiem. W nim trzymała swój dobytek, włącznie z przyborami do szycia, drutami, wełną. Robiła na drutach szalik, skarpety, coś takiego. Przychodziła najwcześniej, zaraz po otwarciu poczty i od razu brała się za swoje robótki.

Obrośniętego jak dziki zwierz mężczyznę, który cuchnął piwniczną zgnilizną i zastarzałym alkoholem. Coś do siebie nieustannie mamrotał. Jakby zaklęcia: miny czynił dziwaczne i gesty magiczne. W te jesienno- -zimowe dni ubierał się w kilka warstw odzieży, nogi owijał gazetami. W ciepłe pocztowego wnętrza po kolei ściągał odzież i podkładał sobie jako poduszkę pod głowę. Widywaliśmy często dosyć młodego mężczyznę w zniszczonym, podartym garniturze, jednak zawsze z krawatem pod szyją: zachował resztki dbałości o wygląd. Cesał się starannie poszczerbionym grzebieniem, zapalką czyścił paznokcie. Na kolanach kładł ceratową teczkę, wyciągał z niej brulion i coś zapisywał. Czasem przerywał tę czynność i wpatrywał się z zastanowieniem w sufit. Szukał natchnienia do twórczego dzieła?

Parę w wieku nieokreślonym z tobołami wiecznych tułaczy; opierali się plecami o siebie i zapadali natychmiast w mocny sen z pochrapywaniem i bulgotem. Pojawiały się zniszczone i wymalowane kobiety; zachodziły tu na rozgrzewkę. Wśród tej stałej klienteli zdarzali się ludzie zwyczajni. Po krótkim czasie terminowania rozpoznawaliśmy ich nieomylnie. Spoglądali na ścienny zegar, wstawali i przechadzali się nerwowo. Spotkania w interesach, randki. Tacy nas nie ciekawili. Atmosfera pocztowej hali była cicha i przyjemna. Tumult i wrzawa miasta nie dochodziły tutaj wcale. Grube mury chroniły przed odgłosami z zewnątrz. Był to obszar wolno przeciekającego czasu, cierpliwego trwania bez żadnych oznak gniewu, złości, wzburzenia. Nieraz nas także ogarniała błoga senność: opadały powieki i nasz czas upływał podobnie jak czas innych bywalców zalegających ławki. Czuliśmy się niby w kokonie czy gęstej otulinie i niczego już nie należało się spodziewać. Z rzadka tylko, kiedy wkraczali tutaj milicjanci, tupiąc podkutymi butami, ludzie na ławkach zachowywali się niespokojnie, bywali spłoszeni. Jedni dźwigali się niezgrabnie i ruszali do wyjścia. Drudzy symulowali jakieś sprawy do załatwienia w okienkach, budząc uśmiech politowania pań urzędujących przy marmurowych blatach po drugiej stronie grubej, szklanej tafli. Wyobrażaliśmy sobie dawniejsze życie tych ludzi. Pan z teczką i brulio

nem mógł być studentem; kształcił się, myślał o przyszłości i jakaś śrubka w mechanizmie jego życia wypadła, jakiś trybik przestał się obracać. Tamci dwoje posiadali dom, dzieci i nastąpił nagły kataklizm. Różne drogi zaprowadziły ich do Telekomu na Nowogrodzkiej.

Tutaj poznaliśmy stroiciela fortepianów, Mikołaja Porowskiego. Też miał worek, a w nim cały swój dobytek. Latem sypiał nad Wisłą, zimą zaś na dworcu i na poczcie. Niegdyś marzyła mu się kariera kompozytora. Nie wyszło. Stroił fortepiany i przeżył wielką tragedię. Tak nam powiedział. Mówiąc płakał i zionął odorem denaturatu. Mój przyjaciel miał w swoim mieszkaniu pianino. Uczono go gry na tym instrumencie. Zaprosiliśmy stroiciela w czasie nieobecności jego rodziców. Stroiciel wypił karafkę wiśniowej nalewki z kredensu i zaczął grać swoją kompozycję. Wyglądał wspaniale: długie, siwe włosy opadały mu na ramiona, walił rozczapierzonymi jak szpony palcami w klawiaturę. W trakcie tego seansu zjawiała się nieoczekiwanie matka przyjaciela i mieliśmy nieprzyjemności. Stroiciel, łkając po nalewce, opuścił gościnny dom. Przez kilka dni przykładowie uczęszczaliśmy do szkoły i wreszcie pewnego ranka spotkaliśmy się na przystanku EKD, żeby znów ruszyć w kolejną badawczą wyprawę do Teleko- i mu na Nowogrodzkiej.

10. FORTY

Mój ojciec na pewno znał starego Filipiaka. Był to szewc, komunista, popadł w alkoholizm. Mieszkał na fortach, gdzie gnieździła się największa biedota. Forty mówiło się w liczbie mnogiej. To była pozostałość systemu carskich fortalicji z XIX wieku, kordonem opasujących Warszawę. Zbudowano je po powstaniu styczniowym jako zabezpieczenie przed polskim duchem buntu i ewentualnością wojny z „Zapadem”. Dały początek fortunie rodu Eigerów. Potrzeba cementu, żelbetonu. Na tym zrobili pieniądze. Z tej rodziny wywodził się znany poeta i tłumacz w dwudziestoleciu, Marek Eiger, pseudonim literacki Stefan Napierski. Fascynująco o nim mówił Adam Maurersberger, który był poetą opowieści o mieście i ludziach. Piękna pani Diana, matka. Ojciec konsul jakiegoś Monako czy San Marino. Salony Eigerów przy placu Teatralnym. Siostra Marka Eigera, parnasty i arystokraty ducha była fanatyczną komunistką od czasu I wojny światowej. Żyła do późnych lat 70. Forty po I wojnie światowej przestały w większości spełniać swoje strategiczne znaczenie. Zamierały opuszczone przez wojsko. Fort mokotowski na przykład stał się terenem rekreacji, wznoszono tam domy. Podobnie wilanowski. Przy fosie powstała kolonia piętrowych domów. Te włoszowskie forty zupełnie przestały być użyteczne. Woda w fosach wysychała, po

rasały trzcina. Na trawiastych zboczach pasano kozy. W opuszczonych podziemnych kazamatach zamieszkali bezdomni, włóczędzy, żebracy, wszelaki lumpenproletariat włącznie z drobnymi złodziejami, pechowcami i partaczami w złodziejskich profesjach. Starego Filipiaka pochowano jako ateistę pod cmentarnym murem na nie poświęconej ziemi. Przybyło wiele delegacji z różnych dzielnic Warszawy, czerwone sztandary, przemówienia, śpiewali Międzynarodówkę. Za życia przewodził komunistycznej jacejce we Włochach. Tak mówili ludzie. Pozostawił wdowę i czworo dzieci. Swoich dzieci nie ochrzcił. Po jego śmierci uczyniła to żona. Nadal mieszkała na fortach ze swoją dzieciarnią. Dwóch synów. Dwie córki. Zajmowała się praniem, sprzątaniami. Synowie dojrzewali w szybkim tempie: pasali kozy, kradli ogórki, cebulę i pomidory na polach badylarzy w sąsiedztwie fortów. Podpatrywali dorosłych, którzy upijali się i często brali za łby. Mój ojciec, który był nauczycielem z powołania, nieraz chodził na forty. Powodem bywała nieobecność w szkole uczniów stamtąd. Zimą absencję powodował brak obuwia i ciepłej odzieży. Również choroby. Toteż ojciec łącząc powody pedagogiczne z rodzicielskimi zabierał na forty moją siostrę, a później ja z nim byłem tam kilka razy. Mogło to być w 1939 roku. Nie mam jednak pewności. Może obraz fortów zachowałem z opowiadań? Ciemne, wysokie piwnice z łukowatym sklepieniem, ściany ze szerniałej, czerwonej cegły, widać na niej krople spływającej wody, zacieki wilgoci, klepisko zamiast podłogi, piecyk z blaszaną rurą, dym, stęchlizna. A droga tam prowadziła piękna! Pola, łąki, topole na skraju cmentarza, fosy z czarną wodą, trawiaste, zielone zbocza, ceglany mur oświetlony słońcem. Z tej idylli wchodziło się do ciemnej, wilgotnej pieczary jak w ponurej bajce.

Podczas okupacji forty zostały zajęte przez wojsko

POWIDOKI 41

niemieckie na magazyny amunicji. Dotychczasowych mieszkańców wyrzucono. Znaleźli schronienie w kamienicach i domkach miasteczka. Zajęli sutereny i poddasza. Bracia Filipiakowie, Olek i Felek nieregularnie uczęszczali na lekcje, które odbywały się w prywatnych mieszkaniach po przejściu szkoły ojca przez Niemców. Później zupełnie zarzucili naukę, musieli zarabiać na życie. Trudnili się czyszczeniem obuwia i handlem papierosami na dworcu kolejowym w Warszawie oraz „kitą” czyli kradzieżą węgla z transporterów na kaliskim torze. Po wojnie obaj Filipiakowie stali się charakterystycznymi postaciami w ludzkim pejzażu Włoch. Starszy Olek był karłem o pałkowatych po krzywicy nogach i torsie atlety, bary miał mocarne, spadziste i nieproporcjonalnie długie ręce w stosunku do swego wzrostu. Cichy, pracowity i uczciwy. Imał się różnych zajęć: tragarz, murarz, kopacz rowów melioracyjnych. Założył rodzinę, doczekał się dzieci. Zawsze po robocie wysiadywał w knajpie u Dziadka. Pomagał wnosić towar, wystawiał puste skrzynki po flaszkach. Dostawał za to kielicha. Lubił atmosferę knajpy, towarzystwo. Nigdy się nie awanturował, choć siłą obdarzony był niepoślednią. Umarł dosyć wcześnie z powodu wrodzonej wady serca. A Felka zapamiętałem najlepiej, kiedy jako najęty osiłek pomagał pewnej właścicielce domu usuwać dzikiego lokatora. Otóż Felek tego chudego lecz wysokiego kolejarza, niejakiego Gawora, ucałował za kark i tyłek. Uniósł do góry bez trudu. Tamten jednak w ostatniej chwili wczepił się rękoma w wezłowie masywnego, małżeńskiego łoża z jasnego orzecha i nie można było go oderwać. Felek ciągnął go razem z łożem. Wreszcie udało mu się jakoś odgiąć stalowe palce kolejarza Gawora wczepione w drewno. Scena humorystyczna i straszna zarazem. Felek był dorodnym, wesołym mężczyzną. Pogodny, naiwny olbrzym. Szafował

swą potencją bez opamiętania. Bił się dla przyjemności bijatyki. Zmieniał kochanki jak rękawiczki. Chłwał na umór. Później został śmietnikowym zbieraczem. Dawno pochłonęła go ziemia. Zastanawiałem się ostatnio, czy stary Filipiak nie obdarzył go imieniem z powodu Feliksa Dzierżyńskiego. Obaj bracia Filipiakowie nigdy nie korzystali z zasług ojca komunisty.

Po wojnie na fortach pozostały zapasy amunicji i włochowscy chłopcy wybierali się tam na szaber po naboje i proch. Laski prochu z pocisków artyleryjskich paliły się różnymi kolorami i z powodu tych iluminacji zdarzały się poparzenia i groźniejsze wypadki.

Forty jeszcze przez lata całe były celem wagarów kilku pokoleń uczniaków i ulubionym miejscem erotycznych inicjacji. W fosach podobno były raki i nocą odbywały się wyprawy z latarkami. Latem zatrzymywały się tutaj cygańskie tabory. To był jeszcze czas, kiedy Cyganie nie zamienili swych rumaków na konie mechaniczne. Nigdy jednak już nikt stale tam nie mieszkał. I tylko bardzo rzadko w porze przechodzenia dnia w noc widać nad fortami mgielną sylwetkę starego Filipiaka, który siedząc na szewskim zydlu i żelując obcasy, kłóci się zawzięcie z moim ojcem twierdząc, że światowa rewolucja zmiecie krwiopiczów i do biedaków uśmiechnie się szczęście. Stary rozplywa się i niknie w niebycie. W tym samym miejscu ponad ziemią pojawiają się jego synowie, Olek i Felek. Wypinając swoje torsy gladiatorów ruszają w życie. Olek porusza się powoli i niezgrabnie jak ślepy, kopalniany koń. Felek natomiast cały bucha siłą, radością istnienia buńczuczny wyzywaniem. Wtedy świat na chwilę staje się kolorowy, czysty i piękny.

11. DOM NA OKÓLNIKU

Od strony Ordynackiej był sklepik pana Nowaka — symbol odchodzących sklepików „mydło i powidło” i za rogiem wchodziło się w obszerną, mroczną bramę. Nad bramą miał pracownię Marek Oberlander, znany malarz. Dom pięciopiętrowy, klasyczny okaz budownictwa z początków naszego wieku. Klatki schodowe od frontu i dla służby. Na schodach frontowych żeliwne, zgrabne poręcze, pozostały jeszcze pręty do przytwierdzenia chodników i nisza ozdobiona gipsowymi stiukami, gdzie kiedyś zapewne umocowane było lustro. Podwórce ponure, studzienne, zewsząd napierały mury. Pośrodku drewniany trzepak i aż czekało się, że zaraz zajdzie wędrowny majster i wyciągnie przeciągle: „Blacharz lutuje, reperuje!” Albo handlarz starzyzny, brodaty i w jarmułce. Może bywała tam za moich czasów orkiestra uliczna z sinonosym śpiewakiem, który zawodził ochryple: „Iw którejs z bram zażyję trucizny białej gram...” Chyba tak. Słyszę jego głos. Widzę go. Z okien rzucają pieniądze w papierkach.

W jednej z oficyn na piętrze urzędowała administracja szacownego i zasłużonego miesięcznika inteligencji katolickiej Więż. W latach późniejszych odbierałem tu honoraria za druk opowiadań.

Zamieszkaliśmy w tej kamienicy we wczesnych latach 60. na ostatnim piętrze w sublokatorskim pokoiku,

który był służbówką wielopokojowego mieszkania. Właściciel, pan Jan, dziarski starzec, wstawał bardzo wcześnie i śpiewał mocnym, czystym altem „O mój rozmarynie”, „Pasała Kasia wołki na bukowinie” albo rosyjskie pieśni w rodzaju „Wołgi” i „Brodiagi”. Pan Jan przed rewolucją pracował jako praktykant w gorzelnianach i cukrowniach na Ukrainie i stamtąd przywiózł rosyjski repertuar. Prowadził roboty budowlane, a w wolnych chwilach chodził na pół czarnej do kawiarni Holetu Europejskiego, gdzie siadywał z Ludwikiem Sempolińskim, Mieczysławem Foggiem i innymi jemu równymi z branży artystycznej. Jego żona, pani Irena, wstawała później i wiecznie z papierosem osadzonym w szklanej lufce studiowała filozofię indyjską. Wielbiła Mahatmę Gandhiego i była osobą wielkiej dobroci i wyrozumiałości. Jedynek Jaś z upodobaniem oddawał się do późna ablucjom w łazience i słuchał młodzieżowej muzyki. Jako beztroski obibok został umieszczony w szkole oficerów pożarnictwa. Rodzina była zasiedziała w Warszawie, zacna i podczas okupacji ich poprzednie mieszkanie na Nowym Świecie było swoistą beczką prochu; tylko przytknąć lont i wybuchnie. Ukrywali się tam przyjaciele z getta i konspirowali ludzie z AK.

Wracając późną nocą, przyciskałem guzik dzwonka w bramie i po jakimś czasie słyszałem człapanie dozorczy. Jeżeli dzwoniłem zbyt natarczywie, pytał z wyrzutem: „Co to, straż pożarna!”

Nie był to zwykły „strupel”. Pan Jehanowski, nobliwy jegomość, z siwą, obfitą czupryną piastował niegdyś stanowisko administratora tego domu i jeszcze kilku innych stanowiących własność pewnego arystokraty o historycznym nazwisku. Po wojnie został zdeklasowany i był już tylko cieciem. Opowiadał mnóstwo ciekawych historyjek i anegdot o dawnych mieszkań

cach kamienicy: kupcach, przemysłowcach, aferzystach, artystach, birbantach, oryginałach, kwitując każdą opowieść gorzkim stwierdzeniem: „Nie była to taka urawniłowka jak teraz!”

Nie znosił elementu napływowego, który zaczynał zalewać miasto i tak powiadał: „Chamowi dać najmniejszy palec, a później pożre całą rękę.”

Wspinałem się służbowymi schodami na piąte piętro i otwierając drzwi, musiałem zawsze potknąć się o śpiącego w korytarzu wiekowego wilczura imieniem Pies. Kładąc się do łóżka słyszałem rozmaite głosy z mieszkań czworokątem obejmujących podwórze: miłosne zakłęcia, gniewne wyzwiska, płacz dzieci. A wczesnym rankiem niezmiennie budził mnie czysty alt pana Jana. Wychodziłem na ulicę i miałem przed sobą resztki ruin po cyrku Staniowskich (teraz konserwatorium), na lewo zaś zachowany parter zburzonego domu, wyrastały z niego jakieś krzewy i jedna dosyć okazała wierzba. Za tą ruiną widoczny był pałacyk Ostrogskich na Tamce. Dochodząc do zbiegu Ordynackiej z Kopernika i Tamką mogłem pokrzepić się piwem w zielonej, drewnianej budce. Tutaj często zatrzymywał swoją dorożkę stary, imponującej postury sałaciarz z siwymi, sumiastymi wąsami. Wyglądał jak klasyczny dorożkarz warszawski z XIX-wiecznych rysunków Franciszka Kostrzewskiego. Piwo pił powoli, smakując z lubością. Wycierał z piany wąsiska i ruszał Tamką w dół. Gdzieś tam miał swoją stajnię. Dbał o konia. Szczotkował jego boki, czesał grzywę, zimą okrywał go derką. Raz zobaczyłem tego starca, jak gładząc konia po chrapach coś mu czule szeptał.

Idąc Okólnikiem w przeciwną stronę, mijałem zachowaną oficynę na sąsiedniej posesji, następnie pseu- doklasycystyczny gmach biblioteki narodowej z czterema potężnymi kolumnami i wyrytą na frontonie łacin-

ską maksymą — Amor patria nostra lex. A dalej w dół do ogródków zakonnicy biegła ulica Szczygła, gdzie do późnych lat 50. stały dwie rudery z czerwonej cegły, odarte całkowicie z tynku, niemiłosiernie posiekane pociskami podczas powstania. Natomiast droga w górę prowadziła do imperium Kameralnej. Od Kopernika otwierał swe gościnne podwoje najtańszy lokal, zwany „Kameralną dla ubogich”. Od Foksał była nocna Kameralna i dzienna restauracja. Naprzeciw przybytek dla ducha, Państwowy Instytut Wydawniczy i jego kawiarenka, później w marcu 1968 roku nazwana w prasie miejscem knowań syjonistów i innych wrogów Polski Ludowej. Na ulicy Foksał, która ściągała trunkowych z całego miasta, można było spotkać Lolka Antoniewicza, gigantycznego pijaka i sowizdrzała. Twierdził, że napisał słowa do głośnego w latach międzywojennych przeboju „Najmilszą była mi bluzeczka twa zamiszowa”; Ale tych słów nie napisał. Jednak zostawił po sobie kilka innych zabawnych piosenek, pełnych wisielczego humoru i beztroski dawnej hulaszczey Warszawki, j Dostyc już tego bajczarstwa o czasie minionym! Dom na Okólniku stoi nadal i na pewno są w nim zaklęte duchy ludzi, których wspominam.

12. KSIAŻĘ NIEZŁOMNY

W Domu Chłopa też się zmieniło. Firmy, kantory, agencje. Zgodnie z duchem czasu jest nawet „Rancho Country Club”. Ale na parterze zachowała się jeszcze dawna restauracja, ciemna, dworcowa hala. Tu do późnych lat 70. zbierali się weterani miasta. Nie wiedzieć czemu upodobali sobie to miejsce i schodzili się na pogwarki okraszone gorzałą. Byli to ludzie, dla których żywa pozostała Warszawa lat przedwojennych, okupacji i czasu powojennego. Stare domy, ulice, knajpy, kabarety. Dawne historie, ludzie. Wszystko żyło w ich pamięci. Cóż to były za osoby! Lichwiarz, zwany dziadem, Zygmunt Krzywy. Lolek Antoniewicz, bard umarłych szynków i „artystek z warietcs, które miłości nie biorą zbyt na serio”. Bracia M., mówiący „żywym Wiechem”. Słynny z absurdałnego dowcipu hulaka B. Pan Kard, który miał rurkę w miejscu przełyku i mógł tam lać (i lał!) wódkę lejkiem. Na pewno zaglądał tutaj Stasiak S., wpisany w powojenne annały kryminalnych afer strzałem z pistoletu, który miał go pozbawić życia. Kula utkwiała mu w mięśniach potylicy i nic mu się nie stało. Ten cudowny przypadek spowodował ujęcie słynnego mordercy ludzi majątnych. Oni to stanowili rdzeń barwnego towarzystwa i tak czarodziejsko wskrzeszali miasto. Dawna Krochmalna i bazar Janasza. Pasaż Luksemburski i pasaż Italia. Restauracje Lija, Wróbla,

| Marek Nowakowski

Simona i Steckiego, Osochina, Kowalskiego. Kino Corso, Napoleon. Bujna, szalona noc od Adrii, Huraganu, Starej Baśni po Oazę, Polonię, Paradis, Strzechę i Sielankę. Pikniki w Młocinach, wiślani piaskarze, żulie na Starówce i Rybakach. Okupacyjny geszeft i patriotyczna konspiracja. Walki o Pastę, kanałem do Śródmieś-, cia, Krwawa Łaźnia na Powiślu.

„Białe niedźwiedzie”, 1 NKWD i bezpieka. Kurestwo i wzniosłość. Śmiech i gorycz.

Wszystko to bardzo dawne stało się tak bliskie, namacalne i czas miniony w tych niezwykłych opowieściach powracał z soczystą wyrazistością.

— Tam gdzie ja, tam i wódka! — wołał Lolek Antoniewicz, przypominając o zamówieniu następnej kolejki.

Wymarli w większości dawni bywalcy. Zabrała kostucha steranych wojowników. Nieliczni żyjący, niedołączni i dotknięci starczą demencją, wegetują w szpitalach, przytułkach. Tak sobie myślałem, zaglądając do tej restauracji na parterze. Nagle osłupiałem, jakbym zobaczył zjawę! Bo oto w kącie siedział przy stoliku Rysiek M., jeden z bohaterów tamtego zamkniętego rozdziału. Wyglądał nader dziarsko, choć bardzo był otyły. Taka baryła rozdęta od wieloletniego nadużywania trunków. Jednak oczy miał bystre, żywe i musiał coś ciekawego opowiadać, gdyż siedzący w jego towarzystwie młodzi eleganci podejrzanego pochodzenia bardzo byli zasłuchani. Zdumiewał w tej nieoczekiwanej odsłonie zachowany przez Ryśka M. jego niezmienny tryb życia. Popijał jak dawniej, korzystając z butelki umieszczonej w papierowej torbie pod stolikiem. Krzepił się raz po raz łykiem i toczył swą narrację. Zapatrzony w zjawę, przypomniałem sobie Ryśka M., jak w przyśpieszonym filmie, na przestrzeni przeszło czterdziestu lat.

Mały sklepik jubilerski na Chmielnej, przychodzą jacyś sportowcy, pragną sprzedać złotą bransoletkę.

— Czy to jucht? — pyta rzeczowo Rysiek M. Słowo „jucht” oznacza pochodzenie towaru z kradzieży.

Paradis we wczesnych latach 50. i Rysiek M. Każe kelnerowi zestawić stoły w podkowie. Wydaje improwizowaną libację i gości będzie co najmniej dwudziestu. Jest z nim jego starszy brat, siwy mężczyzna o szlachetnej twarzy, łudząco podobny do holenderskiego pisarza Multatuli, głośnego u schyłku minionego wieku. Mający tam także wyniosłą, dystygnowaną sylwetkę Andrzeja Szokalskiego, najprzystojniejszego mężczyzny z moich rodzinnych Włoch.

Wyprawa na Dół do Zygmunta Krzywego. Na ulicę Cecylii Śniegockiej. Pijemy w gronie opryszków z Czer- niakowa. Zygmunt prowadzi nas na wiślaną łachę, zwaną przez miejscowych wyspą Arara. Zygmunt | Krzywy (nos złamany kolbą pistoletu przez żandarma w czasie okupacji) był jednym z najstarszych przyjaciół Ryśka. Razem uczęszczali do renomowanego gimnazjum Giżyckiego na dalekim Mokotowie. Obaj z zamożnych mieszczańskich rodzin. Stara przyjaźń. Z tą różnicą, że Rysiek miał zawsze szczęście do zdobywania pieniędzy. Natomiast Zygmunt Krzywy był zupełnie pozbawiony talentów w tym względzie.

Znów potoczyło się ileś tam lat i z mgły czasu minionego wyłania się wczesnym rankiem Rysiek M. na bazarze Różyckiego. Rozbawiony, wielodniowy zarost na twarzy. Ucztuje na zapleczu jakiejś budy z Cyganami, paserami. A Lolek Antoniewicz wyśpiewuje mu frywolne kuplety rymowane na poczekaniu i zależnie od stopnia uznania Rysiek M. wciska mu w kieszeń banknot o większym lub mniejszym nominale.

Jak ten czas pędzi! Z tego pędu hulaszcznej trójki

przypomina mi się kolacja w Kameralnej i Rysiek M. pytający szyderczo:

— Ile trafisz na tych swoich książkach?

Parska śmiechem, słysząc odpowiedź. Mojemu koledze po piórze, Andrzejowi Bonarskiemu, proponuje ze względu na znajomość angielskiego dobrze płatną posadę korepetytora swej córki. Śmiech rekina, drawskie oczy, bujne włosy, wtedy tylko szpakowate.

Jeżeli chodzi o Andrzeja Bonarskiego, to drwina nie poszła w próżnię i jest on dziś dynamicznym wydawcą (żółta księga telefonów) i biznesmenem. Rysiek M. był jak opoka. Silny, twardy. Prymitywny i pozbawiony skrupułów. Wspaniale dawał sobie radę w gąszczu interesów, które uprawiał z talentem od okupacji przez cały PRL. Nade wszystko jednak uwielbiał szampańską zabawę w wesołej kompanii. Hojny był dla błaznów i tref-nisiów. Ladacznic i trubadurów. Balownik! Tak mówiono o nim w mieście.

Przepadli w nicości jego starsi i młodszy kompani. A on nadal w ciemnym kącie restauracji Domu Chłopa trwa na posterunku. Ci młodzi cwaniacy tak go chciwie słuchają. Jak miód spijają jego słowa. Aż opróżnił butelkę w papierowej torbie i zakołysał się po pijacku. Uwięzły słowa w gardle, opadła mu głowa. Wtedy jego płatny opiekun, eks-kelner Czombe, osobnik o urodzie małopolda, dźwignął z niemalym trudem jego masywne ciało i przy pomocy dwóch młodych słuchaczy zataasz- czyli go przed budynek do taksówki oczekującej na parkingu. Powiózł w domowe pielesze na zasłużony odpoczynek ostatniego z ostatnich, co tyle epok przetrwał w tym mieście.

13. CHWILA

Wszystko ci idzie — powiedzieli z podziwem. Było to po wielkiej grze. Zgarnął całą pulę. Tyle tego! Forsy, naszej i zieleniny, złotych krążków, złotych zegarków. Dorsz tak się splukał, że przegrawszy swoją złotą „Szafę”, chciał jeszcze grać o budę na bazarze. Na to się nie zgodził. Taki Dorsz ocknie się z pokerowego amoku jako zupełny golas i dopiero go znienawidzi na śmierć i życie. Naprawdę wszystko szło mu z powodzeniem. Czego się nie dotknął, od razu przemieniało się w szmal. Wybudował dom w Kobyłce. Prowadził warsztat samochodowy i klienci czekali w kolejce. Wszedł w spółkę z jubilerami i z tego też były duże pieniądze. Umiał zabezpieczać interesy i niejednego mundurowy czy tajny gliniarz z ręki mu jadł, kłaniając się z szacunkiem i pytając przymilnie: „Co tam słyhać, panie Jurku, jak leci?”

A on odpowiadał statecznie: „Pomału”.

Wtedy, po tym pokerze, wypchał kieszenie wygraną, szeleściło to i brzęczało. Był już dzień. Wyszedł na podwórze. Zapalił papierosa i oparł się o trzepak. Stąd miał widok na czerwone wieże kościoła św. Floriana. Ponad wieżami krążyło stado gołębi. Biała chmurka na tle błękitnego nieba. Wtedy poczuł to uniesienie. Przepelniła go ogromna siła. Nie wiadomo skąd się wzięła. Grali tyle godzin, przeszło dobę, papierosy, wódka.

A poczuł się taki rześki, lekki. To była siła nie tylko fizyczna. Czuł szum krwi w żyłach, serce waliło niby dzwon, mięśnie były gotowe do największego wysiłku, Ta siła domagała się ujścia. Zapatrzony w kościelne wieże i białe punkciki gołębi na błękitnie, zobaczył równocześnie stare, poszczerbione mury praskich domów, brudne kłębowisko bazaru, śmierdzące szczykami bramy, podwórza, drewniaki Bródna, rachityczne ogródki działkowe między torami. Zobaczył cały swój świat i wszystko to wydało mu się tak małe, ciasne. Dusilo jak obręcze i poczuł wewnętrzny nakaz, żeby śmiało i bez wahania rozerwać te więzy i ruszyć gdzieś daleko. Wystarczyło tylko zrobić jeden zdecydowany krok.

— Gdybym poszedł za tym wewnętrznym głosem... — mówi — to moje życie wyglądałoby inaczej. Czułem się silny jak byk i drzewa z korzeniami mógłbym wyrwać! A tak, co?...

Postał przy trzepaku, wypalił papierosa. A kiedy rozdeptał obcasem niedopałek, to uniesienie już opadło. Ruszył wolnym krokiem brukowaną kocimi łbami ulicą.

Jedna chwila z roku 1973 zapamiętana na całe życie! Jest teraz rok 1994. Liczy sobie pięćdziesiąt lat. Posiada dwa sklepy, hurtownię. Nie utonął. A jednak kiedy mówi o tamtym wielkim uniesieniu, jego głos pobrzmiewa smutkiem przegranej. Gdyby tak jak motyla zawrócić i zatrzymać tę ulotną, czarodziejską chwilę, która z szybkością światła popędziła gdzieś w kosmos i może dalej pędzi w nieskończonym bezkresie.

14. DOM CWAJNOSA

Typowy przedmiejski pejzaż. Pola, ogródki i niskie parterowe domki. Gdzieniedzie porzewiałe wraki samochodów, stopy żelastwa, śmieci. Obszar ten ciągnął się wzdłuż torów od Dworca Zachodniego do Szczęśliwie. Doskonale widoczny z okien pociągu, sygnalizował zbliżanie się do Warszawy. Na tle szarej ściany wieżowców i bloków, które napierały z przeciwnej strony, sprawiał wrażenie zapomnianej enklawy. W podwórzach krzątali się ludzie, zaprzęgali konie do wozów. Zaszczekał pies uwięziony łańcuchem do budy. Stado kur prowadził dostojny kogut. Skąpą trawę na kolejowym nasypie szczypała krowa.

Ta polno-łąkowa przestrzeń zmniejszała się z roku na rok. Ginęły łąki i chaszczce pożerane przez nowe arterie komunikacyjne. Znaczny obszar pochłonął poligon i zabudowania dla specjalnych rezerw milicji. Najdłużej trwał domek Cwajnosa, kombinowana pokraka budowlana do połowy z cegły, od góry drewniana ze spadzistym dachem pokrytym czarną papą. Podwórze ogrodzone było rzadkim, drewnianym parkanem i do bocznej ściany tego pokracznego domku przylegała szopa, w której właściciele trzymali klatki z królikami i na polach i zboczach nasypu kolejowego wycinali mlecz, stanowiący pokarm dla tych zwierząt. Tutaj mieszkał ojciec Cwajnosa i tu on się urodził. Powtarzał

chętnie zamierchłą opowieść o swoim przyjściu na świat. Matka wróciła z pola i wtedy chwyciły ją bóle. Przybiegła sąsiadka i urodził się noworodek płci męskiej, przezwany Cwajnosem już we wczesnych latach z powodu podobieństwa do buldoga. Krajobraz jego dzieciństwa był rozległy, płaski. Pobliska Ochota też w większości miała rzadką, niską zabudowę i jego ojciec, wybierając się na plac Narutowicza, mówił: „Jadę do miasta”.

Stary Cwajnosa pracował w szczęśliwickiej wago- nowni przy konserwacji taboru kolejowego. W wolnych chwilach zajmował się uprawą niewielkiego poletka i mieli własne warzywa, ziemniaki. Matka chodziła w sezonie do badylarzy, których gospodarstwa ciągnęły się aż do Włoch. Mieszkańcy sąsiednich domków trudnili się podobnymi zajęciami. Podczas okupacji Cwaj- nos jako wyrostek z innymi rówieśnikami zajął się Jutą" z towarowych pociągów. Proceder kiciarski ok ograniczał się jedynie do kradzieży węgla; zajmowali się również innymi transportami. To zajęcie stało się szczególnie atrakcyjne po wojnie, kiedy szły pociągi pełne wszelakiego zdobycznego dobra z Niemiec na wschód. Oczywiście było to bardzo ryzykowne. Dzięki swym talentom Cwajnos utrzymywał całą rodzinę. Był to niewątpliwie jego najlepszy czas. Zawsze przy forsie, ubrany w alianckie sorty mundurowe z camelem przyklepionym do kącika warg, bawił się z fantazją po knajpach i później, w podeszłym wieku, powtarzał z nostalgią- ' „Nie powiem, na kawalerce dobrze sobie żyłem”.

W pierwszych latach PRL-u dorobił się konia i platformy. Był jednoosobową firmą przewozową. Wkrótce zmotoryzował się i jeździł półciągarówką z wojskowego demobilu. Założył rodzinę i urodził mu się syn, też cwajnosowaty z wyglądu. A kiedy komuna zaczęła gnieść kapitalistyczne przeżytki, zaczął robotę na państwowym jako kierowca w bazie transportu. Syna wykształcił na technika budowlanego i pomógł mu w spłacie spółdzielczego mieszkania. Tak toczyło się życie Cwajnosa. Czasem wypijał ćwiartkę, którą nazywał starym, warszawskim zwyczajem „czterdziestką" i kiedy udało mu się wypić drugą, rozrzewniał się i śpiewał o młodej żebraczce w śniegowej zamieci, patrzącej tęsknie za pięknym, strojnym panem w saniach, zaprzężonych w ogniste konie. „Pudrowy śniegu tren, dzwoniły u sanek janczary—” — wyciągał Cwajnos, fałszując okropnie i wnet zasypiał. Z roku na rok kurczył się świat małych domków i zielonych ogródków. Większość sąsiedzkich zabudowań już przestała istnieć. Martwe, wałące się rudery, zarosłe dziczyzną podwórza. Wokół ryją ziemię buldożery. Tylko Cwajnos jeszcze trwa. Jest stary i schorowany, porusza się ociężale. Ale opuścić swego rodowego siedliska, jak powiada z dumą, nie ma zamiaru. Jego domek zapadł się głęboko w ziemię, ściany pękają, grzyb wszedł w podłogę i zimą okropnie kopci piec, więcej dymiąc niż grzejąc. Warzywny ogródek zarósł chwastami. Dawniej uprawiała go pieczołowicie kobieta. Ona już prawie wcale nie chodzi, połamał ją reumatyzm. Cwajnos człapie po obejściu. To i owo zreperuje, podpira kołkami wałący się płot, łąta dziurawy dach. Robota idzie mu powolnie, nie daje sobie rady ze wszystkim. Syn przyjeżdża z dziećmi raz w miesiącu. Dzieciaki hasają po podwórzu. Podoba się im u dziadka. Syn namawia ojca, żeby przeniósł się wreszcie do jego przestronnego mieszkania w bloku na Jelonkach.

Cwajnos kręci przecząco głową.

— To chociaż mamę zabiorę — mówi syn.

— Matka ze mną zostanie — odpowiada Cwajnos.

Syn czytał gdzieś, że mają tu budować jakieś magazyny, hale, garaże. Ziemię będą wykupywać.

— Mnie nie wykupią — mówi Cwajnos. Podnosi głowę i nasłuchuje narastającego łoskotu pociągu. Sprawdza czas na swoim zegarku. — Pośpieszny do Krakowa — stwierdza.

15. KRÓL KARNAWAŁU

Sezon dla nich rozpoczynał się przed Bożym Narodzeniem. Apogeum osiągał przed Nowym Rokiem i trwał przez cały czas karnawału. Swoją procedurę uprawiali tradycyjnie od lat. Niektórzy zaczęli jeszcze przed wojną. Baloniarze. Tak ich nazywano. A złośliwie kondoniarze! Bo mówiło się pokątnie, że z prezerwatyw potrafią bardzo zręcznie sponobić balony. Jak to dawniej powiadano: Olla Gum, cytując chętnie słowa piosenki: „Pod apteką wielki tłum, to sprzedają Olla Gum!” Ale oni tego przezwiska nie znosili i mogli zdrowo przyłożyć za taką obelgę. Na pewno posiadali swoje zawodowe sekrety. Pracowali rodzinami. Gromadzili materiał i za pomocą pompek umiejętnie kształtowali gumę, modelując ją często na podobieństwo ludzkich i zwierzęcych głów. Farbowali, dolepiali rozmaite ozdóbki i tak przysposobiwszy towar wychodzili na miasto. Stawali na rogach ulic i zaczynał się handel. Pierwszymi nabywcami były oczywiście dzieci. Nie mogły oderwać zachwyconych oczu od brodatych krasnoludków, świętych Mikołajów, Herodów, Murzynów, diabłów, aniołków, groźnego Ali Baby w turbanie, wilka, niedźwiedzia i poczciwych zajączków. Balonów była różnorodność i oprócz tych zwykłych kulistych szczególnym wzięciem cieszyły się te podobne do ludzi i zwierząt.

Wśród baloniarzy najbardziej znany był osobnik ® zwany Kulfonem. Mieszkał na tak zwanym Dzikim Zachodzie albo Syberii. Jeżeli dobrze pamiętam, w połówefri czynszowej kamienicy, zachowanej po wojennych bom- | bardowaniach na ulicy Łuckiej. Nie był już młody i żył j przez cały czas z kitu i bajeru, jak to się mówi w mieście. Czasem najmował się do rozładunku wagonów na | bocznicę towarowej przy Dworcu Głównym. Pomagał handlarzom z bazaru na Pańskiej. Pomagał też swojej kobiecie, która handlowała kwiatami. Ale wszystko to robił niejako z przyiriusu. Najchętniej wystawał z kumplami i gawędził. Dopiero z prawdziwym zapalem brał się do handlu przed Bożym Narodzeniem. Balony to była jego specjalność. Zwracał uwagę niesamowitym kształtem swego ogromnego, czerwonosinego nosa, który składał się z wielu cząstek jak grona jakichś owoców, porowatych i nabiegłych krwią, przypominających trochę truskawki. Dlatego przezwano go lapidarnie i banalnie Kulfonem, bo ten nos właściwie stanowił 0 całej jego twarzy. Po prostu nie można było oderwać spojrzenia od takiego okropieństwa natury. Jego nos nabierał szczególnego znaczenia wraz z początkiem sezonu sprzedaży balonów. Monstrualny wygląd i rozmiar jego organu powonienia komponował się nad wyraz sugestywnie z kopułą kolorowych balonów wznoszących się nad głową Kulfona. Stawał się magnesem

I działał z niebywałą mocą. Dzieci przystawały urzeczony, przenosząc wzrok z jego nosa na balony i z powrotem. Na nic perswazje rodziców. Nie chciały odejść i pragnęły cudu z nadmuchanej gumy o takim nosie, który w jakiś sposób mógł im przypominać wygląd twarzy sprzedawcy. Zdarzało się, że mówiły: „Ja chcę koniecznie!... Ja chcę!...” — wskazując na Kulfona. On zachowywał kamienny spokój. Wiedział, że nie odejdą. Tak! W nosie tkwiła tajemnica jego powodzenia, ra

najlepszy w tym sezonowym handlu. Rekordzista sprzedaży. Ta dobra passa trwała nieprzerwanie od Świąt przez Sylwestra i soboty wielkich balów aż do końca karnawału.

Działo się tak co roku i jego obecność na handlowym posterunku rejestrowałem od wczesnych lat 50. do późnych 60. Nos rósł mu nieprzerwanie, olbrzymiał, potworniał, przybywało coraz więcej truskawkowych cząstek. Już zasłaniał usta, zwisał nad brodą. „Raczyd- ło” — informował rzeczowo. „Ale łagodne”.

Przyszedł taki rok, chyba był to rok 1966, i już go nie zobaczyłem na żadnym ze stanowisk w najruchliw- szych miejscach miasta. W następnych latach też nie pojawił się więcej. Może to łagodne raczydło zamieniło się w złośliwe?

16. DUCHY Z SAMSONA

W Samsonie bywał Adolf Rudnicki, który zachodził tu z sentymentu dla zachowanych w karcie potraw kuchni żydowskiej. Dramaturg Kazimierz Korcelli odprawiał swoje samotne seanse nad kieliszkiem o ściśle przestrzeganych godzinach. Andrzej Babicz, jeden z najbardziej niezłomnych pijaków, wpadał zazwyczaj do Samsona późnym wieczorem, kończąc obchód knajp miasta. Przeważnie był bez grosza, ale z niezrównaną ekspresją wcielał się w lotnika z dywizjonu 303 czy powstańca z „Baszty” lub „Parasola”. Czasem wdzięczniejsi słuchacze stawiali mu wódkę. Wtedy jeszcze niektórzy w mieście pamiętali jego brata, architekta i uwodziciela, bohatera romansu z młodziutką dziewczyną o urodzie niewiniątka nazywanej Lolitką (słynnej książki nie czytano, lecz wiele o niej mówiono), która poczyniła duże spustoszenia w męskich sercach i osiadła później w Nowym Jorku jako żona milionera. Przerywamy ten wątek zdecydowanie, żeby nie stwarzać fałszywego mniemania, iż tekst może dotyczyć światowego życia i światowych metropolii. Znajdujemy się przecież w zadymionej salce w Samsonie przy bufecie i Andrzej Babicz opowiada niez mordowanie. Naraz jego dostojna głowa z bujną szopą szpakowatych włosów opada bezwładnie na stolik. Kelnerki, panie w więcej niż średni® wieku, traktują go po macierzyńsku i po jakimś czasie

dopiero zbudzą go delikatnie. Andrzej Babicz opuści gościnny lokal i potoczy się w dół ulicą Mostową. Ale niewątpliwie najdawniejszym gościem Samsona był Mięciu „Podaj cegłę”. Przychodził od dnia uroczystego otwarcia tej restauracji na parterze w jednej z odbudowanych z pietyzmem dla dawnej architektury kamieniczek przy ulicy Freta. Był to chudy, żyłasty mężczyzna o ogorzalej twarzy i intensywnie niebieskich oczach. Wcześniej osiwiiał i postępująca starość odznaczała się zwiększoną ilością bruzd i zmarszczek na twarzy. Przy szczupłej, niewysokiej posturze zwracały uwagę jego dłonie ogromne jak łopaty, o sękatych palcach, które świadczyły o latach fizycznej pracy. Mięciu „Podaj cegłę” był warszawskim murarzem i synem murarza. A jego dziadek był cieślą w dawniejszych czasach, kiedy w budownictwie jeszcze przeważało drewno.

Ojciec przed wojną wznosił nowoczesne kamienice na Mokotowie i kolonię oficerskich domków w okolicach placu Wilsona. Mięciu „Podaj cegłę” po wojnie został budowniczym Starówki. Jako murarz miał mało równych sobie i jego trójka osiągnęła imponujące wyniki. Głośno wtedy było o Mięciu, przodowniku socjalistycznego wyścigu pracy. Opisywano go w gazetach, filmowała kronika, nagrody, ordery. Starówka, to dzieło zbiorowego trudu, cieszyła oczy artystem rekonstrukcji i jako nagrodę otrzymywali mieszkania w tych pięknych jak dekoracje teatralne domach zasłużeni przedstawiciele różnych zawodów. Mięciu za sąsiadów miał pisarzy, muzyków, malarzy. Wymieniał ukłony i demokratyczne uściski dłoni z jakimś kompozytorem nagrodzonym państwową nagrodą za utwór o pokoju, malarzem o podobnie ważnym dorobku czy głośnym reżyserem, wsławionym wystawieniem na przykład „Brygady szlifierza Karthana”. Miał to być żywy dowód na powstanie państwa robotników, chłopów i inteligen

cji pracującej. Mięciu „Podaj cegłę” idealnie pasował na bohatera powieści tamtych czasów. Partyjniak, zasłużony swą murarską, „szorstką ręką” budował nowy ład. ; Ale życie często staje dęba przeciw schematom i nagła • zawierucha wywróciła wszystko do góry nogami.

Namiętność Mięcia musiała być bardzo silna, skoro wygnał żonę z dziećmiakami. Właściwie to kobieta sama uciekła. Nie mogła znieść tego piekła, które doprowa* Jf dziło do rozkładu szczęścia rodzinnego. Zabrała dzieciaki i wróciła do matki na Kamionek.

Ta druga była młodą dziewczyną i tylko zabawy i uciechy miała w głowie. Zamieszkała u Mięcia i rozpoczęło się tam nieustające pasmo przyjęć, hulank zamieniających się w wielodniowe słowiańskie bachana- lia. Nie znalazł Mięciu „Podaj cegłę” szczęścia w miłości swego życia. Raz po raz brali się za łby i wyrzucał precz posiniaczoną dziewczynę. Potem szukał jej po knajpach, melinach, dworcach. Ona była z rodzaju puszc- czalskich i miewała sezonowych kochanków. Po jakimś czasie wracała ze szczerą skruchą do Mięcia. Pili na zgodę i zapewniali sobie o dozgonnej wierności. Wreszcie rzuciła go ostatecznie. Poszła sobie z młodym choj- rakiem, przywódcą staromiejskich żuli, polujących na „jeleni”, zagubionych pijaczków stanowiących najłatwiejszą do obrobienia zwierzynę. Pozostał Mięciu „Podaj cegłę” w pustym mieszkaniu na drugim piętrze kamieniczki w cichym zaułku na tyłach rynku. Pił z rozpaczy do lustra. Dalsze jego losy są dosyć typowe. W szybkim tempie pożerał go alkoholizm i jego mieszkanie stało się popularnym miejscem schadzek za pieniądze, przytuliskiem dla ściganych rzeźmieszków, przechowalnią lewego towaru. Zdewastowane i brudne, przypominało norę. Mięciu, bohater socjalistycznej pracy — medale i orderzy jednak przechowywał pieczołowicie w pudełeczkach wyłożonych czerwonym aksamitem,

POWIDOKI 63

dyplomy w złożonych ramkach obsrane przez muchy wisiały na ścianach — przeistoczył się w zdegenerowa- nego łazęgę, szarpanego przez alkoholiczną trzęsionkę. Gdy udało mu się zdobyć więcej forsy, zachodził do Samsona i tu chętnie opowiadał o dawnej świetności.

— W gazetach o mnie pisali — powtarzał chępliwie. — Bierut grabę mi ścisnął.

Mało kto chciał go słuchać. Jedynie szatniarz, też emeryt z tamtych czasów, wykazywał najwięcej cierpliwości. Może Adolf Rudnicki niekiedy podnosił głowę znad talerza zupy z łazankami i zielonym groszkiem; patrzył w zamyśleniu na siwowłosego starca o ceglastej twarzy. Andrzej Babicz mógł z nim gawędzić z braku innych słuchaczy. Kazimierz Korcelli zdecydowanie nie interesował się życiem zewnętrznym, skupiony nad swoim kieliszkiem.

Pierwszy z nich odszedł Mięciu „Podaj cegłę”.

Jeżeli gdzieś w wieczności jest duplikat Samsona, to muszą się oni spotykać w tym lokalu niebieskim.

17. LUDZIE Z EKD

Moja siostra pamięta kolegów jeszcze sprzed wojny, którzy jeździli kolejką do gimnazjum Górskiego i dwóch synów pana M., studentów architektury. Zginęli podczas powstania. Także profesora G., oryginała, badacza kultu Słońca u ludów pierwotnych. Jego widywałem po wojnie. W wyszarzałej i obszarpanej jesionce z aksamitnymi wyłogami na kołnierzu. Miał dużą, żółtawą twarz bez zarostu. Nadal pisał dzieło swego życia, które rozsadzało jego starą, przedwojenną teczkę. Utrzymywał się z korepetycji i jeździł naszą kolejką regularnie w godzinach popołudnowych. Zajmował miejsce przy oknie i od razu zatapiał wzrok w jakiejś książce, którą wyciągał z przepaścistych kieszeni jesionki.

Intrygującą postacią był starszy pan o wąskiej, śniadej twarzy z sępiem, drapieżnym nosem. Ormianin, rodem ze Lwowa, handlował dywanami. Wiedzę o nim posiadaliśmy od rodziców. Podczas okupacji nie miał lekkiego życia. Brano go za Żyda. Nam, chłopcom, kojarzył się z egzotyką, Orientem. Naturę miał towarzyską i chętnie wdawał się w rozmowy z towarzyszami podróży. Mówił zaciągliwie, śpiewnie, z miękkim akcentem. Często siadając na ławce, zajmował miejsce obok siebie dla majestatycznego pana, który zimą ubierał się w futrzaną bekieszę i wysoką czapę z rdzawego lisiego futra. Majestatyczny pan chodził bardzo powoli, wspierając się laską i Ormianin dawał mu znaki przez okno wagonu, powiadamiając o zarezerwowanym dla niego miejscu. Pan w futrach czernił sobie brwi i wąsy, a ściągając lisi kołpak odsłaniał żółtawą łysinę, jakby wytoczoną z kości słoniowej. Był ziemianinem, który stracił majątek na Wschodzie i znał się świetnie na dywanach. Obaj z Ormianinem jeździli kolejką do popularnej wtedy w Warszawie kawiarni Gajewskiego, zwanej Bunkrem i spędzali tam wiele godzin, zajmując się interesami.

Pasażerem również często przez nas widywanym był pewien pan, nadzwyczaj starannie ubrany, w ciemnym garniturze w białe prążki, czarnych półbutach chronionych w słotne dni kaloszami. Nosił zawsze kapelusz z ciemniejszą tasiemką wokół runda. Poruszał się niezwykle godnie, miarowym, sztywnym krokiem. Pracował w bankowości i przed wieczorem jeździł drugi raz do Warszawy na spotkanie z narzeczoną, której jednak nigdy nie przywoził do Włoch. Był starym kawalerem i mieszkał z wiekową matką. Moja matka darzyła go głęboką antypatią i nieraz słyszałem, jak mówiła ojcu, że jego narzeczoną dawno już powinna go przepędzić. Fascynował sposób, w jaki odkłaniał się i uchylał kapelusza. Była to pełna dostojeństwa pantomima i często dla draki kłanialiśmy się bardzo unieżenie, czekając na odpowiedź.

Nie od razu wsiadaliśmy do kolejki. Jedna odjeżdżała, druga przyjeżdżała, a my nadal wystawaliśmy, oczekując na godnych obserwacji towarzyszy podróży. Mógł to być pan o czerwonej, apoplektycznej twarzy z bordową muszką na szyi. Miał niezwykle ruchliwe dłonie, palcami wystukiwał denerwujący takt na blacie stolika i powtarzał raz cichym, to znów tubalnym głosem jakieś dziwaczne kwestie.

Na przykład: „Moja noga tu więcej nie postanie, ty stara kurwo!”

Słowa te wypowiedział z tak wielką ekspresją, że nawet konduktor kasujący bilety zatrzymał się jak wryty w przejściu między ławkami i spoglądał na niego ze zdumieniem.

O, tak! Warto było zająć miejsce naprzeciw tego pasjonata.

Nieźle było też podsłuchiwać rozmowę dwóch więziennych strażników w ciemnozielonych czapkach, którzy przeważnie zajmowali miejsca stojące na pomoście* Rozmawiali o więźniach znajdujących się pod ich surową pieczęcią i rozbudowanym systemie kar stosowanym wobec nich za rozmaite przewinienia.

Bardzo lubiliśmy zajmować miejsce w wagonie dla palących naprzeciw pana L., dyrektora włosowskiej fabryki przyrządów pomiarowych „Era”. Był wysokim mężczyzną o ciemnej, wyrazistej twarzy i srebrnych, falistych włosach. Namiętnie palił amerykańskie papierosy i czytał obcojęzyczne czasopisma. Sprawiał wrażenie cudzoziemca w swojskiej cizbie pasażerów naszej kolejki i kojarzył się z brukowymi powieściami o wytwornych hazardzistach w Monte Carlo lub arystokratkach z wyścigów konnych w Anglii.

Natomiast rozkoszą dla budzącej się wyobraźni erotycznej była podróż z roślą, długonogą blondyną. Walczyliśmy zawzięcie o zdobycie najlepszego miejsca w pobliżu tej damy. Tak wspaniale zarzucała jedną nogę na drugą i pod spódnicą odsłaniały się jej uda. Była to odsłona piorunująca i przez długi czas długonoga blondyna stała się kobietą naszych mrocznych snów.

Podróże kolejką powszedniały jednak i doskonale znani pasażerowie nie budzili już żadnych skojarzeń. Często usadowiwszy się wygodnie na ławce, przenosi* liśmy znudzony wzrok z twarzy sąsiadów na równinny pejzaż za oknem i zapadaliśmy w drzemkę.

18. HIPEK, JADŹKA I PAROWÓZ

Czasem życie toczy się szlakiem cnót. Czasem krętą, śliską drogą występków. Może to być wybór świadomy. A nieraz po prostu hamulcem bywa strach, tchórzostwo. Jeszcze można nie odróżniać cnoty od występku. Hipek jest przykładem tej trzeciej drogi. Przyszedł na świat w wielodzietnej rodzinie i bieda przejawiała się w postnej strawie i wielokrotnie łątanym odzieniu na grzbiecie. Nauki, jakie pobierał, sprowadzały się do tęgogo lania i wyzwick. Ojciec brak życiowego fartu topił w gorzałce. Hipka obdarzyła natura siłą fizyczną ponad przeciętność i wcześniej zaczął z niej korzystać. Zabierał w szkole chłopakom z lepszych domów śniadania i pięścią zmuszał ich do milczenia. Bardzo lubił „pańskie skórki”, ale nie miał na ten smakołyk pieniędzy.

Spoglądał łakomie na kolorowe bryłki rozłożone na papierze i przenosił wzrok pełen namysłu na staruszkę- -przekupkę, która siedziała na niskim stołeczku przed swą skrzyneczką, stanowiącą przenośny kramik. Aż zdecydował się i kopniakiem wytrącił babce stołek spod siedzenia, oburącz chwycił skrzyneczkę i pobiegł w krzaki nad gliniankę. Babka darła się wniebogłose. Hipek biegł coraz szybciej. Obzarł się wtedy upragnioną słodyczą i go zemdliło. W taki sposób pierwszy raz spróbował. Potem już mu szło..Siłą brał i uciekał. Kopyto w garści miał tęgę, nawet starsi padali.

Największe uznanie zdobył sobie rozbrojeniem pija- J nego Niemca, banszucą. Upatrzył go w bufecie kolejowi wym i poszedł za nim jak wilk za owcą. Tamten szedł wzdłuż torów do wiaduktu. Hipek zastąpił mu drogę przy semaforze i zaatakował w milczeniu. Jego pięści były niezawodne, umiał także walić łbem. Niemczyk padł i znieruchomiał na żwirze nasypu kolejowego! Hipek ściągnął mu giwer, zabrał pas ze spluwą i metodycznie zrewidował kieszenie. Podobno znalazł pokaźny zwitek „młynarek”, okupacyjnych banknotów. Broń sprzedawał patriotom z konspiracji. Podobno targował się z nimi. Wiedział, drań, jak bardzo potrzebowali broni. Jego wyczyn nabrał jednak posmaku patriotycznego i starsi, pokazując go sobie, poszepty wali coś między sobą.

Hipek reputację swą utrwalił, biorąc udział w walkach naszego miasteczka z Okęciami. Kiedyś toczyły się takie boje i na przykład wataha z Okęcia wpadała do Włoch i tłukła kogo popadło.

Hipek wybierał się ze starszymi chłopakami na wyprawy wojenne i nieraz jego odwaga, siła decydowały

o przewadze. Był typem samotnika i od wczesnych lat chodził własnymi drogami. Masywny, nad wiek fizycznie rozwinięty i ociążony. Poruszał się niezgrabnym, przewalistym krokiem osiłka i nie było z nim żartów. W bójkach okrutny, zawzięty i leżącego już przeciwnika potrafił przydeptywać obcasami. Wcześniej zdobył samodzielność. W jego rodzinie wszyscy chowali fę samopas. Milczek o szerokiej, nieruchomej twarzy i niebieskich, wodnistych oczach. Jego oczy były bez wyrazu i zawsze niewiadomą pozostawała reakcja. I l cował dorywczo, zależnie od sezonu i potrzeby rąk do pracy; bywał kopaczem rowów melioracyjnych, || mocnikiem murarza na budowie; zatrudniał się P¹²? wyładunku wagonów na bocznicę towarowej.

Najbardziej odpowiadał mu lekki chleb. Tak u nas mówiono. Wybierał się na karpie do zakonnych stawów i później wystawał z workiem trzepoczących się ryb na targu. Gdzieś zniknął na kilka dni i wróciwszy powiadał krótko: „Była robótka”. Znacząco mrużył jedno oko. Często zasadał się pod knajpami i polował na pijaczków. Zabierał im zegarki, sprawdzał portfele. W tym procederze kilka razy powinęła mu się noga i wtedy dostawał się do pudła. Raz siedział tylko w śledztwie, uszkodzony bowiem (chyba ze strachu) nie rozpoznał go jako rabusia i napastnika. Drugi raz dłużej, z wyrokiem. W więzieniu potrafił sobie zdobyć uprzywilejowaną pozycję dzięki swej sile i bezwzględności. A z jego skąpych relacji wynikało, że leżał sobie na koju, kurzył szlugi i frajerzy mu usługiwali.

Powrócił do naszego miasteczka bogato ozdobiony tatuażami i trybu swego życia wcale nie zmienił. Jego ulubioną rozrywką była hodowla gołębi, zamiłowanie przejął po ojcu, często można go było zobaczyć, jak ganiał swoje stado, gwizdząc przenikliwie i potrząsając tyką ze szmatą na końcu. Długo trwał w kawalerskim stanie i najchętniej korzystał z łatwych kobiet, których było kilka w miasteczku. Przynosił wódkę, zakąskę i zostawał na noc. Zaprzyjaźnił się z osobnikiem nadzwyczaj do siebie podobnym z postury i upodobania do lekkiego chleba, przezwanym, nie wiedzieć czemu, Parowozem.

Parowóz miał kochankę Jadźkę i widywano ich we troje. Potem Parowóz odsiadywał kilkuletni wyrok za włamanie i Hipek już jawnie żył z jego kobietą, Jadźką. A kiedy Parowóz wyszedł na wolność, znów chodzili we troje. Hipek oprócz gołębi oddawał się z zamiłowaniem szaleńczej jeździe na motorze. Jeździł ogromnym, starym harleyem z przyczepą. Gramolił się na siodełko, przekręcał rączkę gazu, rozlegał się ryk silnika i harley

jak czarny rumak pędził, wzbijając tumany kurzu. Zatrzymywał się przed tą kilkupiętrową kamienicą z czerwonej cegły przy ulicy Armii Czerwonej, dawnej Piłsudskiego, i Jadźka wsiadała do przyczepy. Gdzieś jechali i wtedy lekki, jednak wyraźny wyraz satysfakcji pojawiał się na nieruchomej, jak wyrąbanej z kamienia twarzy Hipka. Parowóz umarł na raka w późnych latach 70. i Jadźka zamieszkała razem z Hipkiem w jego rodzinnym domu. Był to parterowy murowaniec, który zbudował przed wojną jego ojciec. Od frontu znajdował się kwiatowy ogródek, a z tyłu podwórze z przylepię-? nym do bocznej ściany składzikiem na opał i budą gołębnika.

Jadźka urodziła Hipkowi córkę. Wraz z dwójką dzieciaków po Parowozie była to trójka i Hipek zostaj głową pięcioosobowej rodziny. Był już posiwiiałym mężczyzną z ogromnym brzuchem, który obwisła banią wylaził mu spod spodni. Ale siłę zachował i czasem po wódce zakładał się z młodymi o następną wódkę. Zakład polegał na waleniu go pięścią w brzuch. Jeżeli zgiął się i zastękał, przegrywał. Przeważnie znosił ciosy bez oznak najmniejszego bólu. Stał niezłomnie i mówił z drwiną: „No, ładuj jeszcze raz!”

Handlował wódką i o każdej porze nocy i dnia można było nabyć u niego flaszkę. Równocześnie zatrudniał się jako stróż pobliskiego magazynu materiałów budowlanych. Niedawno przejeżdżałem przez swoje rodzinne miasteczko. Wszystko się zmieniło. Wyrósł nowe domki, rezydencje, pałacyki. Na polach badylarze zbroją teren pod następne osiedle, może motel czy stację benzynową. Pośród tego obcego otoczenia pozostał szary, parterowy domek Hipka z gołębnikiem i ogródkiem pełnym kwiatów. Zobaczyłem na podwórku masywnego, otyłego osobnika. Majstrował przy wielkim moto* cyklu.

19. CZAROWNA NOC

To prawda, że na gest trzeba mieć forszę. Ale nie każdy z forszą ma gest. Ziutek tak. Nieraz z porywu serca stawiał wódkę całej kompanii golasów, warujących na darmowego kielicha pod Klubową. A jak ugościł rajzerów na dworcu. Żłopali tak zachłannie. Szła flaszką za flaszką.

„Niech się bawią — mówił Ziutek. — Należy się im.”

Co prawda nie było żadnej zabawy. Padali pokotem, niezwyčajni wódki, pijali przecież denaturat. Podczas tęgiej zimy dziwkom wystającym bez powodzenia na ulicach potrafił rozdawać hojnie pieniądze, nic w zamian nie żądając. Miał serce i gest.

W tamtych czasach, żeby być beztroskim utracju- szem, trzeba było mieć solidne zaplecze. Komuna gnioła dawnych posiadaczy, burżujów, wyzyskiwaczy i ciężko było pomnażać bogactwo. Ryzyko, duże wyroki. Byli tacy, co ryzykowali. Rysiek M. pod przykrywką małego, biednego handelku prowadził rozległe interesy. Skupował złoto, kamyki. Jako pierwszy swoimi kanałami (miał okupacyjnych kumpli na stanowiskach, inni po obozach osiedli za granicą) sprowadzał do kraju syntetyki. Sztuczne, ale też w wysokiej były cenie. Pewnej wesołej nocy w Polonii rozbawiony Rysiek wysypał z zamkowego woreczka całą garść tych syntety-

ków na blat baru. Zalśniły tak pięknie jak naturalnej szlachetne kamienie.

„Będzie na diadem dla mojej księżniczki!” — wołał Rysiek, zwany przez wielbicieli Quo Vadis Petroniu® szem.

Wtedy kochał się w Izie Drabinie.

Po jednym dał w prezencie dziewczynom zebra\$ nym przy barze. Kamykiem zapłacił za wódkę. Cud, że nikt go nie zakapował! Miał szczęście. Barman był kapusiem, ale sprzedawał tylko obcych. Ziutek, który w beztrioskiej zabawie nie ustępował wcale Ryškowi, miał zaplecze w postaci ojca. Jego stary to epopeja ciężkiej, zapobiegliwej pracy. Twarda opoka. Przed wojną był właścicielem doskonale prosperującej firmy przewozowej. Tak samo podczas okupacji i w pierwszych latach po okupacji. A kiedy władza ludowa już ostatecznie wzięła za gardło klasę posiadaczy, stary zachował platformę i jednego konia. Takich drobnych właścicieli jeszcze tolerowano. Ale co miał, to miał. Na pewno kilka słoików z blitem zakopanych w ogródku. Jeszcze w innych miejscach. Starszy brat Ziutka zginął w powstaniu i cała miłość rodziców przeszła na niego. Został jedynakiem. Pozwalali mu na wszystko. Sprowadzał dziewczuchy i, żeby mieć święty spokój, wybił od frontu drzwi, bezpośrednio do swego pokoju. Stał się w ten sposób niezależny od swoich starych. Szczególnie od tego męczącego biadot lenia matki: „Znowu rogowkę sobie sprowadziły Ozeń się wreszcie, łajdaku”. Teraz miał spokój. Na brak „floty” nie narzekał, gdyż zawsze potrafił odkryć w schowkach domowych złote krążki, dolary || świnki, które upłynniał znajomym waluciarzom. „Flo ta!” Cóż to za poetyckie określenie pieniędzy. ||1 czywiście pływał po oceanach uciech i był sobj sterem i okrętem.

Ziutka stary, człek ciężkiej pracy, sam nigdy nie pozwalał sobie na żadną rozrzutność; odkrywając ubytek w swoich skarbach pieklił się i złorzeczył, szybko jednak topniał jak воск. Boskie życie jedynaka! Ziutek jak żeglarz hulał od Tatr po Bałtyk. Bo i nocna Watra w Zakopanem nie była mu obca, wynajmował górskie sanki i pędził od knajpy do knajpy. Latem zaś Grand Hotel był jego przystanią.

Nad tą hulaszczą beztrioską zbierały się czasem czarne chmury. Groźne przesłuchania i pobyt w piwnicach bezpieki na Sierakowskiego. Obawa karnej wywózki z Warszawy. Koszmarna służba w kopalnianym wojsku na Śląsku. Nieraz zdarzało mu się powiedzieć przez zaciśnięte zęby: „Tango złamane życie!” Ale taki upadek ducha nigdy nie trwał zbyt długo. Zresztą nie piszemy jego życiorysu, zajmując się jedynie tą zabawową, dominującą cechą jego natury.

Pewnego wieczora roku 1953 opuścił dość wcześnie Paradis i szedł wolnym krokiem, zastanawiając się, jak i czym zabawić się dalej. W nastroju był melancholijny i nie myślał o dziewczynach. W okolicach Dworca Głównego napotkał uliczną orkiestrę, tych popularnych grajków, co przemierzali miasto od bazaru Różyckiego po Chmielną, wygrywając stare melodie i śpiewając stare piosenki. Zamierzali przejechać się podmiejskim pociągiem, żeby graniem i śpiewaniem umilać pasażerom podróż. Ziutek zapakował muzykusów Kiziorów (pili oni tego!) w dwie taksówki i szumnie zajechał pod dom swoich rodziców we Włochach. Było ciepło i rozsiedli się w ogródku. Wyciągnął z domowej piwniczki zakąski i trunki, które co roku rytualnie przygotowywał ojciec. Butelki z wiśniową nalewką i spirytus na miodzie. Było tego! Jego starzy spali twardym snem po pracowitym dniu. Tymczasem w ogródku rozpoczęła się huczna zabawa. Muzykanci pojedli, popili i zaczęli muzykowanie.

Starali się, jak mogli i wygrywali najlepsze kawałki ze swego repertuaru. Tak rzewnie ciągnęli „Ramonę*!”, „Barcelonę”, „Ostatnią niedzielę”, „Polesia czar” i „Murkę”. Wśród nich był zapiewajło i on to zaczął śpiewać ochrypłym, lecz mocnym głosem. Wkrótce w tej dwupiętrowej kamienicy zapaliły się światła i w oknach pokazali się ludzie.

Niektórzy co bardziej nieprzytomni po śnie, zapytywali: „Co to, wesele? Żeni się pan Ziutek?”

Rodzice, stary w kalesonach i siatce na głowie, matka w nocnej koszuli i papilotach, przybiegli do ogródka. Początkowo byli wściekli. Tak wytrącać ludzi ze snu głęboką nocą! Ale ta muzyka, ten śpiew pod wygwieźr dżonym, letnim niebem ma swój czar. Ucichli i słuchać zaczęli. Stary rozchmurzył się zupełnie, kiedy zagrali mu „Pierwszą Brygadę”. Koncert z przerwami na wypitkę trwał do szarego świtu, zwiastującego wschód słońca. Muzykanci padali kolejno na murawę, zmorzeni wysiłkiem muzycznym i gorzałką. Czynnym pozostał tylko harmonista, który grał i śpiewał.

„Ramona, twe usta i ramiona...” — ciągnął ochrypłym barytonem. Urwał w połowie frazy i też padł, Harmonia spadając wraz z nim na ziemię wydała długi, płaczliwy dźwięk, jakby z żalu, że już musi przestać grać. Na placu boju pozostał samotnie Ziutek. Czuł się lekki, rzeński i ciągle szumiały mu w głowie strzępy melodii, słów. Wstawał letni dzień. Odezwały się pierwsze ptaki. Trawa błyszczała rosą. Wyglądała jak dywan z okruciami diamentów. Powietrze było łagodne jak aksamit. Postanowił iść nad gliniankę i popływać trochę. Rozpierała go energia i radość życia. To były i czasy!

20. BAZAR RÓŻYCKIEGO

W 1952 roku zobaczyłem pierwszy raz króla bazaru na Pradze. Leszek Kulas. Tak go nazywano. W przeciwieństwie do oficjalnego języka PRL-u, który trzebił bezwzględnie wszelkie odmiany monarchizmu i jego terminologię, tutaj w wolnym świecie szafowano nader chętnie takimi tytułami jak król, książę, hrabia. Pełno było tych panów feudalnych. Król pikiety bikiniarskiej w Śródmieściu, Czarek. Król paserów, Pchełka. Książę alfonsów, Edek Szatan. Zawodowy uwodziciel, Hrabia. Oczywiście król też rządził bazarem po lewej stronie Wisły, na Pańskiej. Nie mówiąc już o tradycyjnie wybieranych królach Cyganów.

Kulas był potężnym, rudowłosym mężczyzną o dobroduszej twarzy i wesołych, niebieskich oczkach. Spacerował przy bramach wejściowych na bazar, od Ząbkowskiej lub Targowej. Postukiwał sztuczną nogą i żartował z kobietami. Wyglądał na beztróskiego ren-
cistę z powodu kalectwa.

„Globus ma jak chiński uczoney”. Taką pochwałą obdarzył go ktoś znający się na rzeczy. Sposób jego pracy dla naiwnego oka był trudno uchwytany. Właściwie tylko spacerował. Z tym się przywitał, tamtego zaczepił, a z innym oddalił się na stronę. Wnikając głębiej pod ten zwodniczy naskórek można było dostrzec, że coś czasem odbierał od tych napotka

nich niby przypadkiem osobników lub coś im wręczał,,: Ten rytm spacerowy uprawiał od rana do wieczorki Później przychodził czas na relaks w knajpach: U Inwalidów, Pod Żółwiem czy U Marynarza na Brzeskiej| którego to relaksu finalnym akordem była przeważni^. Oaza na Targowej. Odpoczynek ten zresztą łączył się z pracą. Przy knajpianym stoliku zawierał jakieś transakcje i finansował jakieś skoki. Miał reputację najlepszego odbiorcy lewego towaru, juchtę, jak się mówiło> w warszawskim argot. Solidny i wypłacalny jak bank. Sam też wymagał takich przymiotów od drugiej strony i nieraz można było zobaczyć, jak karciał nieuczciwych kontrahentów. Siłą obdarzony niedźwiedzą, z kilkoma przeciwnikami potrafił dać sobie radę. Tak królował na tym najbardziej chyba zatłoczonym placu w Europie Wschodniej przez lata całe. Mimo szczęśliwej gwiazdy, która prowadziła go przez wiry i mielizny życia, znikał czasem z bazaru. „Ma klops — powiadano wtedy. — Ale pójdzie w zaparte i da sobie radę.”

Wracał po kilku miesiącach, roku. Raz nawet dłużej był nieobecny. Prawie dwa lata. Miejscem jego przymusowego pobytu była Gęsiówka — więzienie po drugiej stronie Wisły na ulicy Anielewicza, dawnej Gęsiej. Przetrwał jako niekwestionowany monarcha bazaru cały stalinizm i po październikowej odwilży 1956 roku zmarł w szpitalu z powodu marskości wątroby i innych zaawansowanych przypadłości. Pozostawił po sobie dobre, niezatarte wspomnienia i długo cytowano jego powiedzenia, żarty, przestrogi. Niektóre nawet weszły do żelaznego kanonu postępowania, zyskały sobie znaczenie obowiązujących norm.

Na miejscu Kulasa pojawił się następny król. Potem jeszcze następny. Tron nigdy nie pozostawał pusty. Bywało i tak, że panowało dwóch królów i społeczność bazaru dzieliła się na dwa obozy. Wybuchwały także rokosze, pojawiali się uzurpatorzy, samozwańcy. Ze smutkiem powiedzieć należy, że w miarę upływu czasu kodeks Kulasa, oparty na tradycyjnych, jeszcze przedwojennych wzorcach zaczął się stawać anachroniczny. Nowe czasy wymagały innego postępowania. Klasycznym tego dowodem może być olśniewająca kariera Eleganta w latach 70.

Zaczął od solidnych podstaw. Terminował w złodziejskim fachu. Był małym paserem jakiejś szajki małolatów. Siedział w pudle. Wreszcie osiadł na terytorium Bazaru Różyckiego. Talent handlowy niewątpliwy. Wspinał się bardzo szybko po stopniach bazarowej kariery. Śmiałe pomysły, skuteczność dokonań. Wysokiej miary kunszt ubezpieczenia się za pomocą korumpowania służb milicyjnych i skarbowych. Zasłynął jako monopolista od wywozu do NRD ogromnej ilości literatury porno, tak zwanych świerszczyków dla potrzeb sowieckiego wojska tam stacjonującego. Dowcipnie o tym mówił: „Wyrównuję zaległości seksualne radzieckiego społeczeństwa. Dzięki mnie uczą się, że seks to sztuka i rafinada. Nie tylko bydlęce ruchanie w pozycji tradycyjnej!”

Zatrudniał rzeszę przewoźników, zorganizował stały dopływ porno ze Szwecji. Zajmował się również masowym skupem dolarów na Węgrzech. Tam były znacznie tańsze niż w Polsce. Nie gardził lewizną, towarem z kradzieży. Inwestował w niektóre śmiałe skoki. Został po kilku latach kolejnym królem bazaru z elekcyjnego wyboru. Interesy prowadził za fasadą skromnej budki z książkami. Miał pewien sentyment do drukowanego słowa i na zapleczu tej budki odbywały się transakcje pełne rozmachu i przebiegłości. Wysoki, śniady, w średnim wieku, nie stronił od wypitki i towarzystwa ładnych kobiet. Serce miał litościwe i wspomagał hojnie różnych nieudaczników.

„Nie każdy może mieć fart” — powiadał. Swoistym klubem, gdzie gwarzyliśmy w męskim gronie, był zakład fryzjerski na Ząbkowskiej. Pracował tam nasz przyjaciel Stefan, który był człowiekiem tolerancyjnym i ciekawym nowinek ze światka bazaru. Wpadały tutaj na pogwarki rozmaite znaczące osoby z praskiego matecznika, częstym gościem bywał monopolista dań gorących (flaki, pyzy) na bazarze, mężczyzna o sieniej twarzy, lewostronnie sparaliżowany po udarze mózgu. Stracił mowę i po latach odzyskał zdolność wypowiadania w miarę zrozumiałe dwóch tylko przekleństw[^] „Kurwa twoja mać!” oraz „Nie pierdol!” W czasie stanu wojennego króla bazaru spotkałem po lewej stronie Wisły. Pędził do Pałacu Mostowskich, gdzie miała siedzibę Stołeczna Komenda Milicji.

— Do swojego oficera — powiedział z rozbijającą szczerością.

— Jak to? — zdumiałem się.

— Przecież muszę mieć swoją osłonę — dalej był szczery.

Jaką cenę płacił temu oficerowi? Jakie informacje mu przekazywał? Kogo oszczędzał? A kogo wydawał? Już go nie widziałem więcej. Czy został cenionym biznesmenem w czasach najnowszych, członkiem klubu miliarderów? Nie posiadam aktualnych informacji.

21. LUDZIE NAD WODĘ

Przypominając Ocean w moim miasteczku i pisząc o lodowni Paciorka, doczekałem się przedwiośnia i zobaczyłem staw zupełnie już pozbawiony lodu, ożywający po zimie. Zielenieją trzciny i pokazują się kurki wodne. Naprzeciw lodowni Paciorka, na drugim brzegu widać kępę drzew, dach jakiegoś domostwa. Tam mieszka Rybak.

Odtwarzając zamierzchłość można pokusić się

0 próbę wyobrażenia sobie, czy coś łączyło tych dwóch ludzi mieszkających nad wodą.

Rybak był strażnikiem stawów stanowiących własność Warszawskiego Towarzystwa Wędkarskiego i mieszkał w domu na wysokim brzegu w pobliżu grobli oddzielającej większy staw od mniejszego. Stary Paciorek był strażnikiem lodowni na drugim brzegu. Żyli w tym samym czasie i losy jednego

1 drugiego zakończyły się dramatycznym spięciem. Lecz nie wyprzedzajmy finału. Musieli się znać. To niewątpliwe. Wychodząc na brzeg mogli krzyczeć do siebie. Dzielili ich odległość przeszło stu metrów najwyżej. Pracę mieli związaną z wodą. Rybak zajmował się ochroną stawów: miał łódź. Wpływał na wodę. Zajmował się zarybieniem, rzucał karmę. Czasem z wędką łowił ryby. Czasem skradał się wśród trzciny, ścigał kłusowników. Podobno był bezwzględny i zawzięty. Nie reagował na prośby o wyrozumiałość, obietnice popra-

—Z, Mm

€ w

r

r • II afr

80 Marek Nowakowski

wy. Małych chłopaków, których złapał na gorąco, karał równie surowo. Odbierał im wędki, łamał. Czasem bił. Starsi nieraz zasadzali się na niego. Zemsta jednak nie udawała się im. Czujny, odważny i silny. Bił się z nimi i, choć byli w przewadze, potrafił dać sobie radę. To są wspomnienia sprzed wojny. Opowiadali ludzie, którzy mieli z nim na pieńku. Podczas okupacji Rybak siłą rzeczy musiał stać się bardziej tolerancyjny. Wtedy kłusownictwo stało się nagminne) i przymykał oczy na te niedozwolone praktyki. Ryby urozmaicały postne, okupacyjne pożywienie. Niektórzy z mieszkańców pobliskich domów byli z Rybakiem w dużej zażyłości i nawet pożyczali od niego łódź. Granatowi policjanci odwiedzali Rybaka i wychodzili obdarowani rybami. Oficerowie jednostek WehrmachtU i SS, kwatrujących w szkole, także korzystali z jego łodzi. Kiedyś Rybak wiosłował, a w łodzi rozsiedli się młodzi oficerowie z panienkami, śpiewali, pili szampana. Te panienki, wiadomo, nasze — takim golono łby za zadawanie się ze szkopami.

Rybak był zwalistym, ponurym mężczyzną. Mocno łysawy, garbił się i patrzył spode łba. Ale nawet podczas okupacji nas, małych chłopaków, przeganiał z oczek w trzcinach. Straszyl, kłął. Może w ogóle nie lubił dzieci. W tamtych latach nad gliniankami musiały rozgrywać się rozmaite sprawy. Chłopcy z Hitlerjugend miewali tutaj swoje zbiórki. Maszerowali dziarsko nad staw, śpiewając wojskowe piosenki. Z podwórza ewangelickiej kirchy patrzyli na nich zachwyceni rodzice, tutejsi Niemcy. Tak samo chłopcy z Szarych Szeregów upodobali sobie chaszczę nad stawami na swoje spotkania. Z glinianek szlak prowadził na forty. Tam były niemieckie magazyny. Ludzie z AK zakradali się kilka razy w celu zdobycia stamtąd broni i amunicji. Rybak musiał dużo widzieć i wiedzieć. W ten pamiętny dzień.

i

kiedy Niemcy wywlekali z domów naszego miasteczka mężczyzn od osiemnastu do pięćdziesięciu lat, niektórzy bardziej odważni i zdecydowani uciekali ze swoich domów. Na pewno ukrywali się nad stawami. Może ktoś z nich u Rybaka znalazł kryjówkę. Jego dom stał wśród drzew, otoczony gęstym żywopłotem. Jakaś przybudówka, szopa. Może był tam loszek wykopany w ziemi. Schowek na strychu.

Pierwsze lata po wojnie też obfitowały w dramatyczne wydarzenia. Enkawudziści, bezpieka. Wyłapywali ludzi z podziemia. Nocami nieraz rozlegały się strzały. W naszym miasteczku osiedliło się wielu nowych ludzi. Warszawiacy po powstaniu. Repatrianci ze wschodu. Powracający z obozów koncentracyjnych. Wrzało jak w tyglu. Glinianki stanowiły idealne miejsce sekretnych spotkań. Rybak musiał być co najmniej świadkiem wielu wydarzeń. Pewnie stróż lodowni, Paciorek, równie dobrze był obznajomiony z tajemnym życiem nad wodą. Rybak mieszkał tutaj od dawna. Paciorek natomiast osiadł nad stawem pod koniec okupacji. Co wiedzieli

o sobie? Czy łączyła ich głębsza zażyłość? Obaj milkliwi, zamknięci. Ale obaj przecież oczy mieli otwarte

1 jako najbliżsi sąsiedzi musieli niemało wiedzieć o sobie.

Pierwszą sensacją była sprawa Paciorka. Przyjechali mundurowi, cywile. Wyprowadzili go skutego w kajdany. Przed furtką pozostała zapłakana żona stróża. Podejrzany o napady, jakieś zabójstwo. Słyszałem o tym od ojca. Ojciec budowniczy i kierownik pierwszej szkoły we Włochach miał rozległe znajomości. Ludzie czuli do niego zaufanie. Zwierzali mu się. Dużo wiedział. Ojciec już wcześniej mówił półgębkiem o Paciorku.

Człowiek podejrzanego autoramentu, zły. To pamiętam. A potem, chyba w dwa lata po zniknięciu Paciorka. tak samo wczesnym rankiem jak po tamtego, przy-
^ JS1

byli mundurowi i cywile po Rybaka. Jeszcze więcej ich było. Otoczyli całe obejście, broń trzymali gotową do strzału. Wywlekli tego barczystego, zgarbionego mężczyznę o łysej głowie. Nie opierał się wcale. Ale nie od razu go zabrali. Najpierw pływali łodzią po Oceanie. Rybak w kajdanach, mundurowi i cywile przy nim. Pływali blisko brzegów zarosniętych trzcina i dżgali tam bosakami. Szukali pomordowanych przez Rybaka Żydów. Ukrywali się u niego, cała rodzina, mieli pieniądze, złoto. Ograbił ich i zamordował. Trupy w workach, obciążone kamieniami wrzucił do wody. Na Oceanie były takie głębiny, dziury, jak mówiono, w kilku miejscach przy brzegu. Starsi chłopcy nawet widzieli, jak coś wyciągano z wody. Tak mówili z przejęciem. Potem przychodziliśmy nad staw i patrzyliśmy w trzony gęsto porastające brzeg. Może coś jeszcze pozostało. Opuszczony dom Rybaka stał się przeklętym miejscem. Nikt tu nie zamieszkał. Rozbierano go systematycznie. Najpierw wyrwali futryny okienne, drzwi, wynieśli piec kaflowy, kuchnię, zerwali deski podłogi. Później zabrali się za dach. Aż przyszedł czas na cegłę w murach. Pozostały fundamenty, które szybko zarosły chwastami Ludzie i woda! Piękna, granatowa toń, zielone trzciny, cień wierzby, gdzieś rzuciła się ryba, rozchodzą się kręgi...

Nad Oceanem od strony domu Rybaka znajdowała się plaża. Trawiasta przestrzeń, pełna kopczyków, kotlinek, krzewy. Tam pięknym latem 1947 roku całym tygodniami opalała się urodziwa para młodych kochanków: Poldek i Wieśka. Poldek był niewysokim muskularnym młodzieńcem. Włosy czarne i sztywne, wystające kości policzkowe, skośne oczy i śniada cąt Wyglądał jak Japończyk. Jego dziewczyną była jasnowłosa, zgrabna jak łania Wieśka. Stanowili piękną śK i bardzo się kochali. Poldek wywodził się z wojennej pokolenia. Akowiec, powstaniec. Po wyzwoleniu nadal pozostał w konspiracji. Nie ujawnił się. Nie wierzył w szczerą obietnicę amnestii. Ukrywał się. Zmieniał mieszkania. Pomagali mu koledzy z okupacyjnej konspiracji, wtedy już studenci politechniki, którzy mieszkali we Włochach na stancjach. Poldek był ich idolem. Nieprzejednany, niepokonany. Samuraj. Poldek poruszał się jak kot i nieustannie oglądał się za siebie. Nie ufał nikomu i nie rozstawał się z bronią. Czasem zniknął. Podobno jeździł na akcje. Dużo wtedy słyszałem o Poldku od swojej starszej siostry. Tego pięknego lata 1947 roku Poldek bywał prawie codziennie z Wieśką na plaży. Opalali się. Brązowi jak posągi. Pływali. Poldek kraulem. Wieśka krytą żabką. Poldek skakał z wysokiej wierzby do wody. Wieśka patrzyła na niego z zachwytem. Wielu ludzi we Włochach wiedziało, kim jest Poldek. Starzy. Młodzi. Ale nikt go nie wydał. Nikt go nie zdradził. Może miłość tych dwojga miała taką siłę? Nawet żulia z Bud szanowała Poldka. Poldek żartował z nimi, brał się na zmagi i pił wódkę prosto z butelki jak oni. Zniknął z Włoch równie nagle, jak się pojawił. Zdobył fałszywe dokumenty, udało mu się wyjechać na Zachód. Była druga wersja, że osiedlił się we Wrocławiu i tam zaczął studia. Tak mówili jego koledzy, którzy przychodzili do mojej siostry, P. Wieśka pozostała we Włochach i nic więcej o niej nie wiem.

Tyle o gliniarkach i ludziach, którzy najbardziej wyraziście zaznaczyli się na icb brzegach.

22. TAJEMNICA PANA S.

Zaraz po wojnie Włochy nabrały szczególnego znaczenia. Były tak blisko Warszawy i szczęśliwie pozostały w nienaruszonym kształcie. Stały się miejscem krótszego lub dłuższego postoju dla ludzi przybywających do stolicy. Na Łukach Wielkich zamieszkał młody poeta, żołnierz powstania. Później znana osobistość w kręgach artystycznych. Na razie jeszcze był to chudy literat, biednie ubrany młodzieniec w studenckiej czapce. Na uliczce między gliniankami zajął poniemieckie mieszkanie znawca perskich dywanów, ceniony przed wojną kolekcjoner i handlowiec. ZgARBIONY mężczyzna o sępiej, śniadej twarzy. Ormianin. Ale ludzie mówili, że to Żyd. Niuans ormiański w ogóle nie był brany pod uwagę. Na Budkach Szczęśliwickich w baraku urządziła sobie pracownię pewna malarka z synem. Syn również studiował sztuki piękne i po latach został głośnym grafikiem, autorem cenionych plakatów.

W bufecie kolejowym często krzepili się wódką aktorzy z odżywających teatrów. Podczas okupacji pracowali jako kelnerzy, portierzy w licznych lokalach stolicy i teraz wrócili do zawodu. Jeden z nich był znanym niegdyś odtwórcą ról wojewodów, hetmanów, Stolna, i ków w repertuarze klasycznym. Nosił się z przedwojenną, nobliwą elegancją, w meloniku, z laseczką. Jeździł j naszą EKD do Warszawy i z upodobaniem krzywił swą I wyrazistą twarz w rozmaite grymasy, często sprawdzał swoje odbicie w szybie okiennej wagonu. Pewno ćwiczył sceniczne role.

W pobliżu naszego domu zamieszkał pan S. Wynajmował pokój u pani Nowickiej, wojennej wdowy, której mąż zginął w ulicznej egzekucji, stracony w hitlerowskim odwecie za jakąś akcję podziemia. Pan S. przypominał gnoma, malutki, z dużą guzowatą głową poznaczoną czerwonymi bliznami i ogoloną do gołej skóry, z obwisłymi sumiastymi wąsami, ubierał się półwojskowo, mundurowa kurtka, zielone bryczesy ze skórzanymi łatami i buty z cholewami, wciśnięte na pałakowate, cienkie nogi kawalerzysty, dżokeja. Mówił rosyjsko-polską mieszkanką słów, ze wschodnim zaśpiewem. Z jego ust gadulstwo płynęło jak struga. Na poczekaniu układał wiersze. Te rymowane tyrady dotyczyły przeważnie urody i powabów kobiet, jego osobistych, męskich zalet i szczęścia, jakie dają pieniądze.

„Na prirodu i żeńszczyzny ja czuły” — powiadał, podkręcając wąsa i oglądając się za kobietami.

Odnaczał się dużym sprytem i imponującą żywotnością mimo pięćdziesiątki z okładem na karku. Zajął się pośrednictwem w sprzedaży nieruchomości i profity musiał mieć znaczne, gdyż niebawem nabył na własność od wiekowej staruszki parterowy domek. Krążyła wśród ludzi mętna wersja, iż zmusił ową staruszkę do tej transakcji jakimś perfidnym szantażem. Była ona Niemką z pochodzenia i jej synowie podczas okupacji przyjęli obywatelstwo Reichu. Uciekli z miasteczka na kilka dni przed nadejściem Armii Czerwonej. W każdym razie pan S. stał się właścicielem domu z dużym ogrodem. Nabył psa, groźnego brytana, który wściekle oszczekiwał przechodniów, idących ulicą wzdłuż płotu. Poprzednia właścicielka niedługo cieszyła się

pieniężmi ze sprzedaży domu, bo zmarła po roku. Też różnie o tym mówiono. A pan S. sprowadził sobie jako gosposię — tak mówił — hożą i młodą kobietę ze wsi. Sąsiedzi bardzo byli ciekawi stopnia ich zażyłości, lecz „gosposia” stroniła od ludzi i nic nie można było się dowiedzieć.

Pan S. darzył mego ojca notoryczną sympatią i spotykając go na ulicy, często z nim rozmawiał. Kiedyś przyszedł do naszego domu mocno podpity, chwiał się i wyginał niby człowiek z plasteliny na tych swoich pałkowatych nogach kawalerzysty, ogolona do skóry głowa świeciła i pobłyskiwała kropelkami potu. W dłoni ścisnął butelkę wódki. Koniecznie pragnął napić się z ojcem.

Siedzieli w stołowym pokoju i pan S. wyciągnął z kieszeni plik starych fotografii na twardych kartonikach, zbutwiałych i postrzępionych po brzegach, pokrytych rdzawymi zaciekami.

— Eto ja! — Stukał palcem z długim paznokciem, pożółkłym od papierosowego dymu.

Na fotografiach uwiecznieni zostali jacyś wojskowi z dawnych czasów, w luźnych bluzach z szerokimi pagonami na ramionach, w wysokich, okrągłych czapkach, w pomarańczowych butach z cholewami, z szabłami przytroczonymi do pasów. Jakiś gmach, zastawione stoły, kobiety w długich, staroświeckich sukniach, z włosami zaplecionymi w warkocz, sztywno jakoś upozowane, uroczyste. Z jego bełkotliwej opowieści wynikało, że był carskim oficerem. Wymienił nazwę pułku, swój stopień. Rzeczywiście na tych fotografiach wśród innych mężczyzn w mundurach pojawił się mały człowieczek, tylko znacznie młodszy i bez wąsów. Pan S. pokazywał jego pierś ozdobioną orderami. Podawał ich nazwy, klasę i znaczenie w hierarchii odznaczeń wojennych.

Mówił o krasnoarmiejcach, którzy w czasie wojny domowej w Rosji zamordowali jego ojca, matkę. O tym jak sam cudem uszedł z życiem i przedarł się do Polski, gdzie służył pod Piłsudskim. Potem dodał ściszoną głosem, że ze względu na swą przeszłość jest jak zaszczute zwierzę. Na koniec rozpląkał się i zaczął walić ogoloną głową w blat stołu.

Inżynier Spokojski, który przed wojną projektował szkołę ojca i nadzorował jej budowę, radził wystrzegać się pana S.

„Niejasny człowiek” — tak powiedział ojcu i coś jeszcze szeptał mu do ucha.

Starsi ludzie we Włochach nie ufali panu S. Widywano go z pewnym pomocnikiem powiatowego urzędu bezpieczeństwa. Popijali sobie w knajpie U Dziadka. Wyraźnie łączyła ich zażyłość. W 1950 roku pan S. sprzedał swój domek z ogrodem i wyjechał w nieznaną. Już wtedy nie było u niego młodej „gosposi”. Podobno uciekła.

Inżynier Spokojski podejrzewał, że w czasie wojny pan S. służył u Niemców w armii Własowa i potem przeszedł na drugą stronę. Musiał się bardzo zasłużyć, skoro darowano mu życie.

„Te jego oczy!...” — powiedział jak wieszcz inżynier Spokojski i trzęsła mu się siwa, ostrzyżona w szpic bródka. „Oczy okrutnego ptaka! Jastrzębia, sokoła... Dawno już przestał być człowiekiem...”

23. WÓZKARZE (I)

Jakie to były wózki! Na dwóch kołach, z długim dyszlem; zazwyczaj pomalowane na jadowity zielony kolor. Ciągnęli ludzie. Zdarzały się też inne, w rodzaju rikszy. Pedałował facet, nogawki spodni ściągnięte spinaczami, żeby się nie wkręcały w łańcuchy. Przeważnie chudziak, mikrus wprost, a jaka krzepa w nogach. Riksza to relikw z okupacji.

Najpopularniejszy środek komunikacji, taksówki tamtych czasów. Wózki służyły do handlu. Sprzedawano owoce, warzywa. Jedyne szczątkowy handel prywatny w socjalizmie. No, oprócz sprzedaży zapalek, pumeksu, bagna na mole i czeskiej biżuterii, którą to sprzedają przeważnie zajmowały się eks-„córy Koryntu”, jak mówiono w Warszawie.

Wózkarze to była twarda kasta. Bywali wśród nich tacy, co jeszcze w okupację zaczęli termin. Przeważnie wywodzili się z enklaw dawnej Warszawy; nie wyburzonych do cna domów na Syberii w pobliżu Towarowej i Żelaznej czy z ruder i baraków Bródna, Annapola. Naturę mieli wolną, dziką i nie poddawali się regułom pracy najemnej. Po wojnie nosiło niektórych to j tu, to tam. Szabrowali na „ziemiach odzyskanych”, które I re zabrał Niemcom i przydzielił nam Stalin, odbierając I w zamian wschodnie obszary. Służyli w milicji i innych I zbrojnych służbach. W pierwszym rzucie nowa władza I brała ich chętnie jako swoje zbrojne ramię; klasowo I

i

przecież pasowali. Oni lubili broń i ryzyko, lecz ideowo nie bardzo się sprawdzali. Był określa świadomość i oni wierzyli tylko w przemoc, odwagę i spryt. A szmal, czyli pieniądze, stanowił nadrzędny cel. Toteż później, zepchnięci na margines, zabrali się za ten obwoźny, wózkowy handel. Przeganiano ich z centralnych ulic i placów. Wózki niby taczanki Budionnego (tym razem w kontrrewolucyjnej roli) przemieszczały się z miejsca na miejsce. Pozwoleń na taki handel nie dawano. Najwięcej wózków czaiło się w Śródmieściu. Serce miasta, dworce, ruch — utarg najlepszy. W Dziku, Metrze i Klubowej zobaczyć można było wózkarzy goszczących gliny z pobliskiego XVI komisariatu. Musieli wdawać się w konszachty z władzą, żeby istnieć. Wyróżniali się w tym przeganianym i tępionym handlu emerytowani złodzieje, paserzy. Oni byli najodporniejsi. Często zresztą pod przykrywką jabłek, śliwek, pomidorów i cebuli kontynuowali jeszcze stary proceder. Wystając całymi dniami, służyli również jako cynkarze, dawcy cennych spostrzeżeń.

W Śródmieściu Gruby Józek wyróżniał się szczególnym autorytetem. Stary, otyły, o nalanej, żółtawej twarzy tutejszego Buddy. Miał oblicze jakiegoś wschodniego mędrca i niewątpliwie był mistrzem sztuki trwania w najtrudniejszych warunkach. Świetnie dawał sobie radę. Od okupacji jego egzystencja pełna była ryzyka i brutalnej walki o byt.

Teraz jego wózek z owocami stanowił kamuflaż dla paserstwa, które uprawiał. Pełnił także rolę klubu i pod wieczór gromadzili się złodzieje, opowiadając o najnowszych wydarzeniach w mieście. Gruby Józek słuchał z kamienną twarzą, odzywał się skąpo. Czasem odwiedzali go sierżanci z najbliższego komisariatu. Kapował, opłacał się im? Pewno jedno i drugie. Na swoją miarę zabezpieczał się solidnie. Najczęściej rozstawiał się ze

swoim handlem na placu przed Pałacem Kultury przy skrzyżowaniu Alej z Marszałkowską. Gruby Józek miał żółte oczy drapieźnika i czasem pojawiały się w nich dzikie błyski, jakby tuż przed skokiem.

W zimniejsze dni przy flaszcze, wypijanej na stojąco^ rozgadywali się wózkarze. Dużo wspomnień z bogatego w przygody życia. Okupacja, szmugiel. Handel z Niemcami z wojennych transportów idących na wschód. Getto, jak to za mur dostarczali żywność i ile na tym zarabiali. Zastanawiająca w tej gadaniu obojętność dla okropieństw życia i ludzkich zachowań. Apoteoza siły i przebiegłości. A szczególnie uderzała nieczułość wobec losu Żydów, ich sąsiadów, często bliskich kumpli. Jeden z nielicznych ocalałych w mieście z zagłady^ osobnik równie podejrzanego profesji, co wózkarze, potwierdzał ich opowieści z fatalistycznym spokojem. Jakby wszystko tak zostało gdzieś wysoko na zawsze ustalone. O nim najstarsi wózkarze wyrażali się z uznaniem:

„Dawał sobie radę” — mówili. „Twardziel”.-m

Podobno był policjantem w getcie.

Innego znów Gruby Józek przedstawił z porażającą szczerością:

„Żydu, ale swojak”.

Dziwne to. Tym bardziej że tamten wyglądał na zadowolonego z takiej rekomendacji.

Wózkarze. Mężczyźni o miedzianych twarzach, po- kancerowanych bliznami, połamanych nosach, w samodziałowych czapkach-oprychówkach. Ich kobiety omotane w grube ciuchy, brutalne, ordynarne. Wilki miasta. Gruby Józek był na pewno przywódcą tego stada, basiozem. Widzę ich! Przyczajeni suną manowcami wypatrzyli jakąś zdobycz.

24. WÓZKARZE (II)

Za późnego Gomułki wózki zyskały już pewien status legalności. Tu i ówdzie pozwalano im stać i handlować.

Paweł Kossek był weteranem tego ulicznego handlu. W przeciwieństwie jednak do wielu przedstawicieli branży nie miał kryminalnej przeszłości ani okupacyjnego stażu. Rodem z Ochoty, mieszkał na Częstochowskiej. Natury prostolinijnej, zapobiegliwy. Przyziemny, raczej realista. Geny handlowe odziedziczył po matce, przed wojną handlowała na Wołówce. A choć wychował się w stronach „szemranych” — blisko przecież baraków na Opaczewskiej, gdzie co drzwi, to melina — jednak z fachem, którego celem kradzież, nie chciał mieć nic wspólnego. Elementarna uczciwość, którą wyniósł z domu. Obawa przed konsekwencjami. Powściągliwość w picciu. Pewno powody związane. Do znajomków i rówieśników, trudniących się złodziejską profesją nie czuł żadnej niechęci ani ich tym bardziej nie potępiał. Nauczył się w życiu powściągliwości przed ocenami kategorycznymi. Był warszawiakiem od kilku pokoleń, a w tym mieście — tak wszechstronnie doświadczonym przez historię — skala tolerancji bywa szeroka. Paweł szkolił się na ślusarza narzędziowego, ale handel wabił go od początku. Toteż przy pomocy energicznej matki wyszykował odpowiedni wózek i tak się zaczęło. Ożenił się z dziewczyną także z tej branży. Ona, jej rodzice,

szwagier, wszyscy handlowali od dawna. Wkrótce wózki Pawła Kosseka i jego rodziny zmonopolizowały; śródmieście. Było to zajęcie ciężkie, skoro świt wyjazd na zieleniak (Polna, Opaczewska, później aż na Okęcie) po towar. Ryzyko straty znaczne. Towar popsuje się przedwcześnie. Haracz dla stróżów porządku. Komu ile dać — to też umiejętność niełatwa. Wystawanie na ulicy w mróz i słotę. Paweł lubił to zajęcie. Niepokonana żyłka handlowca w trudnych warunkach socjalizmu. Dawał sobie radę. Dzieci wykształcił. Córka ukończyła szkołę pielęgniarstwa. Syn został kierowcą TIR-a.

Za Gierka już przestano korzystać z wózków. Ruchomy rodzaj handlu przeistoczył się w bardziej stały, oparty na zezwoleniach z rady narodowej, podatkach. Paweł jako jeden z pierwszych posiadał solidną budę w dobrym punkcie miasta, prawie sklep, zestaw towarów bardziej atrakcyjny: jajka, sery, żur w butelkach, chrzan w słoikach. Ale popsulo mu się w małżeństwie. Rozwód z żoną i różne z tym związane kłopoty. Dzieci opuściły ojczyznę. Pierwszy ruszył syn. Wybrał sobie Szwecję i nieźle tam się urządził. Potem córka pojechała do Ameryki i tam wydała się za męża.

W pierwszych miesiącach stanu wojennego Paweł podjął decyzję. Postanowił za wszelką cenę dostać się do Ameryki. Przyczyny złożone. Dokuczala samotność. Gnębił brak perspektyw. Ciągłe ten pieprzony, chałup niczy handelek; na nic więcej nie miał już siły. Wabił mit Ameryki. Córka coś wspominała w listach o możliwości założenia kwaciarni w Nowym Jorku.

Dlaczego nie może jej pomagać. W końcu od warzyw do kwiatów niedaleka droga. W dodatku stan wojenny przypominał okupację i zdawać się mogło, że ta noc komunistyczna nigdy się nie skończy. Jedno wiedział na pewno. Nie wróci. Miał trudności z otrzymaniem paszportu. Odmawiali. Dzieci za granicą. Podpadał pod takiego ptaszka, co chce wyfrunąć ze swojej klatki. Ale od czego są znajomości starego wózka- rza! Milicjanci w dzielnicowej komendzie poruszyli swoje sprężyny w urzędzie paszportowym. Kosztowało go to kilkaset dolarów i parę kolacji z wódką. Ruszył za ocean.

W 1989 roku Paweł Kossek odkrył moją obecność w Nowym Jorku i spotkaliśmy się. Pracuje jako portier, czyli doorman, w wielkim domu we wschodniej części Manhattanu. Ożenił się z wdową polskiego pochodzenia, mieszkającą na dalekim Brooklynie. Angielski zna marnie, ale szef go polubił i zatrudnił na stałe z wszelkimi gwarancjami i uprawnieniami, wynikającymi z tego tytułu. Pojechałem z nim do jego pracy. Z powodu poruszenia wywołanego zmartwychwstaniem dawnej Warszawy w mojej osobie, Paweł zatrzasnął drzwi samochodu, zapominając wyjąć kluczyk ze stacyjki. Zbiegli się doorman, dwaj Portorycy, jak mówi Paweł, i cwaniakowaty Murzyn. Przyszedł też szef, Włoch obwieszony złotem. Narada. Wreszcie odgięli gumę w okienku samochodu i wepchnąwszy z wielką biegłością do wnętrza sprężysty drut uformowany w kształcie haczyka, wyciągnęli sprytnie kluczyk ze stacyjki. Śmiechu było z powodu roztargnienia Pawła. Porozumiewał się ze swoimi kumplami raczej za pomocą gestykulacji. Jest zadowolony. W emerytalnej przyszłości myśli o nabyciu domku gdzieś w Arizonie czy Kolorado. Tam znacznie taniej i takie piękne krajobrazy.

I tak siedząc w sercu Manhattanu, w irlandzkim barze O'Flaherty wdaliśmy się w długą rozmowę o przeszłości. Czyj wózek gdzie stał. Właściciel, jego kobieta. Co robił poza handlem, jak długo wytrwał na posterunku. Jego dalsze losy. Padały nazwy ulic, przezwiska, anegdoty, wydarzenia.

Dwaj archiwariusze pogrążeni w bezinteresownym) przekopywaniu zwałów czasu minionego. A wokół i w tym barze wszyscy wpatrzeni w ekran telewizora komentowali z rosnącą gorączką mecz koszykówki j§ między jakimiś Bykami z Chicago i Aniołami w Minea- polis.

25. WILLA NA PIŁSUDSKIEGO

Dom znajdował się na krańcach miasteczka. Tu już ulica Piłsudskiego zamieniała się w wyboistą drogę między polami i gliniankami. Dalej były tory, które oddzielały Włochy od Woli. Dom był piętrowy, płaski z werandą i tarasem, duże, weneckie okna, przeszklone drzwi. Surowa, geometryczna bryła w kolorze piaskowym. Nowoczesne budownictwo z lat 30. Przy bramie wyjazdowej garaż, mała oficyna z tyłu, wokół ozdobne krzewy, srebrne świerki, modrzewie. Takie domy nazywano u nas pałacami, willami. Było ich niewiele. Willa pana Hawliczka, dyrektora fabryki. Dom znanego doktora. Fantazyjny pałacyk w parku. Może jeszcze malowniczy dworek o spadzistym dachu, z gankiem wspartym kolumnkami, na ulicy Sejmowej. Tam mieszkał znany tłumacz literatury rosyjskiej i po wojnie często spoglądałem przez szczeliny w płocie na starszego pana siedzącego w fotelu pod wielkim, rozłożystym drzewem. Okryty pledem, pisał coś na kolanach, odrzucając zapisane kartki na trawę. Czasem krzyczał bełkotliwym, dziwnym głosem i z ganku wynurzała się piękna pani, przynosiła książki, papier, herbatę na tacy. Patrzyłem i czułem nabożny podziw, jakieś wzruszenie. Może stamtąd przyszły pierwsze impulsy do pisania?

Jednak nade wszystko utkwiała mi w pamięci willa na ulicy Piłsudskiego. Jako kilkuletni chłopak szedłem

tamtędy w piękny, letni dzień i posłyszałem wesołe głosy, śmiech. Zatrzymałem się i patrzyłem przez siatkę otaczającą ogród, na zabawę dwojga dzieci: chłopca i dziewczynki. Podrzucali piłkę. Zaprosili mnie do zabawy.

— No, idź — ojciec popchnął mnie lekko.

Niepewnie otworzyłem furtkę i dziewczynka rzuciła piłkę w moją stronę. Odrzuciłem. Zaczęła się gra w dwa ognie.

Te wille, pałacyki, jak mówiono u nas, wyróżniały się urodą w miasteczku, gdzie domki były pokraczne, parterowe, budowane w większości nakładem własnej pracy przez robotników z fabryk Polo, Ortweina, Hawliczka oraz tramwajarzy i kolejarzy. A wśród tej niskiej, biednej zabudowy sterczały tu i ówdzie kamienice czynszowe, zwane „pekinami”.

Podczas okupacji niemieckiej mieszkańcy willi na Piłsudskiego (tak samo jak z willi pana Hawliczka czy pałacyku w parku) zostali usunięci i mieściła się tam siedziba żandarmerii, później zaś stacjonował sztab złowrogiej formacji w czarnych mundurach ze srebrnymi błyskawicami i trupimi główkami na wysokich, okrągłych czapkach.

Po Niemcach willa była zajęta kolejno przez wojsko sowieckie i polskie; wreszcie rozgościł się w niej powiatowy urząd bezpieczeństwa i przed bramą posesji stał wartownik w mundurze, z pepeszą przewieszoną przez pierś. Przechodząc w pobliżu zawsze zwalniałem nieco kroku i wpatrywałem się w ciemne, piwniczne okienka okryte gęstą, drucianą siatką. Piwnica powiatowego urzędu bezpieczeństwa zyskała złą sławę i dużo się o niej dowiedziałem ze ściszonych rozmów moich rodziców z ciotką Stefą, która spędziła tam kilka miesięcy, osadzona w śledztwie pod zarzutem handlu złotymi dolarami i rublami, „świnkami”, jak powszechnie

mówiono. Była wychudzona, szara. Ta rosła, urodziwa kobieta zaraz po wyjściu z piwnicy urzędu wyglądała na staruszkę. Opowiadała o dwóch innych kobietach, z którymi siedziała w celi. Jedną bili, zarzucając jej szpiegostwo. Druga była w organizacji. Tak powiedziała ciotka. Też ją bili. I jeszcze wspominała o kluczniku podatnym na pokusy. Przynosił im jedzenie. Zgodził się nawet przekazać grypsy do bliskich. Zapłatą za jego życzliwość był złoty ząb. Ten ząb przy pomocy swoich towarzyszek niedoli ciotka Stefa wyrwała sobie własnoręcznie z dolnej szczęki. Jeszcze miała zamiar usuwać następne. Tylko już nie zdążyła, gdyż szczęśliwym zrzędzeniem opatrzości wypuszczono ją na wolność.

Wkrótce w komitecie rodzicielskim szkoły mego ojca znalazł się major Z. Przybył z innego miasta i dwóch jego synów zaczęło uczęszczać do szkoły na Parkowej. Major Z., z baretkami odznaczeń na piersi mundurowej kurtki, codzienne jeździł kolejką EKD do Warszawy. Pracował w ministerstwie na Koszykowej.

Wieczorami rodzice zazwyczaj siadywali przy dużym stole w pokoju stołowym, poprawiając klasówki i przygotowując się do zajęć lekcyjnych na następną dzień! Rozmawiali przy tym o różnych sprawach. Matka ze szczególnym naciskiem zajmowała się osobą majora. Akurat został wybrany przewodniczącym komitetu rodzicielskiego i raz nawet był z wizytą w naszym domu. Matka radziła ojcu uważać na tego majora.

— To przecież ubowiec! — powtarzała dramatycznym głosem.

Ojciec sprawę wyraźnie bagatelizował.

— Daj spokój — opędał się łagodnie. — Przesadzasz.

I przekonywał matkę, że jego sprawy z majorem dotyczą jedynie dydaktyki i jej funkcji w nauczaniu. Właściwie był zadowolony, że wśród rodziców znalazł się

człowiek tak energiczny i społecznie zaangażowany, „Różne gabinety stoją przed nim otworem” — mówił i wyliczał nazwy ważnych instytucji, gdzie major mógł łatwo dotrzeć. Pewno oczyma wyobraźni widział szansę dla szkoły. Tu można uzyskać przydział niezbędnych pomocy naukowych do pracowni fizycznej. Tam materiały budowlane potrzebne do wykończenia sali gimnastycznej. Gdzie indziej znów możliwość zwiększenia funduszu na dożywianie dzieci.

Matka stukała się palcem w czoło.

Dopiero po latach pojąłem głęboki sens przestróg matki. Przecież ojciec z całą swą naiwnością starego społecznika i pedagoga nie pasował do czasów, które wtedy nastały.

26. PTASZNIK Z POWĄZEK

Ptasi targ zajmował plac przy Stalowej. Rzędem ustawiono dachy na krzyżówkach, budy. A w nich piętrami klatki i skrzyneczki! Rozbrzmiewały one świergotem, gwizdem, skrzekiem. Raz dźwiękiem skrzypiec, raz piły po szkle. Jeszcze inaczej. Cała kaskada dźwięków. Oprócz gołębi sprzedawano tutaj dzikie ptactwo. Szczygły, czyżyki, dzwońce, makolągwy, zięby. Słowików i kosów nie trzymano w Warszawie. Tylko na Śląsku. Ślązacy jeszcze łapali sikorki modre.

Łapanie i osvajanie wolnego ptactwa to cała skomplikowana sztuka. Najłatwiej złapać czyżyka. Najtrudniej ziębę. Ziębę łapie się w siatkę. Musi być wabik. Wabiowi wiążesz skrzydła i idziesz do lasu. Nadsluchujesz, gdzie śpiewa zięba. Zięba śpiewa od wiosny do żniw. Pod drzewem, na którym siedzi ptak, wbijasz kołek z umocowanym na nim wabikiem i „gajem”. Przedtem gotujesz konopie z kalafonią. Tym klejem smarujesz kołek i „gaj”. Zięba na śpiew wabia schodzi z drzewa jak urzeczona i przylepia się do kołka i „gaju”, czyli gałązek skrywających wabia. No i już ją masz!

Kiedyś ptaki łapano najczęściej na obrzeżach Puszczy Kampinowskiej. Tam gdzie obecnie jest cmentarz Wólka Węglowa były bardzo dobre tereny łowów.

Przed sprzedażą ptasznicy zajmowali się oswojeniem ptaków. Makolągwę, szczygła trzyma się w klatce okry-

tej płachtą, zwanej posadnicą. Ptak musi być trzymany w ciemności i po tygodniu dopiero przenosi się go do zwyczajnej klatki. Jeżeli ptak chodzi po suficie, to puszcza się go na wolność. Taki już nie będzie śpiewał. Najłatwiej przysposobić czyżyka. Dziś złapiesz, jutro śpiewa. Szpak chętnie zaczyna śpiewać, kiedy coś się smaży. Skwierczy słonina na patelni, kaszanka z cebulką. Wtedy szpak rozdziera dziób. W mieście używano powiedzenia: Ty szpakami karmiony! Dokładnie nie wiadomo, co to znaczy.

Mnóstwo tej mało znanej ornitologom wiedzy przekazał mi Stefan z Powązek, który we wczesnej młodości dużo czasu poświęcał ptactwu i pamięta wszystkie targowiska od powojennego Kercelaka, placu Kazimierza, żeby na dobre kilka lat tym miejscem stał się plac na Stalowej. W ptasim handlu oczywiście w przewodzie były gołębie. Cała paleta kolorów i ras. Winery, wysz- wance, pawiki i wiele innych. Warszawa kochała gołębie. To była wielka namiętność. Kiedyś gołębiarze mogli zarębać siekierami złodzieja, który zakradł się im do gołębnika i nikt się temu nadmiernie nie dziwił.

Przedmieścia — a i śródmieście — pełne były gołębników i często widziało się srebrzyste stado na tle błękitnego nieba (wtedy jeszcze lato było latem, zima — zimą), tak pięknie wirujące i zataczające kręgi. Gołębiarze poświęcali cały wolny czas swoim ptakom. A było tych zajęć! Ganianie, zwabianie pojedynków odłączających się od innego stada. Staranne dobieranie szlachetnych okazów dla podnoszenia rasowej jakości itp. Ci mężczyźni w samodzielnym oprychówkach, wymachujący szmatami na długich kijach, pomagając sobie przeraźliwym gwizdaniem na dwóch palcach, tworzyli swoistą gildię, zrzeszenie hodowców. Mieli swój kodeks honorowy, żelazne reguły postępowania z konkurencją. Można było ich widzieć na placu przy Stalowej. Przyno sili klatki ze swoim ptactwem na sprzedaż lub dla wymiany. Dyplomatyczne, zawile targi. Zażarte spory. Wytykanie wad. Podnoszenie zalet. Cóż to za skomplikowany proceder! Macanie, dmuchanie w pióra, kuper. Sprawdzanie mocy dziobu, łapek. Odchodzili, wracali. Aż wreszcie dokonywał się akt handlowy, przybijali sobie prawice jak pieczęcie. Często rozpijano butelkę. Bywali wytrawni oszuści. Imponowali jako magicy, którzy mają swoje tajemne sposoby. Potrafili z chorego gołębia uczynić okaz zdrowia. A nawet zmienić jego rasę. Z kundla uczynić arystokratę. Wszyscy gołębiarze zresztą próbowali trochę kręcić, oszukiwać.

Przychodzili na targ ludzie wiekowi i malcy. Wcześniej łapało się tego bakcyła, który trzymał już do starości. Pojawiali się sławni hodowcy szlachetnych gatunków. Na przykład przebiegała przez plac wieść, że przyjechał Dziobaty ze Szmulek, Pejo z Kobyłki czy Wasiek z Gołąbek (nomen omen!). Od razu ludzie otaczali ich kręgiem. Ci znakomici hodowcy często wywodzili się z rodów od pokoleń oddających się temu zamiłowaniu i nazwiska ich były powszechnie znane i szanowane.

Wracając jeszcze do handlu dzikim ptactwem. Zajmował zazwyczaj obrzeża placu i mniej dostępne dla postronnych zakamarki. Nie był przecież legalny. Łapacze to kłusownicy. Musieli być zawsze czujni i gotowi do ucieczki. W ich skrzynkach tyle gatunków ptactwa leśnego, polnego. Tyle kolorów i różnorodnego śpiewu. Zgiełk. Można było stać godzinami i przypatrywać się.

Po placu często biegał stary obszarpaniec o twarzy głupka, z szopą zmierzwionych włosów, pełnych źdźbeł słomy i siana, jakby sypiał gdzieś w stodołach i stogach. Potrafił bezbłędnie naśladować głosy różnych ptaków. Śpiewał jak słowik. Krakał ja wrona. Hukał niby puchacz. Był sikorką, kosem, szczygłem. Czasem rozpo

ścierał ramiona jak skrzydła i biegł. Fruwał. Podobno kiedyś najlepiej w mieście wabił i chwycił ptaki. Jak nikt inny potrafił udawać zakochanego samca, wzywającego samicę. Miał to być najślawniejszy ptasznik, który od dzieciństwa zajmował się tym procederem i pokręciło mu się w głowie. Nabral przekonania, że jest naprawdę ptakiem. Właściwie wielością ptaków. Tak się na nim zemściły te wszystkie ptaki schwymane w sidła.

W połowie lat 60. zlikwidowano ptasi targ na Stalowej. Ptasznicy przenieśli się do Rembertowa. Później do Falenicy.

Ludzie nadal lubią ptaki. Szczególnie gołębie. Przy Kijowskiej, tam gdzie stoi wieżowiec, często wzbija się w niebo stado gołębi. Około stu sztuk.

W Aninie mieszka pewien biznesmen; przy swojej willi zbudowanej w stylu szwajcarskiego chateau posiada gołębnik i stado liczące kilkaset sztuk. Gania tę swoją powietrzną armadę jak prawdziwy gołębiarz, tyką ze szmacianą chorągiewką, gwizdże na palcach.

Wybraliśmy się ze Stefanem z Powązek na ptasi targ do Falenicy. Tam sprzedają nie tylko ptactwo. Widzieliśmy gościa, który kupił kozę i pakował ją do bagażnika BMW. Pewno lubi kozie mleko. Podobno bardzo pożywne. Rusczy sprzedają też kucyki. Wystawiony był do handlu owczarek kaukaski w słonecznych okularach dla reklamowej zachęty. Kawał bydlaka! Stefan znów opowiadał śmieszne i smutne historie o ptakach. Zgromadzili się postronni słuchacze. Wiedzę miał imponującą i narrację równie śmieszoną.

— Ty jak ptasznik z Powązek! — zażartowałem, parafrazując tytuł popularnej operetki. Stefan spojrział na mnie podejrzliwie.

27. ZMYŚLY

Wśród dziewczyn w Danusi największym powodzeniem cieszyła się garbuska. Miała niewinną, anielską twarz, równie anielskie, złote loki. Nieduża, zgrabna, z dosyć okazałym garbem na plecach, który nie od razu był widoczny. Na plecy bowiem zarzucała niebieski szal z frędzlami. Bardzo młoda, najwyżej dwudziestolatka. Pod wieczór jej stolik w kawiarni otaczał rywalizujący ze sobą krąg wielbicieli i można mieć wątpliwości, czy tylko jej uroda była magnesem. Może uroda w połączeniu z ułomnością? Perwersja pijanej wyobraźni. Mężczyźni potrafili bić się o pierwszeństwo w kolejce po jej względy.

Garbuska nie była lubiana przez inne dziewczyny. Zazdrościły jej powodzenia i szczególnie drażnił je ten wyzywający ruch ręki, jakim odrzucała szal, odsłaniając plecy z wypukłą ułomnością w całej okazałości. Nawet były próby wyrugowania jej z Danusi. Dziewczyny namówiły swoich alfonsiaków do tej akcji. Skończyło się to dla nich kilkumiesięcznym pobytem na Gęsiówce. Wtedy już tajemnicą poliszynela była profesja nieśmiałego mężczyzny, który raz w tygodniu pojawiał się w Danusi i wychodził z garbuską. Był to ubowiec oficerskiej rangi z Koszykowej. Rozpoznali go złotnicy. Siedzieli oni w ciężkim śledztwie w piwnicach ministerstwa.

„Kawał skurwysyna" szeptali, patrząc na niego ukradkiem.

W Danusi bywał w cywilu. W brązowym garniturze ze służbowego przydziału. Wielu stamtąd nosiło wtedy brązowe garnitury. Zasiadał samotnie przy stoliku i krzepił się trunkami. Pozornie niczym się nie interesował. Burdy, które wybuchały z wściekłą furią nie zwracały jego uwagi. Czasem pijący wznosili dwuznaczne, można powiedzieć, antypaństwowe okrzyki. Też nie reagował. Ale bywalcy wiedzieli doskonale, co roi mu się w głowie. Dopiero po wypiciu kilku kieliszków dla kurażu unosił głowę znad stolika i jego wzrok od razu kierował się tam, gdzie była garbuska. Krótki gest ręki, ruch głową. Przywoływał ją do siebie. Kiedy podchodziła tym swoim charakterystycznym, lekko kołyszącym się krokiem, poprawiając szal na wypukłości garbu, wstawał i uśmiechał się do niej. Odsuwał dla niej krzesło. Wyglądali jak para zakochanych. Był szarmancki, spełniał każde życzenie swej dziewczyny. Miała ochotę na melbę. Natychmiast była melba. Torty, ajerkoniaki. Pochylony nad stolikiem, chciwie wpatrzony, czekał na kolejny jej kaprys.

Garbuska mogła z nim zrobić wszystko. Raz wstawiła się za jednym rzezimieszkiem, który znalazł się w ciężkich opalach.

„Czy aby to nie polityczna sprawa?" — zapytał tylko jej adorator.

Kiedyś wyciągnęła mu z kieszeni spluwę i dla żartu, a może żeby pokazać, kto tu ma władzę, celowała w inne dziewczyny, które chowały się z piskiem pod stoliki. On zaś mocno napity, kołysał się nad kieliszkiem likieru miętowego, wpatrzony z uwielbieniem w garbuskę i powtarzał: „Na zmysły nie ma rady... Jakby sam zdziwiony potęgą tajemnych mocy, które zawładnęły nim tak nagle.

28. WIECZNY TUŁACZ

Swoim wyglądem zwracał uwagę pośród przechodniów na Krakowskim Przedmieściu i Nowym Świecie. Wysoki, w jasnym, długim płaszczu, z długą, posrebrzaną siwizną brodą, w aksamitnej, czarnej jarmulce. Poruszał się szybko i sprężysto. Dziwaczny pielgrzym na warszawskiej ulicy. Także zwracał uwagę szlachetną urodą twarzy, niezwykle skupieniem niebieskich oczu, dystynkcją ruchów i szczelną izolacją wśród zabieganego tłumu. Znany był obsłudze kilku barów mlecznych na Królewskim Szlaku. Bywał tam częstym gościem i zamawiał tylko wrzątek, który popijał drobnymi łykami. Przez te pierwsze lata, odkąd pojawił się w mieście, milczał jak zaklęty i zapytany, odpowiadał tylko na piśmie. Wyciągał zeszyt i ładnym, kaligraficznym pismem dawał odpowiedź. Zdania budował logicznie i precyzyjnie, bez błędów ortograficznych. Zapamiętałem jego wąskie dłonie o długich, wypiełgnowanych palcach z krótko obciętych paznokciami. Był niemową. Ale niemową z wyboru, gdyż po kilku latach milczenia zaczął mówić. Normalnie, płynnie, bez żadnych trudności. Poznaliśmy się kiedyś w okolicach Hotelu Europejskiego i tajemniczy ten pielgrzym, kiedy przestał milczeć, zwracał się do mnie — Panie artist! Sam też był artystą.

Malował na niewielkich, prostokątnych deszczu- kach mężczyzn z ufryzowanymi brodami, w spicza

stych, wysokich kołpakach na głowach i długich szatach, jakby Fenicjan, Asyryjczyków. Stali w pustynnym, księżycowo-saharyjskim pejzażu z widocznymi i w tle budowlami, przypominającymi piramidy. Dzieła swego pędzla sprzedawał cudzoziemcom z hotelów Bristol i Europejski. Podchodził do samochodów z zagraniczną rejestracją i rozpoczął pertraktacje. Osobliwym wyglądem komponował się w pewien sposób z obrazami na deskach, które malował. Był Żydem z wyboru i często zachodził do synagogi Nożyków przy placu Grzybowski. Brał udział w modłach szczupłej garstki wyznawców judaizmu. Kołysał się monotonna i coś mówił chrapliwie w niezrozumiałym języku. W tamtych latach umarł świętny malarz Artur Nacht- -Samborski, jeden z ostatnich kapistów i pielgrzym z Krakowskiego Przedmieścia pojawił się na jego pogrzebie. Rozrzucił na grobie zwoje pergaminu z wypisanymi na nim znakami, zbliżonymi do hebrajskiego pisma i wykrzykiwał z wielką ekspresją jakieś zaklęcia.

Żałobnicy rozeszli się, a on jeszcze pozostał przy mogile Artka, nie tylko doskonałego malarza, ale wspaniałego człowieka, którego śmierć odczuli wszyscy jego znajomi bardzo boleśnie. Mój kolega Jurek G. znał pielgrzyma i twierdził, że siedział z nim w więzieniu w latach 50. Podobno był on z zawodu farmaceutą i padł ofiarą jakiejś afery gospodarczej. Czuł się niewinny i wtedy w więzieniu zaniemówił. „Żadna siła nie mogła spowodować, żeby się odezwał” — opowiadał Jurek G. Jesienią 1993 roku pośród przechodniów na Nowym Świecie zobaczyłem znów wyniosłą sylwetkę pielgrzyma. Długa broda posiwiła mu już prawie zupełnie, nadal nosił jasny, nieskazitelnie czysty płaszcz | aksamitną, czarną jarmułkę na głowie.

29. TOWARZYSZE Z BEZPIECZEŃSTWA

Ci ubowcy byli niewątpliwą awangardą. Bezpieczniacy. Tak lubili na siebie mówić. Towarzysze z pierwszej linii. Tak nazywali ich poeci, piewcy trudu budowy państwa robotników i chłopów. Z nimi nie było żartów. Zresztą żartowali też nieprzyjemnie. Taki jeden z powiatowego urzędu bezpieczeństwa upił się w knajpie U Dziadka i bawiąc się swoją spluwą, mówił do tego, co mu stawiał wódkę:

— Myślisz, że nie wiemy? Reakcyjny gad z ciebie.

— Jak to? — przestraszył się tamten.

— A twój starszy brat gdzie był? W AK, nie? Tatuś w PSL rozrabiał, nie? My wszystko wiemy! — roześmiał się i poklepał fundatora po plecach.

Ci dwaj, którzy pojawili się któregoś dnia w fabryce i zajęli pokój z żółtymi firankami na parterze, od razu zostali rozpoznani właściwie. Ubowcy. Stanowili komórkę ochrony w zakładzie. Na ich stołach wyrosły stosy teczek. Brali z personalnego i wertowali. Dział personalny także był blisko bezpieczeństwa. Jedną ręką. Ci dwaj zachowywali się spokojnie. Właściwie nie było ich widać. Siedzieli u siebie w pokoju, czytali akta personalne i czasem wzywali ludzi na rozmowy. Nikt z zwykłych tym się specjalnie nie chwalił i nie opowiadał o treści rozmowy. Niekiedy po wódce ten i ów napomknął półgębkiem, że wypytywali go szczegółowo o kumpli z jego

brygady, wydziału, majstra, kierownika, a nawet o sąsiadów z domu, gdzie mieszkał. Jeden z narzędziowni, Jj szczególnie mało odporny, wyznał histerycznie: „Oni wszystko wiedzą? Nic przed nimi nie da rady ukryć”.

Jak tak powiedział, to już wiadomo, że go rozpracowali. Przed takim należało trzymać język na wodzy. Taki wszystko im doniesie.

Główny technolog pierwszy im się kłaniał i było to zrozumiałe. Przedwojenny inżynier, pracował w tej fabryce jeszcze w czasach, kiedy stanowiła własność kapitalisty.

Raz nastąpiła awaria w maszynowni i wtedy oni bardzo węszyli. Pewno doszukiwali się sabotażu. Ale przyczyna była w starym, skorodowanym urządzeniu i rzecz cała rozeszła się po kościach. Ludzie odetchnęli. Szczególnie majster, który był bezpartyjny.

Ci dwaj fabryczni ubowcy prywatnie to byli weseli, towarzyscy ludzie. Jeden warszawiak z urodzenia, cwa- niakowaty, znał od groma kawałów. Drugi inteligen- ciak, umiał się naukowo wysławiać, lubił płęć piękną. Autobusem fabrycznym jeździli razem z nami do Krakowa i na ziemię odzyskane. Podczas tych wycieczek za kołnierz nie wylewali, śpiewali i podmacywali dziewczuchy. Na oko równe chłopcy. Tylko zawsze człowiek łapał się na takiej myśli, że nie wiadomo, co oni kombinują. Cacy, cacy, a jutro wzywają ciebie do swego pokoju urzędowo i to już jest całkiem inna rozmowa.

Po październiku 1956 roku „Ubowo” zredukowali i fabryczna komórka ochrony przed wrogiem klasowym przestała istnieć. Ci dwaj z dnia na dzień nie pojawili się więcej w naszym zakładzie. Później jeden z nich, ten warszawiak z urodzenia, był mundurowym gliniarzem, sierżantem. Chodził po śródmieściu i serdecznie witał się z pracownikami naszej fabryki. Wspominał chętnie te lata, kiedy był razem z nami. Czasem bywał podpity i wtedy pytał natarczywie: „Ale musicie przyznać, kurwą nigdy nie byłem, prawda?”

Jego kolega podobno nadal pracował w resorcie, który już nie nazywał się ministerstwem bezpieczeństwa publicznego, tylko ministerstwem spraw wewnętrznych. Jeszcze później ten warszawiak był portierem w nocnym lokalu. Następnie kibice boksu spotykać go zaczęli w hali „Gwardii”. Sprawował tam funkcję porządkowego i kiedy tylko rozpoznał kogoś z naszej fabryki, od razu wpuszczał go na mecz bez biletu.

30. VIVAT POLONIA!

Po wojnie hotel Polonia zachował się nietknięty. Może jedynie jego elewacje zostały trochę poszczerbione i poobtlukiwane pociskami. Błyszczą więc w całej krasie i pełnym kształcie pośród gruzów miasta. W jego apartamentach stawali dostojni goście. Wytworne wnętrza, dywany i żyrandole, sprawna stara obsługa — wszystko to pozwalało nawet na złudzenie, że nic się tutaj nie zmieniło.

Dla mnie najważniejsze są pomieszczenia na parterze. Restauracja i kawiarnia od rogu Poznańskiej i Alei Jerozolimskich, w której przy szatni było wejście do nocnego lokalu, zwanego Dołkiem, jako że mieścił się w kondygnacji podziemnej. Przestronna sala kawiarni gromadziła różnorodne towarzystwo, poczynając od najdawniejszego damskiego zawodu, do ludzi sztuki, władzy. W powszechnym zwyczaju było zamawianie likieru miętowego, najtańszego, i w miarę rozgrzewki tym zielonym trunkiem pijało się już własną wódkę z czerwoną kartką lub niebieską, spod stolika. Kawiarnia tętniła życiem niby ul. Bywalczy oddawali się nie tylko rozrywce, lecz również interesom. Blisko wejścia zasiadali handlarze złotem i dolarami, rozmaici pośrednicy, komiwojażerzy i sutenerzy. W głębi znajdowała się strefa cyrkowców, iluzjonistów, piosenkarzy, konferansjerów i innych przedstawicieli lekkiej muzy. Jeszcze da

lej, pod samą już ścianą siadywały starsze przeważnie osoby, które przywykły od czasów przedwojennych do małej czarnej i ciasteczka. Tu i ówdzie zaś, jak kwiaty poutykane dla ozdoby i uciechy męskiego oka, zajmowały stoliki dziewczyny lekkich obyczajów, jak to dawniej mówiono delikatnie. Stare, młode i bardzo młode. Oferowały bogatą różnorodność wdzięków, urody i doświadczenia. W miarę napływu gości strefy podziałów zacierały się zupełnie i profesje mieszały się ze sobą w symbiozie z konieczności. Nie było już mowy o wolnych stolikach, szukano tylko wolnych krzeseł przy stolikach i tak obok handlarza złotem, który podczas okupacji był granatowym policjantem, siedział porucznik z MBP, zwany Guląką, wielki amator kobiecych wdzięków. A między nimi, na przykład, starszy pan o portretowym sarmackim obliczu, pozbawiony reformą rolną swych dóbr, już jedynie posiadacz herbu i nazwiska zapisanego w najstarszej heraldii. Stłoczeni przy jednym stoliku fraternizowali się ze sobą. Wymieniali uwagi o damach, żartowali sprośnie. Toteż porucznik Guląka bez ociągania przyjmował camela od młodzieńca w oficerkach i bateldresie z napisem Poland na ramieniu — bez wątpienia obcego mu klasowo, rzecz można, wroga klasowego, żołnierza z II Korpusu Andersa, który niedawno wrócił do Polski i rozglądał się, poszukując miejsca dla siebie. Słowem mieszały się jak w garncu żywe relikty dawnego, reakcyjnego świata z aktywnymi rzecznikami ludowej władzy. W Polonii odkładali na chwilę ideowy oręż; nastawał czas zawieszenia broni. Stałym bywalcem był pewien zdegenerowany osobnik. Mineciarz, mówiono o nim ze wstrętem, nawet w tak rozwiązłym gronie rodacy preferowali prosty seks bez żadnych kombinacji. Pochodził ów osobnik ze znanej fabrykanckiej rodziny, zapowiadał się niegdyś na szachowego wunderkinda i podob

no grał w symultance z mistrzem świata Tartakowem, wygrywając z nim partię. Sprzedawał tutaj resztki rodzinnej fortuny i oddawał się uciechom. Fundował wszystkim hojnie, a wieczorem w towarzystwie dam i rozmaitych pieczeniarczy schodził na dół do nocnego lokalu. Bez wątpienia w kręgu hulaków i stręczycieli błyszczał jako gwiazda pierwszej wielkości. Książę Nocy; w latach tuż powojennych student i działacz „Bratniaka”, sutener, pijak i fantasta niebywały (utrzymywał wielu w mniemaniu, że gromadzi materiały do epokowej powieści), osobnik o urodzie włoskiego bryganta lub karbonariusza z czasów Garibaldiiego.

Dotychczas słyszę jego sugestywny głos: „Opisać ten kataklizm! Śmierć naszej epoki i narodziny tego wielkiego chlewu, który pochłania ludzkość!” Niewątpliwie śmiało, odkrywcze słowa.

Rój tych postaci wydawał się bajecznie kolorowy, a związki między nimi stanowiły mieszaninę komizmu i tragedii. Choćby zatarg pewnego oszusta z funkcjonariuszem komunistycznej władzy na dosyć wysokim szczeblu. Oszust dla wzmocnienia swej wiarygodności nosił w klapie znaczek ze Stalinem. W tym pojedynku był tak sugestywny, że jemu dano wiarę, przedstawiciela władzy zaś uznano za oszusta. Czasem rozgrywały się wydarzenia jednoznaczne w swej wymowie, bez krzty komizmu. Tajniacy wyłowili kiedyś w kawiarni młodego chłopaka o niepozornym, zgoła uczniowskim wyglądzie. Ciągnęli go między stolikami, kopiąc i poszturchując. Podobno był członkiem jakiejś podziemnej organizacji. Wrzucili go jak worek do czekającej przy wejściu czarnej „cytryny” — samochodu służby bezpieczeństwa tamtych lat.

Na porządku dziennym zdarzały się pijackie bawerki, kiedy to goście, opiwszy się ponad miarę, wszczynali burdy. Wtedy interweniowali szatniarze o posturze osiłków i milicjanci z XII komisariatu w Alejach Jerozolimskich. Wieczorami pojawiali się samotni mężczyźni, stawali w drzwiach i pilnie rozglądali się po sali. Byli to łowcy kobiet za pieniądze. Wabili gestami wybrane obiekty, zaś co bardziej śmiali przysiadali się do stolików i rozpoczynały się pertraktacje. W stałym gronie łowców wyróżniał się pewien księgowy, który na trzeźwo targował się zaciekle, wypiwszy zamieniał się w rozrzutnego birbanta. Wieńcem obsiadały go dziewczyny; czuł się jak Don Juan. Dostał się wkrótce do pudła; na swoje uciechy wydawał państwowe pieniądze.

Tak upływał dzień i rozpoczynała się noc. Lokal zwany Dołkiem zapraszał gościnnie. Przy wejściu do sali dansingowej rzucały nastrojowe światła dwie latarnie w stylu starych, ulicznych kandelabrow i orkiestra często grywała przedwojenny szlagier — „Pod starą tą latarnią tam straciłam cnotę za dwa złote”; co od razu sugerowało przyjemność wiadomego rodzaju. Na Dołku gromadziła się złota młodzież, tak zwani lokalowcy. Wśród nich było wielu młodych ludzi z okupacyjnych Szarych Szeregów i swoje wojenne pseudonimy: Katon, Kadryl, Kmicic, Pantera zamienili na przezwiska związane z obecnym, beztróskim życiem. Jeden został Kogutem z powodu swej czupurności. Inny to Valentin — zwany tak dzięki powodzeniu u kobiet. Jeszcze inny to Bajer, jako że opowiadał nieprawdopodobne historie. Hulali oni do upadłego, jak na ten czas niepewny przystało. Jeszcze wtedy mówiło się o III wojnie światowej i Andersie, który na białym koniu przyjedzie do ojczyzny. Na Dołku najchętniej zamawiano czystą, która podawana była w karafkach, maszynkę kawy (mały lub duży dzbanek) i sałatkę z cytryny.

Wstawał blade, brudny świt i kończyła się noc. Tak było.

W latach późniejszych do masywu Polonii przyrósł nowo powstały hotel Metropol i zaroilo się od Arabów. Przeważnie byli to gasterbeiterzy z Zachodu, poszukujący damskiego towaru. Toteż wenerolog praktykujący w pobliżu miał w przewadze klientelę arabską, a cały ten rejon zaczął przypominać Orient. Po Arabach nastąpiła włoska dominacja, która trwa do dzisiaj. Powstały pizzerie, lodziarnie. Doświadczeni powiadają, że to mafia zapuszcza swoje macki.

A sama Polonia inna już. Nie ma nocnego Dołku. Nie ma kawiarni. Teraz kawiarnia stała się luksusowym . lokalem z występami tancerek i innymi atrakcjami. Jeden z hulaków obecnej doby, biznesmen od przemytu wódki i papierosów, twierdzi, iż w profesji lekkich dziewcząt konkurencję stanowią zaczynają obywatelki Wspólnoty Niepodległych Państw. Za dwie „bańki” urodziwe Rosjanki wykonały mu prywatny, goły taniec na biesiadnym stole. Ale to już inna historia. Dla bywalców z lat 40. i 50. Polonia została miejscem, gdzie można było zaznać smaku nieokiełznanej wolności, choć wokół ciągnęło lodowatym chłodem i ciasno zaciskały się obręcze.

31. DWIE TERESY

Dużo było ładnych dziewcząt. Iza Drabina, wysoka, majestatyczna, o angielskiej, chłodnej urodzie dla koneserów. Wiśka, rosła, obficie wyposażona w kształty. Jeszcze Jadźka, Elka Serenada, Kryśka Cudna, która wcale nie była ładna, ale rajcowna niebywale. Wśród tego różnorodnego stada zdecydowanie wyróżniały się: Teresa i Terry. Obie Teresy po prostu. Tylko jedna z cudzoziemska zmieniła swoje imię, druga zaś pozostała Teresą. Jakaś szczególna aura otaczała te dwie dziewczyny.

Teresa była bardzo zgrabną, efektowną kobietą, o złocistych, bujnych włosach. Oczy miała modre i niewinnie trzepotała wachlarzem długich rzęs. Powodzenie szalone. Te spojrzenia, którymi obślizgiwali ją mężczyźni. Rój osłów i jeleni, jak nazywano tych łowców kobiet, otaczał ją na Dołku. Cierpliwi i zdecydowani ponosić najwyższe koszty. Pokornie przyjmowali jej kaprysy. Teresa bardzo lubiła tańczyć. W obcisłej, czarnej sukni jej ciało przeżyło się i wyginało, zupełnie jak w szlagierze tamtych lat o Ramonie, a długie nogi tak kusząco pokazywały się coraz wyżej i wyżej. Była, jak inne dziewczyny w Polonii, profesjonalistką, równocześnie stałą miłością obdarzała Ryśka Bubę. Ten Buba miał brutalną, męską urodę mrocznego straceńca i Teresa patrzyła w niego jak w święty obraz. Korzystał

niedbale z jej forsy i czasem wypiuwszy więcej, bił ją dotkliwie, powtarzając: „Ty szmato!” Choć wiedział przecież doskonale, czym ona się trudni. Nieraz podchodził do niej, wyciągał łapę i mówił krótko: „Jestem goły”.

Bez słowa sprzeciwu wręczała mu zwitek banknotów ze swego zarobku. Za jej pieniądze Buba nie tylko pił wódkę, brał sobie także inne dziewczyny. Taka to była ich miłość i często Teresa posiniaczona przez swego kochanka, mówiła z płaczem: „Już koniec z tym alfonsem!”

Wytrzymała bez niego ledwo kilka dni i wracała pełna oddania i czułości. Rysiek Buba uśmiechał się zwycięsko i wszystko zaczynało się od nowa.

Terry przybyła do Polonii z Białegostoku. Podobno była córką znanego adwokata, zdała z dobrym wynikiem maturę i nic nie zapowiadało żadnej burzy w jej życiu. Uczono ją w domu gry na pianinie, pobierała lekcje francuskiego. Miała zamiar pójść na studia o kierunku artystycznym. Co zdarzyło się tam, w Białymstoku? Zawód miłosny, złe skłonności? Przybyła do Warszawy z niemałym już bagażem cynizmu i występków. Szybko w kawiarni hotelu Polonia zajęła wysoką, niekwestionowaną pozycję. Inteligentna, wręcz błyskotliwa. Oczytana w dobrej literaturze. Nieraz siadywała przy stoliku z książką Iwaszkiewicza, Nałkowskiej, Tołstoja czy Maupassanta. Pogrążona w lekturze, sączyła likier miętowy. Urody nie miała żadnej. Chuda, płaska, na cienkich, krzywych nogach, włosy koloru konopi, niedbale uczesana, twarz wąska i blada, kredowa, czoło nadmiernie wysokie, w uśmiechu pokazywała drobne, ostre zęby jak u gryzonia. Tylko oczy miała fascynujące, zielone, pojawiały się w nich żółtawe iskierki; jakiś ogień skrywał się w ich głębi. Głosem obdarzona była dźwięcznym, niskim. Ubierała się z niedbałą lecz efektowną elegancją.

Otoczał ją nieustannie krąg wielbicieli. Wcale nie podrzędnej kategorii. Najbardziej wytrawni uwodziciele stawali się jej adoratorami i godzili się na wszystkie warunki. A ona, Terry, bywała nieobliczalna. Nie można było tak zwyczajnie kupić jej i mieć tego, co się chciało przez czas ustalony w umowie. Mogła zgodzić się na pójście z kimś na kolację do Dzika, wybrać się na dansing do Stolicy czy Kaskady, żeby nagle opuścić fundatora bez słowa. Mogła też zapalać nieoczekiwanym afektem do mężczyzny spotkanego przypadkiem przy barze. Wtedy stawiała mu hojnie, obdarzając wybrańca całym swym czarem.

Przypominała kobietę fatalną z czasu dekadencji, secesji. Bohaterkę powieści Przybyszewskiego, sztuk Strinberga. Tajemnicza dama z wierszy Błoka.

Zakochał się w niej bez pamięci Robert O., chłopak z powstania, więzień bezpieki, niefortunny uciekinier kajakiem na Bornholm, który w tych wczesnych latach 50. zaliczał się do ścisłego grona bywalców Polonii. Przepijał resztki biżuterii swej matki, dystygowanej starej damy, wywodzącej się z jednego z najbardziej szacownych rodów Warszawy. Terry przez pewien czas odwzajemniała mu się równie silnym uczuciem. Wyglądali oboje jak prawdziwa para zakochanych, trzymali się za ręce, wpatrzeni w swoje oczy. Wtedy Terry przestała zupełnie uprawiania zawodu dziewczyny lekkich obyczajów.

Po kilku ledwie miesiącach tej idylli Robert z obłędem w oczach poszukiwał jej po knajpach i kawiarniach. Terry zniknęła bez śladu. Pojechała w Polskę na gościnne występy. Tak mówiono. Potem znów była z Robertem. Ta wariacka, przerywana jej nagłymi ucieczkami miłość nie trwała długo. Rok, półtora. Oboje skończyli marnie. Robert jako zaopatrzeniowiec w jakiejś spółdzielni popełnił szereg nadużyć finanso

wych i dostał się na długie lata do więzienia. Terry zaś upadała coraz niżej i niżej. Piła nałogowo i do Polonii już jej nie wpuszczano. Bywała w najpodlejszych knajpach. Została uliczną dziewczyną. Wiecznie zapita, brudna i obdarta. Jej zielone oczy zgasły i nie było w nich żadnych iskierek. Wreszcie, jak to nieraz zdarzało się w tym wykolejonym półświatku, znaleziono ją martwą w piwnicznej melinie. Odbywała się tam jakaś libacja. Śmierć od nadmiernej ilości alkoholu czy bestialskie pobicie. Być może jedno i drugie.

Teresa natomiast wyrwała się ostatecznie spod złego uroku Ryśka Buby. Podczas letniego pobytu w Międzyzdrojach poznała Szweda, trenera żużlowców. Szwed zadurzył się w niej i jako jego małżonka wyjechała do Szwecji. Byłem u niej na pożegnalnym wieczorze. Piliśmy i dużo mówiła o Ryśku Buble. W Skandynawii powiodło się jej znakomicie. Rozstała się z trenerem i miała drugiego Szweda, biznesmena w starszym wieku. Przyjechała w odwiedziny do ojczyzny pięknym sportowym samochodem koloru złocistego. Dystygowana dama. Nadal urodziwa. Popłakała się na wiadomość o śmierci Terry.

— Byłyśmy jak papużki nierozłączki — powtarzała przez łyzy.

O Ryśka Bubę nie dopytywała się wcale. Po krótkim, lecz hucznym pobycie w Warszawie wyjechała z powrotem do Szwecji i dalsze jej dzieje są nieznane.

32. KLUB ANGIELSKI NA FOKSAL

Atmosfera angielskiego klubu, gdzie schodzą się dżentelmeni, powściągliwie popijają swoje drinki i przeglądają gazety, ma w sobie nieprzeparty czar. Chciałoby się tam być. Toteż, mimo że czas PRL-u nie sprzyjał takim obcym państwu robotników i chłopów ciągotom, półokrągły bar w dziennej Kameralnej niewątpliwie spełniał w zastępczy sposób rolę klubu. Od pory południowej obsiadali wysokie stołki w przewodze panowie i zamawiali swoje trunki. Czasem pojawiały się przy barze kobiety, lecz były to amazonki i zachowywały się po męsku. Jeżeli chodzi o trunki, to Warszawa nie Al- bion przecież i czysta w angielskich oraz pięćdziesięcio- gramowych kieliszkach królowała niepodzielnie. Choć zdarzali się tacy wyrafinowani smakosze, którzy zamawiali angielską gorzką czy żubrówkę. Pewien starszy pan był do tego stopnia wyrafinowany, że pił tylko wiśniówkę pod kawę. Półokrągły bar usytuowany blisko wejścia do sali miał swój specyficzny nastrój i był odizolowaną enklawą w całości. Drewniany, gładki blat, przykryty szklaną taflą, wygodne stołki z oparciem dla stóp i miły oku widok na gabloty z zestawem wielu zakąsek zachęcały do dłuższego pobytu. Za barem krzątały się dyskretnie panie barmanki: pani Jadwiga i pani Maria, obie w okularach i białych fartuchach; przypominały schludnym wyglądem farmaceutki. Na lewo tę sa

moistnie wydzieloną przestrzeń klubu zamykała staroświecka, ciężka kasa, gdzie urzędowała pani blokierka, czarnowłosa piękność o bladej, zagadkowej twarzy i gorejących oczach damy z hiszpańskich portretów. Na prawo za barem poustawiane były małe stoliki w tak zwanej zatoczce i tam też dominowały grona męskich biesiadników. Bywalcy klubu z latami znali się doskonale nawzajem. Wymieniali poglądy o polityce (raczej ściszymi głosami), pogodzie, pieniądzu i płci pięknej. Przy barze obowiązywała święcie przestrzegana zasada respektowania suwerenności uczestników tego konwektyku. Nie chciałeś rozmawiać, pragnąłeś solo pić wódkę i medytować. Proszę bardzo! Nikt nigdy nie zakłócał ci twojej osobności i tak patrząc przed siebie w gabloty z zakąskami lub kontemplując urodę hiszpańskiej piękności za kasą, spełniałeś swoje toasty i byłeś sam ze sobą. Mijały lata. Coraz odchodzili do wieczności członkowie tego zacnego towarzystwa. Jako jeden z pierwszych ubył Janek Koseja, siwowłoso, wysoki mężczyzna o urodzie amerykańskiego gwiazdora filmowego. Bywalcy żegnali go na Wólce Węglowej. Odchodzili inni. Z powodu wieku, chorób, nieszczęśliwych wypadków. Ale półokrągły bar trwał i puste miejsca zajmowali inni panowie, początkowo na prawach członków kandydatów, żeby po latach stażu uzyskać pełne prawa. Szczególnym powodzeniem cieszyły się wigilie świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Wtedy bywalcy przychodzili tłumnie i gościli się tradycyjną rybką i jajeczkiem. Tak oto ludzi różnego wieku, zawodów i poglądów łączył drewniany pulpit baru i mało kiedy wybuchały między nimi konflikty, burzliwe różnice zdań. Nastrój miejsca wpływał na harmonię współżycia. Bar trwał na obcym jego istocie gruncie marksizmu, socjalizmu i sowietyzacji niby skalista wysepka, pewne miejsce, gdzie można było się zakotwiczyć i przeczekać.

Aż przyszły te pamiętne wstrząsy, poprzedzające upadek komunizmu, a wraz z nimi długotrwały remont Kameralnej, która po remoncie stała się nagle restauracją japońską Tsubame. Dawnym bywalcom kojarzyć się ona zawsze będzie z tą ogromną falą oceaniczną tsunami, kiedy to wskutek ruchów tektonicznych dna morskiego masy wzburzonych wód wdzierają się na ląd i niszczą wszystko. Tsunami zmiotła Kameralną i ten sławetny klub, który spontanicznie powstał przy półokrągłym barze w jej wnętrzu.

33. WARIACKIE PAPIERY

Wskazał go Serek, wychudzony złodziej myszkujący po bazarach i dworcach.

— Patrz! To Kilo Wariackich Papierów! — szepnął Serek, wpatrując się z nabożnym podziwem w tego dosyć tęgiego gościa o gębie sinawej od trunków i zarośniętej, w samodzielną oprychówce wypchanej gazetami, siedzącego na beczce po piwie. Obok niego stała kobieta, wołając: „Pyzy gorące! Flaki!”

Przezwisek było długie i właściwie mówiono na niego — Kilo. Na litr gorzały też mówiono — kilo.

Zachwyty i zazdrość poznały płaską twarz Serka. Na tej twarzy przypominającej fragment monotonnej równiny, wyróżniał się wklęsły nosek i żwawe oczka biegnące niezmordowanie we wszystkie strony. Był to złodziej zdecydowanie niefartowny i pewno wyobraził sobie siebie w uprzywilejowanej pozycji człowieka o przezwisku Kilo Wariackich Papierów. Pełne szczęście!

— To jego baba — dodał Serek, wskazując bazarową handlarzkę. — Tak się urządził!

Ten Kilo rzeczywiście w pewnych kręgach uchodził za wybrańca bogów. Z jaką niechęcią spoglądali na niego gliniarze, nie mówiąc już o tajniakach, którzy obstawiali meliny i węszyli za urkami na wystawce.

No, bo co mogli mu zrobić? Nieraz przecież zabierali go przyłapanego na gorącym uczynku. Mimo pode

szłego wieku nieobcy mu był włam, chętnie skubał też jeleni. Wracił po bardzo krótkiej nieobecności i szczyrzył w uśmiechu pełnym satysfakcji swoją pustą paszczę. W tamtych czasach ludzie ze światka złodziejasków, oszustów, farmazonów i innych poszukiwaczy lekkiego chleba jedną tylko mieli szansę nietykalności i swobody. Tą szansą były wariackie papiery.

Były takie artykuły w kodeksie karnym: ograniczona odpowiedzialność za swoje czyny, czyli małe wariackie papiery i zupełny brak odpowiedzialności, czyli duże wariackie papiery. Zdobycie takiego cudownego glejtu stawało się obsesyjnym pragnieniem wielu kawalerów nocy i księżycy. Zwińczeniem stawała się bezkarność i wyzywająca kpina ze znienawidzonych gliniarzy i psów, czyhających na każde potknięcie człowieka. Ale nie tylko. Istniała jeszcze pewna metafizyka, sfera duchowa, bezinteresowna. Pragnienie wolności bez ograniczeń. Rozkosz wyzwolenia się z pęt. Za to wywyższenie jednak trzeba było płacić wysoką cenę. Ile syzyfowego trudu wkładali niektórzy w osiągnięcie tego szczytnego celu! Broniek Pepeszka, kalifaktor złodziejskiego oddziału na Gęsiówce, z hartem prawdziwego męczennika walczył o swoje wywyższenie. Świrował, jak mówiło się w Kminie, z uporem godnym przekazania potomności. Hodował w swojej celi szczura i oswoił to stworzenie jak psiaka. Całował go w drapieżny, odpychający pysk i spał wraz z nim w czułym uścisku. Po mistrzowsku odgrywał sceny szalów: wałąc głową o ścianę i kalecząc się pokrywą od kibla. Wdrapywał się na piec i potrafił tkwić tam nieruchomo przez tydzień: nie przyjmował pokarmów i nie pozwalał się tknąć nikomu. Wyglądał jak Szymon Słupnik. Zabierali go na badania do Tworek. Elektrowstrząsy, bolesne zastrzyki, rozmaite perfidne triki psychiatrów mające pozwolić na rozpoznanie czy to prawdziwy wariat, czy

udaje tylko. Tak trwał bez mała dwa lata w swym dążeniu do zdobycia statusu człowieka wyzwolonego. A Pe- peszką nazwany dlatego, iż w swej barwnej, przestępczej karierze korzystał również z tej broni, stanowiącej typowe wyposażenie żołnierzy Armii Czerwonej.

Podobną działalność przedsięwziął w więzieniu Kubuś Stopkarz, legendarny kryminalista z cieniutkimi jak niteczki wąsikami. Zdobył wreszcie małe wariackie papiery. Jaka radość rozbłysła w oczach wielokrotnego wyrokowca! Pokonał nieufnych psychiatrów z groźną doktor Szembergową na czele, ordynatorem oddziału dla podsądnych w Tworkach.

Małe wariackie papiery nie były glejtem ostatecznym. Mogły ulec cofnięciu. Ze świra stawałeś się na powrót normalnym człowiekiem, ponoszącym pełną odpowiedzialność za swoje postępowanie. O, tak! Psychiatrzy tylko czyhali, żeby móc odebrać ten cenny dar! Nieustannie bowiem młodzi i starzy więźniowie (może to monotonia życia pod całą wyzwalającą inicjatywę?) przystępowali do boju. Z nagłą przestawali mówić, zachowywali się na opak, wyczyniali okrutne eksperymenty na sobie i innych.

Mówiło się wtedy o takim: „Zaczął walczyć. Walczy o wariackie papiery”.

Odtąd był traktowany z najwyższym szacunkiem. Otaczał go powszechny nimb. Samotny wojownik. Te dni

I noce w izolatkach. Te bolesne badania. Ciągłe napięcie, czujność. Miesiącami, latami pogrążony w wariackiej kreacji. Niektórzy może wariowali naprawdę?

Pod Jeleniem na Nowogrodziej (krótco po wojnie Simon i Stecki) zauważyłem faceta o wyglądzie niczym go nie wyróżniającym wśród innych, który w sposób bezceremonialny położył swą brudną dłoń na talerzu z jakimś sznyclem czy bryzolem niesionym przez kelnera gdzieś do stolika.

„Pieczętuję” — rzekł i najspokojniej odebrał mu talerz. Kelner równie spokojnie zareagował na ten eksces. Nam, zaintrygowanym tym wydarzeniem, wyjaśnił także spokojnie: „Wariackie papiery, świrus znaczy. Nie dasz mu, to zdemoluje lokal, pobije. Przyjedzie pogotowie, założą mu kaftan i zabiorą do wariatkowa. Ale co z tego? Wróci i zacznie się mścić...” Kilo Wariackich Papierów uważany był za szczęściarza, który zdobył jakieś superpapiery. Ekstraglejt niepoczytalności, będący udziałem nielicznych wybrańców. Świr najwyższej gildii. Podobno zarznął dwie wiarołomne kochanki i nic mu za to nie zrobili. Przesiedział jakiś czas w zakładach zamkniętych dla czubków i wrócił sobie do miasta. Nie-tykalny. Takim los obdarzył go darem i nigdy nie zostało stwierdzone, czy był to prawdziwy świr, czy tylko świrował.

W dzisiejszych czasach sfera wolności została znacznie poszerzona i wariackie papiery nie są jedyną szansą jej zdobycia.

34. MURY I LUDZIE

Benek pracował w kwaciarni na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich. Pozostało tam kilka starych kamienic jak ostatnie zęby w pustej szczęce. W jednej istniała restauracja Współczesna. W drugiej, nieco dalej od rogu, kawiarnia Kopciuszek, zimą ogrzewana żelaznym piecykiem typu „koza”. Niby niedobite, a tak żywotne stwory, zaraz po wojnie funkcjonowały te lokale użyteczności publicznej w bardzo ciężkich warunkach.

W miarę powstawania socjalistycznego miasta relikty przeszłości burzono bez pardonu. Najdłużej zachowała się pośród nowej zabudowy zdewastowana i zupełnie odarta z tynku kamienica, w której na piętrze mieściła się redakcja Polityki, jednego z ważniejszych tygodników PRL-u. Wyglądała jak żywa pamięć lat wojny i okupacji, będąc paradoksalnie siedzibą ideowej kuźni nowych czasów. W niepamięć poszedł szynk Współczesny. Kopciuszek chociaż zachował się symbolicznie — w nowo powstałym bloku była nadal kawiarnia o tej samej nazwie. Natomiast właściciele kwaciarni ze wspomnianej na początku, narożnej kamienicy, pan Haspert i jego żona, okazała, majestatyczna dama, przenieśli się ze swoim interesem do parterowych bud i pawilonów w Alejach Jerozolimskich niedaleko Chałubińskiego, naprzeciw dworca podmiejskiej kolejki. Tam egzystowało jeszcze do wczesnych lat 70. małe cen

trum handlu i rzemiosła. Trwali zahartowani prywaciarze, którzy wytrzymali fale domiarów, kontroli, donosów i innych nacisków. Przychodziłem tam często i Benek wyląził z piwnicznego pomieszczenia, gdzie układał wieńce i wiązanki. Jego pryncypał, masywny mężczyzna z łysą głową, znany przedwojenny pływak AZS-u był liberałem i zezwalał Benkowi na godzinkę wolnego, jeżeli oczywiście nie szykowały się jakieś popularne imieniny. Szliśmy na wódkę do Klubowej czyli do Kowalskiego, jak mówili starsi warszawiacy ze względu na niegdysiejszego właściciela. Klubowa znajdowała się także w Alejach Jerozolimskich, przy ulicy Pankiewicza. Potem wstępowaliśmy na kawę i likier miętowy do Danusi lub Colorado — obskurnego lokaliku w powojennym domu za ulicą Chałubińskiego. Tam na skrzyżowaniu Chałubińskiego z Alejami tkwiła ogromna, mieszczańska kamienica z początków wieku. Miała ona w sobie coś z twierdzy, która przetrzymała niejednego kataklizm. Po drugiej stronie ulicy przy dworcu stały wózki z owocami, warzywami i czeską biżuterią. Była to szczątkowa inicjatywa handlowa — działali na dziko, przeganiała ich milicja. Tu handlował Mietek Łapka ze swoją kobietą. Był to stary doliniarz, nieczynny z powodu udaru mózgu, lekko sparaliżowany. Łapką zwany dlatego, że te rączki miał malutkie, idealne do kieszonkowego fachu. Stanowił kopalnię wiedzy o dawnym mieście. Wywodził się z żydowskich urków z okolic Miłej (jak u Broniewskiego!) i wygląd posiadał nobliwy. Starszy pan w okularach, bardzo wymowny. Wśród innych wózkarzy wyglądał jak intelektualista. Z Mietkiem chodziliśmy na wódkę do baru Karpackiego, który mieścił się w czynszowej ruderze z poobtrącanymi balkonami na Chmielnej w kierunku Żelaznej. Bar mały, ciemny, piło się na stojaka i czas zaiste był zatrzymany; ostatni dorożkarze lubili tutaj zaglądać. Sinonosi starcy

w granatowych szynelach, wysokich, okrągłych czapkach. Przy odrobinie fantazji łatwo można było sobie wyobrazić Warszawę carskiego zaboru, dwudziestolecia, okupacji... Stamtąd zapuszczaliśmy się do Orłówki, przedwojennej restauracji również na Chmielnej, już przy jej zbiegu z Żelazną. Chmielna rozerwana w swej ciągłości przez budowę Pałacu Kultury ma dwa odcinki, w jednej części została przemianowana na Rutkowskiego (teraz znów jest Chmielną), w drugiej zachowała się pod pierwotną nazwą.

Drogi tych wypraw zamykały się w zaklętym kręgu starych domów, które pozostały — dawnych miejsc i dawnych ludzi. Z tamtych lat pamiętam swoje spotkania z Januszkiem Niemczakiem, chłopakiem znacznie starszym ode mnie, o warszawskim, rdzennym rodowodzie. Wywodził się z typowych chojraków, których uwiecznił Grzesiuk w książce Boso, ale w ostrogach. Barczysty o sylwetce tragarza; bujany chód, cyklistów-ka, skórzany płaszcz. Wydawał się twardy, wykuty z jednej bryły. Wtedy to z całym zaufaniem i naiwnością dziewiętnastu lat zwierzałem mu się ze swoich udręk. Była w tym skowycie mieszanina pragnień wzniosłych i pospolitych. Ciało nie chciało się pogodzić z duchem. Zło brało górę nad dobrem. Pocieszał, jak umiał. Januszka Niemczaka widywałem jeszcze w latach późniejszych. Rozpił się zupełnie. Zredukowany do niewolniczego pragnienia. A tak liczyłem, że u niego znajdę odpowiedź na swoje rozterki! Bryłę jednak coś rozsadziło. Ludzie i mury znikali, niwelowani nieubłaganym buldożerem przemian. Narożną kamienicę przy Chałubińskiego rozwalono z wielkim trudem. Broniła się zawzięcie. Była zawalidroga, przeszkadzała w poszerzeniu arterii komunikacyjnych. Z powodu budowy Dworca Centralnego zlikwidowano pawilony kupców i rzemieślników w Alejach Jerozolimskich. Wózkarzy

wymiotło. Mietek Łapka wyjechał gdzieś w egzotyczne strony. Pan Haspert zwinął kwaciarski interes i też ruszył za ocean do Ameryki. Mój przyjaciel, Benek kwaciarcz, pracował potem w różnych kwaciarniach od Saskiej Kępy po Ochotę. Nigdzie jednak nie zagrzewał na dłużej miejsca. Był wykorzeniony. Mało co pozostało po dawnych ludziach i murach. Idąc tamtędy między hotelem Marriott i Dworcem Centralnym z trudem odtwarzam umarłą przeszłość tego obszaru. Wszystko się miesza i płacze. Było, nie było?

35. SOLISTA

Podobał się dziewczynom.

„Taki słodki drań ma prawo zawrócić w głowie” — wzdychała niejedna z tych profesjonalistek odpornych przecież na powaby mężczyzn.

Przychodzić musiał do Polonii zaraz od jej powojennego renesansu. Znany wśród bywalców. Z szatniarzem w ścisłej zażyłości. Często śpiewał piosenki z powstania. Od „Marsza Mokotowa” po »Chłopców z „Parasola”^{*^} Głos miał mocny, czysty. Słuchali go wszyscy z przyjemnością. Szczególnie mężczyźni, z których wielu miało za sobą powstańczy chrzest. W Polonii stosunki panowały liberalne i jego śpiew był tolerowany bez przeszkód. Nawet stanowił swoistą atrakcję w przerwach działalności kawiarnianej orkiestry. Wyróżniał się także drobiazgową wiedzą o strukturach AK od Komendy Głównej poczynając po szczebel najniższy. Zapalał się, z pasją historyka-amatora wyliczał zgrupowania armii podziemnej:

»„Garłuch”, „Sosna”, „Żywiciel”, „Madagaskar”, „Ruczaj”...« Albo zadawał pytanie: »Dlaczego zgrupowanie na obrzeżach Warszawy nazywało się „Obroża”? A dlaczego na Woli „Miotła”?«

Mówił tak barwnie i zajmująco, że zachęcano go, aby mówił dalej.

Bardzo żywa była wtedy pamięć czasu okupacji i słuchacze rozgrzani jego śpiewem i opowieściami o tych bohaterskich batalionach, kompaniach, plutonach sami zaczęli wspominać. Ten był Wicher, tamten Grom czy Kmicic. Plutonowy, podchorąży, kapral podchorąży. Zdarzali się też oficerowie, podporucznik, porucznik, jeden Krzyż Walecznych, dwa. Licytowali się swoimi stopniami, odznaczeniami, zasługami. Te rozmowy odbywały się przeważnie pod wieczór i obficie były zakrapiane wódką. Przystojniak zaliczał się do tego kombatanckiego kręgu i potwierdzeniem przynależności była miniatura Krzyża Walecznych w klapie. Może był w Szarych Szeregach? Duży i mały sabotaż. Oprócz Krzyża Walecznych nosił jeszcze odznakę harcerek. A kiedy do Polonii zajrzał pewien znany dowódca z powstania, Przystojniak zerwał się od stolika i wyprężył w postawie zasadniczej.

„Dajcie spokój! No już, spocznij!” zachnął się były dowódca, ale równocześnie nie ukrywana satysfakcja pojawiła się na jego władczej, pobrużdżonej twarzy.

W czasie kiedy pojawiłem się w Polonii, Przystojniak przeważnie przesiadywał z dziewczynami. Urodę miał, jak powiadano, dla kobiet. Błądą, pociągłą twarz o silnym zarostem i bardzo melancholijnych, jakby wilgotnych oczach, kosmyk kruczoczarnych włosów opadał mu niesfornie na czoło.

„Z taką aparycją — stwierdziła pewna wiekowa bajzelmama z przedwojennego lupanetu — mógłby zrobić majątek”.

Darzyły go kolejno swymi wdziękami: Danką Perskie Oczko, Jadźka z Wilczej, Małgośka Bonton i inne jeszcze lokalówki. Jemu nie przeszkadzała ich profesja. Traktował je z szacunkiem staroświeckiego uwodziciela. Czuły kochanek, pełen dbałości i szarmu. A każda taka

dziewczyna lubiła mieć przecież od święta prywatny, romantyczny romansik. Czym się zajmował poza tym Przystojniak? Czy gdzieś pracował, miał stałe źródło utrzymania? To nie było znane. Wyglądał na minimalistę, utrzymującego się z dorywczych zajęć. Znoszone ubranie, mozolne wygrzebywanie pieniędzy na kieliszek wódki. Dziewczyny przeważnie fundowały mu napiwek, zapraszały na obiad, zabierały ze sobą do nocnego Dołka. Wypiwszy więcej, wstawał nagle od stolika i śpiewał powstańcze piosenki. Nadal słuchano go z przyjemnością.

Z początkiem lat 60. zakończyła się bujna era Polonii i Przystojniak zaginął gdzieś w odmętach miasta.

Dopiero po wielu latach zobaczyłem go znów pod kościołem św. Anny. Tam przy wieży uformowany został z kwiatów i świec ozdobny krzyż i co wieczór zbierali się przy nim ludzie, śpiewając patriotyczne i religijne pieśni. Była to spontaniczna forma protestu przeciw komunie, Jaruzelskiemu i restrykcjom stanu wojennego. W chórze przeważały kobiety od podlotków po staruszki. Przystojniak znajdował się w tym gronie. Jego czysty, dźwięczny głos wybijał się zdecydowanie.

Po występie przywitaliśmy się serdecznie i zaszliśmy na kawę do pobliskiej Poziomki na Miodowej. Strój miał znoszony i biedny jak w czasach Polonii. Niewiele się zmienił. Nadal te wilgotne, parzące oczy, tylko siwizna obsypała do szczytu jego niegdyś kruczę aż granatowe włosy. W klapie marynarki, oprócz dawnej dekoracji w postaci miniaturowego Krzyża Walecznych i harcerskiej lilijki, przybyło kilka nowych znaczków. Emblemat Solidarności, plakietka z Matką Boską i jeszcze kilka innych ozdób. Bardzo był obwieszony i wypinał pierś.

— Co u ciebie? — zacząłem od zwyczajowych pytań dotyczących żony, dzieci itp.

— Nic z tych rzeczy — odparł. — Wolny jestem. I wcale nie dopytując się co u mnie, wskazał na placik za kościołem św. Anny. Tu się zbieramy i śpiewamy — powiedział.

Sprawił wrażenie człowieka, który znalazł swoje miejsce. Z zapalem młodzieńca opowiadał o różnych perypetiach związanych z działalnością chóru. A to milicja ich rozpędza pałując. A to tajniacy zatrzymują, przesłuchują.

— Ale wcale nie pękamy — używał liczby mnogiej; był częścią większej całości. — Co wieczór śpiewamy. Przychodź do nas — zaprosił. Śpiewamy, co chcemy. Wszystko. Bijemy w komunę jak w bęben. Niektóre babeczki są owszem, owszem — dodał na marginesie i uśmiechnął się po dawnemu uśmiechem pełnym melancholii i słodkich obietnic.

Widywałem go tam wiele razy. Wreszcie władza zlikwidowała to zapalne miejsce. Stał kordon zomowców, nie dopuszczano nikogo. Chór przeniósł się pod krzyż kwiatowy na plac Zwycięstwa w pobliżu Grobu Nieznanego Żołnierza. Przystojniak był nadal niekwestionowanym solistą chóru. Tyle z siebie dawał! Jego dźwięczny, silny baryton wzbijał się ponad kobiece głosy. Zbierał spojrzenia pełne podziwu. Kwiatowy krzyż na placu też zlikwidowano po jakimś czasie. Pod pozorem prac remontowych ogrodzono teren parkanem i skończyły się śpiewy. Przystojniaka już nigdzie nie spotkałem. Śpiewa w jakimś chórze, stracił głos? Nie wiem.

36. KONIE

Dziś jest to prawie nie do wiary. Kino wszelkimi sposobami walczy o zapelnienie pustoszej widowni. A kiedyś, zaraz po wojnie, tłumy zbierały się pod tymi nielicznymi ocalałymi kinoteatrami (taka była pierwotna nazwa): Stylowym, Palladium, Atlantikiem... Pełne podniecenia, rozgorączkowane, z tak wielką niecierpliwością oczekujące bajkowych czarów na ekranie. Z tego powodu, spontanicznie wychodząc naprzeciw potrzebom publiczności, wykształciła się instytucja koni, koników, jak mówiono z warszawską tendencją do spieszczeń. Konie! Pewno dlatego, że biegali chyżo... Kręcili się przed wejściem do kina, proponując bilety.

Propozycja była nie do odrzucenia. Kolejka tak długa. Szanse na normalne kupno biletu w kasie tak minimalne. Szczególnie na te porywające, amerykańskie filmy o wojnie z Japończykami w dżunglach Azji i na wodach Pacyfiku. „Mściwy Jastrząb”, „Pięciu zuchów”. Te filmy szły tygodniami przy nie słabnącej frekwencji. A konie biegały rącho również z powodów konkurencyjnych. Jeden chciał wyprzedzić drugiego. Z początku pracowali w pojedynkę, samopas. Najwyżej we dwóch, trzech, tworząc swoje kooperatywy.

Skąd mieli bilety w znacznej liczbie? Sami wcześniej kupowali, prowadzili konszachty z kasjerkami, bileterkami. Byli już typowymi postaciami w życiu miasta.

W samodzielnym czapkach, zwanych oprychówkami, bujany chód, wytrawne, przebiegłe spojrzenie, nieomylnie odróżniające poczciwego nabywcę biletu od łapacza, czyli tajniaka.

Konie to była specyficzna kasta. Z czasem szczególnym autorytetem zaczęli się wyróżniać wśród nich tacy, którzy nie spoczywając na laurach zdobytego powodzenia w handlu, próbowali dynamizować sprzedaż biletów, doskonalić jej sposoby, żeby wreszcie całkowicie ją zmonopolizować. Rysiek Tabaczka, Sztajer, Kazik Mojka, Ząbek. To niektórzy z tych kondotierów. Zahartowani, odważni i przebiegli, potrafili korzystać z szans, które stwarzał matecznik miasta. Trudnili się już przedtem rozmaitymi procederami, poznali smak odsiadki na Gęsiówce. Przetrwali różne niepowodzenia, pokonani — znów podrywali się do walki. Oni to stali się szefami band koników pod kinami. Chwycili w żelazne dłonie ster chaotycznej dotąd sprzedaży biletów, nie szczędząc przemocy i łamiąc opornych.

Uporządkowali ten bałagan i podzielili się strefami wpływów. Sztajer trzymał Stylowy, Rysiek Tabaczka Palladium i Atlantic, Mojka Polonię. Zorganizowali drużyny podkomendnych, które zajmowały się sprzedażą biletów, tępiąc bezlitośnie koników indywidualnych. Dopadali takich pojedynek i odbierali im bilety, utarg. Jeżeli taki anarchista, samotnik w porę zrozumiał daremność oporu, mógł liczyć na łaskawe przyjęcie do drużyny monopolisty. Zawsze zagadką pozostawała niewyczerpana liczba biletów sprzedawana przez koników. Mieli ich całe pliki, grube zwoje. Zaopatrzeniem sprzedawców w bilety zajmowali się szefowie. Posiadali rozległe stosunki. Z całą pewnością musiał to być precyzyjnie zorganizowany system korupcji. Ścisła współpraca z personelem kin. Sam widziałem, jak Sztajer, boss jednego z gangów, osobnik o urodzie hiszpańskiego

bryganta (był prekursorem mody obwieszania się złotem: złoty łańcuch na przegubie dłoni, złote sygnety, czyli fingle, na palcach) witał się poufale z kierownikiem kina. Gawędzili sobie. Czuło się zażyłość. Sztajer skubał fantazyjnego wąsa. Kierownik tarł łysinę. Coś tam kombinowali. Ci wielcy monopoliści sami już nie handlowali biletami. Przesiadali w pobliskich kawiarniach i knajpach. Podwładni przynosili im pieniądze, otrzymywali zwoje biletów. Można przeto uznać, że była to już bardzo nowoczesnie zorganizowana struktura podziemna na wzór mafijnej, istniejącej w krajach wolnego rynku i demokracji. U nas w PRL-u świadczyła wymownie, że ideologia i autorytarna władza nie potrafi wytrzebić do szczytu wszystkich ludzkich inicjatyw.

Milicja też została oswojona i obławy na koników zwykle były nieskuteczne. Oni już wcześniej o tym wiedzieli. Ten złoty czas trwał do późnych lat 60. Kin przybywało i podupadła ta domena działalności. Również telewizja stawała się coraz poważniejszą konkurencją dla kin. Ludzie woleli wygodny fotel w domowych pieleszach, ciasteczka i herbata pod ręką, a przed oczyma przesuwały się obrazki na ekranie.

Zaczynał się zmierzch i dynamiczne dotąd środowisko handlarzy biletami podupadło. Sztajera gdzieś zatłukli. Brzytewka rozpił się. Rysiek Tabaczka wyjechał na Wybrzeże. Zabrakło wybitnych indywidualności. Nowe talenty gdzie indziej szukały ujścia dla swojej pomysłowości. Jeszcze tylko wtedy, kiedy w kinach pokazywano filmowe szlagiery, sporadycznie pojawiali się konie. Były takie kina premierowe (Moskwa, Skarpa, Wisła) i tam, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, stawali przy wejściu i znów szedł stary interes. Ale już był w istocie tylko krótkotrwałą efemerydą, echem dawnej świetności.

Znałem pewnego weterana tego procederu, który do niedawna jeszcze zajmował się dorywczo obsługą kin. Stary, posiwiasty. Prowadził jakieś ciemne interesy z konduktorami międzynarodowych pociągów. Zamożny, samochód niezłej marki, budował sobie domek na Zaciszu. Jednak zew krwi co jakiś czas wzywał go do kina i ten stary koń krzątał się pod Relaksem czy Skarpą, kiedy wyświetlano tam jakiś obsypany wawrzynem nagród przebój filmowy.

— Parter czy balkon? Parka czy więcej? — pytał monotonna, podchodząc do ludzi wystających w kolejce przed kasą.

37. STARZY CYRKOWCY

Fotografik był rodem ze Lwowa i jego pasją stało się tropienie odchodzącej historii, zaklętej w murach i ludziach. Pamięć swego rodzinnego miasta posiadał niezwykłą. Miał w oczach tyle domów, ulic, płaskorzeźb na murach, ołtarzy w kościołach. Najbardziej bolał nad tym, że nie utrwalił w fotografii miasta swego dzieciństwa i młodości.

W tym czasie, kiedy rozpoczęła się nasza zażyłość, penetrował świat dawnego cyrku. Jeździliśmy do Młocin, gdzie mieszkał słynny niegdyś treser dzikich zwierząt, pan Ksawery. Był to mały, biedny domek pełen pamiątek i fotografii z cyrkowej kariery pana Ksawerego. Znał on najślynniejszych mistrzów niebezpiecznej tresury drapieżników z międzywojennego dwudziestolecia. Nie tylko w Polsce, również za granicą. Opowiadał o swoich występach w cyrku Cinizellogo, Staniewskich. O wędrownkach wozem cyrkowym po małych miasteczkach, zapadłych dziurach zabitych deskami. O dzieciach, które witały kolorowe wozy cyrkowców. O ich oczach pełnych podziwu. Pan Ksawery pochodził z zacnej, mieszczańskiej rodziny i jako chłopiec uciekł z rodzinnego domu i przystał do wędrownej trupy.

BJi ruchliwa, wyrazista twarz była jak fotografia tych wędrowek, występów, groźnych przygód i sekret nych sztuczek, które chowa w zanadrzu każdy doświadczony treser krwiożerczych tygrysów, nieobliczalnych słoni i złośliwych małp.

Mój znajomy fotografik pstrykał aparatem, utrwalając twarz pana Ksawerego. Pracował nad cyklem portretów ludzi areny.

Opowieściom męża przysłuchiwała się pani Maria, przed laty najlepsza akrobatka, mistrzyni ryzykownego chodzenia po linie. Ona mówiła niewiele, tylko przytakiwała z uśmiechem.

Pan Ksawery, rozgrzany wskrzeszoną przeszłością, prowadził nas w kąć podwórza do szopki. Tam mieszkały trzy jego ulubione psy. Łaciate, wiekowe buldogi. Jeszcze pracowały z nim w ostatnim czasie przed chorobą. Pan Ksawery szeptał do nich czule, całował w różowe, obwisłe pyski. Następnie zaczynał cichutko gwizdać, wykonywać magiczne gesty tresera i te stare, niedołączne psy ożywiły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Stały się na powrót młode, sprężyste i pilnie wsłuchane w polecenia swego pana. Tańczyły, stawały na dwóch łapach. Podnosiły z ziemi ponumerowane karteczki i układały je w kolejności wypisanych na nich cyferek. Tylko nie mogły już wykonać najbardziej efektownego numeru, który nazywał się drabiną do nieba. Jeden wdrapywał się na drugiego. Osuwały się na ziemię i znów rozpaczliwie ponawiały próby. Bezskutecznie. Pan Ksawery wzdychał.

— Nie dają rady — mówił ze smutkiem. — Tak samo jak ja.

Nie czynił im wyrzutów. Jeden z tych buldogów kiedyś jeździł na rowerze. Opowiadał pan Ksawery jak zbierał oklaski zachwyconej widowni.

— To był cyklista! Teraz zupełnie oślepl.

Podsunał swym wiekowym pupilom smakołyki: kiełbasę, ciasteczka. Wyszliśmy z szopy. Znużone, stare

psy ułożyły się na legowiskach. Przeważnie spały, dożywając swoich dni.

Pan Ksawery spochmurniał, przestał mówić; wyglądało na to, że też pragnie położyć się na swoim łóżku i śnić w samotności o dawnych czasach. Pożegnaliśmy się z nim. Z moim znajomym fotografikiem jeździłem do podwarszawskiego miasteczka Błonie. Tam w szarym bloku na pierwszym piętrze mieszkał brat pani Mery, Bronisław, popularny dawniej kłown, ulubieniec publiczności. Był już bardzo stary, lecz jeszcze dziarski. Mieszkał z młodą, hożą kobietą.

— Zapisalem jej mieszkanie -^-powiedział z rozbrajającą szczerością. — Wiele już nie potrzebuję. Ona przystała na moje warunki.

Nie wiem, czy coś jeszcze łączyło tych dwoje. Ale pan Bronisław był schludny, czysto ubrany i wyglądał na zadowolonego. Zawsze dopisywał mu humor. Chętnie przebierał się w strój kłowna, wyciągał spod łóżka staroświecki kuferek, z którego wyjmował potrzebne mu rekwizyty: perukę, pstrokatą czapczkę z pomponem, sztuczny, ogromny nochal, błazeński kaftan i ma- zidła do malowania twarzy, tusze, kremy, szminki. Przebierał się z wielką starannością i przeistaczał swą twarz w lustrze. Zmartwychwstawał dawny kłown. Młoda kobieta przypatrywała mu się z ciekawością i chichotała. Pan Bronisław pokazywał swoje sztuczki. Był naprawdę śmieszny. Fotografik uwijał się w podskokach, niezmordowanie pstrykając aparatem. Uwiecznił pana Bronisława.

Po występach na stole pojawiła się wiśniowa nalewka w karafce i zmęczony pan Bronisław wypijał sobie kieliszek. Potem drugi.

— Boh trojcu lubit — powiedział i domagał się trzeciego.

Młoda kobieta odstawiała karafkę do kredensu. Kredens zamykała na kluczyk.

— Starczy już — mówiła stanowczo.

O zmroku wracaliśmy elektrycznym pociągami do Warszawy. Szumiało nam w głowach i widzieliśmy na wysypanej trocinami arenie kłowna, tresera dzikich zwierząt, akrobatkę w karkołomnych ewolucjach, całą tę cyrkową rodzinę.

Mój znajomy fotografik zmarł nagle na serce i skończyły się nasze wyprawy do starych cyrkowców. Pewno i oni już nie żyją.

38. U ARTYSTÓW

Na rogu Obożnej i Karasia w przedwojennej kamienicy mieściła się kawiarnia U Artystów (teraz sklep spożywczy), a po drugiej stronie ulicy na tyłach Harendy parter zdewastowanego, niskiego domku zajmował sklepik spożywczy typu „mydło, powidło” — U Mamy Pawlikowskiej, jak mówiono powszechnie.

Obecnie w tym miejscu jest parking, a na tyłach dawnej Harendy (od kilku lat grecka restauracja Parnas) ulokował się modny pub czynny do białego rana. Jednak wracamy do lat 60., kiedy dwa lokale, kawiarnia i sklepik, były w zenicie swej popularności i ich klientelę stanowili w większości młodzi artyści. U Artystów serwowano wino produkcji krajowej, U Mamy Pawlikowskiej zaś piwo z beczki, co stanowiło nie lada atrakcję wobec rosnącej dominacji tego napoju z chmielu w butelkach. Ponadto w jednym i drugim miejscu krzepiono się wódką z butelki ukrytej w kieszeni lub za pazuchą. Jeżeli nie czyniono tego zbyt ostentacyjnie, to kelnerki w kawiarni przymykały oczy, a właścicielka sklepiku dobroduszną jejmość, czuwała tylko, żeby konsumenci nie przesadzili z nadmiarem wypitki. Toteż od rana bywało tam rojno i gwarno.

Studenci z Akademii Sztuk Pięknych uciskani na uczelni przez partię i ZMP, faszerowani polityczną indoktrynacją i socrealizmem, obowiązującym w sztuce — tutaj nareszcie rozluźniali się po ludzku i wymieniali swobodnie poglądy. Pikanterii dodaje fakt, że w pobliżu Akademii, po drugiej stronie Krakowskiego Przedmieścia funkcjonował piwny lokalik, zwany Pod Chrystusem, jako że Chrystus z kościoła św. Krzyża wyciągniętą ręką wskazywał dokładnie to miejsce i adepci sztuk pięknych pokrzepiwszy się w przelocie piwkiem, podążali spiesznie do tych dwóch przybytków znajdujących się na tyłach królewskiego traktu.

Kawiarnia i sklepik spowite były młodopolską aurą cyganerii, zbuntowanej sztuki i głębokiej pogardy dla filistra. Odbywały się tutaj pijaństwa, bijatyki, zażarte spory oraz gorące tyrady o wolności tworzenia i urzędnikach, którzy stoją temu na przeszkodzie. Młodzi malarze, rzeźbiarze, rysownicy śnili swoje sny o potędze i z przejęciem przysłuchiwały się im ładne dziewczyny. Starsi artyści, profesorowie, docenci, ludzie już z dorobkiem, rzadko tu zaglądali. Oni przeważnie podążali w stronę matecznika ulicy Foksał, gdzie znajdowały się dwie restauracje sławnego koncernu Kameralna, kawiarnia architektów i klub dziennikarzy. Jedyne znany malarz Marian Bogusz bywał tu częstym gościem. Czasem pokazywali się jeszcze: Edzio Krasiński, Stefan Gierowski i architekt Paweł Bujnicki. A spoza branży największą popularnością cieszył się Janek Himilsbach, który tutaj ostrzył swe pióro do Monidla i Przepychanki. Także kilka razy zamajaczyła wysoka postać Marka Hłaski.

Lata mijały i młodzi bywalcy zostali wyzwolonymi artystami. Niektórzy z nich osiągnęli znaczne sukcesy. Kilku tragicznie zmarło w młodych latach. Inni jeszcze zagustowali w trunkowym trybie życia. Pierwsza została zlikwidowana piwiarnia Pod Chrystusem. Po niej wyburzono domek ze sklepikiem U Mamy Pawlikowskiej i w ostatniej kolejności przyszedł kres kawiarni U Artystów. Warto o tych nie istniejących już miejscach pamiętać. Panował w nich niepowtarzalny klimat i na pewno nieśmiało i nieporadnie kielkowało tam pragnienie prawdziwego wypowiedzenia się w sztuce.

39. HARPAGON

Były to wczesne lata 50. i wszystkie nadzieje okazały się złudne. Nie można już było spodziewać się czegoś lepszego. Ci, którzy posiadali jakieś prywatne interesy, nieruchomości, zostali bezapelacyjnie wyrugowani ze swojej własności. Knajpa, sklep, kamienica, fabryczka... Po tym pozostały tylko wspomnienia. Miałem, zabrali. Zabrali i jeszcze posadzili do pudła na parę lat. Najmniejsza nawet inicjatywa indywidualna narażona została na szereg zagrożeń. Artykuły małego kodeksu, komisja specjalna do walki z sabotażem i spekulacją. Na przykład: złoto, obca waluta. Ilu ludzi za taki handel szło do pudła! Pomału stawaliśmy się narodem sko- lektywizowanym. Wszystko nasze, wspólne. Każdy próbujący w pojedynkę to spekulant, sabotażysta, pasożyt, wróg klasowy. Tym bardziej więc przy tylu zagrożeniach zadziwia fenomen egzystencji pana S., zwanego Harpagonem. Na początku wysiadywał w Polonii. Przeniósł się do Kopciuszka. A w tych najgorszych latach zagnieździł się w małej kawiarence na Widok.

Zazwyczaj zaczynał urzędowanie przed południem i z przerwami na posiłki trwał do godzin wieczornych. W niedziele i święta nie pracował. Był już bardzo stary i jego kawiarniany tryb życia nie kwalifikował go jako pasożyta. Już emeryt. Po wojnie zatrudniony przez pewien czas w odbudowującej się bankowości. W istocie był to człowiek pracowity jak pszczołka. Ostatnia inicjatywa prywatna w naszym socjalistycznym mieście. Spec od finansów. Przed wojną był maklerem giełdowym i porywająco opowiadał o gorączce hossy czy bessy na Królewskiej. Później miał lombard. Podczas okupacji wzniósł się na wyżyny i stał się rekinem czarnego rynku. Podobno konspiracja korzystała z jego usług, powierzając mu do obrotu zagraniczną walutę. Podobno z ludźmi z getta prowadził rozległe interesy. Uczciwy, ale bezwzględny. Taką cieszył się opinią. Imponował głęboką wiedzą w zakresie prawa bankowego, weksli, żyra, dyskonta i tym podobnych pojęć. Lubił rozprawiać o tej abrakadabrze, ale z latami ludzie coraz mniej się na tym wyznawali i właściwie nie miał z kim rozmawiać. Przy swoim kawiarnianym stoliku (zajmował stale ten sam — respektowano to niepisane prawo) udzielał pożyczek na procent. Przewisko Harpagon znosił ze wzgardliwym uśmiechem.

Klientelę miał liczną, przychodzili do niego po prośbie, jak mawiał żartobliwie, rozmaici ludzie. Od złodzieja do hreczkosieja. Nie jest to wcale bez pokrycia: podwarszawscy ogrodnicy także korzystali z jego usług. Klientela Harpagona naprawdę stanowiła imponujący przekrój społeczny. Bo i urzędnicy z ministerstw, księgowi, którzy przehalali państwową gotówkę na dziwki, aktorzy ze skłonnością do hazardu, żony dygnitarzy wyposażające swych młodych kochanków, rodziny ludzi przebywających w więzieniu za przestępstwa gospodarcze. Słowem nobliwi obywatele o nieposzlakowanej reputacji i wyrzutki społeczeństwa z samego dna.

Tak sobie siedział przy stoliku ten stary człowiek, siwy, o czerstwej, czerwonej twarzy i skupionych, przenikliwych oczach, ubrany w staroświecki, granatowy garnitur w białe prążki, z bordową muszką pod brodą;

i i

drobnymi łykami popijał wystygłą kawę i czekał. Przychodził interesant. Nietrudno było go rozpoznać. Pewna nerwowość w zachowaniu. Spłoszone, niepewne spojrzenie. No i nadmierna gadatliwość.

Od razu zaczął mówić. Przeważnie szeptem. Wyznawał swoje kłopoty. Przeważnie w najczarniejszych, dramatycznych barwach. Naiwnie liczył na odruchy serca Harpagona. Prosił o wsparcie. Żarliwym głosem. Harpagon słuchał z nieprzeniknioną twarzą. Potem zadawał kilka krótkich pytań. Chwila namysłu. Coś zapisywał na bibułkowej serwetce. Podsuwał klientowi do wglądu. Zapoznawał go z warunkami pożyczki. Serwetkę darł na drobne strzępy. Nie pozostawiał żadnych śladów. Klient godził się lub próbował targu. Następnie wychodzili do toalety. Czasem na ulicę. Harpagon procent brał bezlitosny. Najlepsze były u niego krótkie terminy. Dłuższe dusiły wysokością narzutu. Całą kartotekę swych licznych klientów trzymał w pamięci. Nigdy niczego nie notował. Nie pozwalał sobie na taką lekkomyślność. Gdzie przechowywał pobierane od ludzi zastawy? Miały miejsce dwa włamania do jego domu i złodzieje nic nie znaleźli.

Był niewątpliwym fenomenem tamtych lat. Ostatni Mohikanin kapitalistycznych reguł gry. Jednoosobowy bank przecież. Bardzo potrzebny ludziom. Funkcjonował bowiem bez żadnych zakłóceń. Nie siedział, nie ciągali go po komisariatach, prokuratorach. Pracowitości niestrudzonej i żelaznego zdrowia. Latami na swoim posterunku przy kawiarnianym stoliku. Namiętności innych nie objawiał. Wódki nie lubił, nie palił, jadł skromnie, ubierał się równie skromnie i poza interesami był sympatycznym, rozmownym staruszkiem. Najchętniej rozprawiał o dawnej giełdzie. Natomiast należności swoje egzekwował bezwzględnie i niesłowni dłużnicy miewali z nim poważne kłopoty.

Dorywczo zatrudniał kilku osiłków z kryminalnego półświatka i oni to w razie konieczności zajmowali się ściąganiem należnych mu płatności. Na swym posterunku dotrwał do pamiętnego października 1956 roku. Wraz z innymi oklaskiwał Gomułkę na placu Defilad pod pałacem Stalina. W tymże roku nadziei i oczekiwań doznał udaru mózgu; sparaliżowany i niemy umarł po kilku tygodniach pobytu w szpitalu. Jeszcze przez dłuższy czas zaglądali do kawiarni na Widok interesanci, poszukując nie żyjącego już Harpagona. Nie wierzyli, że umarł. Wydawał się im nieśmiertelny.

40. BOKSERZY

Był taki dzień: nasi bokserzy triumfowali w mistrzostwach Europy — złoto, srebro i brąz. Bardzo utytułowani. Kukier, Stefaniuk, Kruża, Antkiewicz, Drogosz, Chychła, Pietrzykowski, Grzelak, Węgrzyniak. Przywieźli tyle kruszcu! Witaliśmy ich w Hali Mirowskiej. Zebrał się tłum i skandowaliśmy nazwiska bohaterów. Nieśli ich ludzie na rękach. Miasto kochało swoich bokserów. Była taka tradycja. Jeszcze z czasów przedwojennych, kiedy to Ran, Chmielewski, Forłański, Kolczyński, Rotholc byli ulubieńcami publiczności. Przetrwiała ta miłość do mistrzów pięści. Głośno komentowano ich siłę, technikę, przewagę, słabość i kibice rozpoznawszy na ulicy swego ulubieńca składali mu wierno- poddańcze hołdy, zapraszali na wódkę. Wojtek, magazynier domu meblowego na Nowogrodzkiej, trzymał zawsze w ukryciu dla swoich bokserów najlepsze tapczany, wersalki, komplety sypialniane i kuchenne, meblościanki i co tam jeszcze miał w tym sezonie. Przychodzili do jego królestwa w podziemiach magazynu, a on ich raczył trunkami. Szymura stary i zapity chadzał po szynkach, gdzie zbierała się stara Warszawa i czekał na darmowy poczęstunek. Co prawda nieubłaganie mijały lata i coraz mniej już był znany. Hala Mirowska stanowiła arenę walk naszych gladiatorów i waliły tam tłumy, racząc się gorzałą podczas walk i wyjąc do utraty tchu.

Był pewien bokser łysy, nazwiska nie pamiętam, weteran i publiczność wrzeszczała, zagrzewając do ataku jego przeciwnika: „Synu, lij ojca!”

Potężny chór tysięcy co najmniej głosów wzbijał się wysoko pod kopułę ogromnego budynku dawnych carskich koszar, stajni czy maneżu, zamienionych na siedzibę milicyjnego klubu sportowego „Gwardia”. A inny znów bokser padł ofiarą swego nazwiska. Nazywał się Skalka i pomysłowa widownia tak oto radziła jego przeciwnikowi: „Skalkę bij w pałę!” Świadczyło to w sposób oczywisty, że nie bardzo przejmowano się zasadami fair play. Podobną szczególną sympatię kibiców zyskał bokser spryciarz, który nie tylko walczył pięściami, ale i pluł.

Chłopcy w mieście w latach 60. marzyli o karierze wspaniałych pięściarzy i walki uliczne jako swoiste preludium cieszyły się dużym wzięciem. Na Powązkach, tam gdzie wychowywał się Stefan, uliczni debiutanci poczytywali sobie za punkt honoru staczać walki z prawdziwymi bokserami.

— Sposobem go wykotłowałem — przechwalał się potem taki zakapior. — Padł!

Leszek, kolega z rodzimego przedmieścia, przez kilka lat z zapalem uprawiał boks w klubie „Polonia”, osiągając pewne sukcesy. Często opowiadał o trenerze, który nigdy nie mógł trafić do właściwych drzwi, myśląc wyjściowe z tymi do toalety.

— Z powodu wielu nokautów — informował fachowo. — Poobtlukiwany mózg, rozumiesz?

Bokser to była nobilitacja. Sława, pieniądze, wyjazdy za granicę. Święta krowa! Zarówno władze jak zwykli ludzie dopieszczali go niewymownie. Dla władzy był reklamą jej sukcesów, dla ludzi zaś jednym z nich, tak się wybił. Kiedyś nosiłem teczkę z ważnymi dokumentami sławnemu bokserowi, mistrzowi i olimpijskiemu

medaliście. Rzecz działa się w nocnym lokalu Paradis. Bokser, fetowany hojnie i darzony względami dam, ocknął się wreszcie ze słodkiego zaczadzenia i wykrzyknął: — K..., zgubiłem teczkę!

Przypomniałem sobie opowieść Leszka o jego trenerze i uznałem, że naprawdę kiepsko u nich bywa z pamięcią.

Bywali chłopcy z miasta, którzy zaczynali jako utalentowani bokserzy. Często jednak porzucali mózół treningów, wyłącznie już korzystając ze zdobytych umiejętności w ulicznych bijatykach. Nazywano ich brukowymi piąstkarzami i niektórzy z nich mieli rzeczywiście piorun w łapach. Globus, Młotek, Atom — nazwany tak od błyskawicznego ciosu, wprowadzającego przeciwnika w nicość. W latach 70. już raczej prowincja, wieś dostarczały jeszcze przyszłych mistrzów pięści.

A ci legendarni, utytułowani mistrzowie, odchodząc z ringu często nie potrafili się w innym życiu odnaleźć. Popijali i wspominali. Jeden z nich, bardzo niegdyś popularny, odwiedzał do późnych lat 70. magazyniera Wojtka i przeklinał swoje sobacze życie. Później boks podupadł i nasi zawodnicy przestali błyszczeć na ringach Europy. Młodzi ludzie nie garną się już do tej dyscypliny sportu. Praktyczni, trzeźwi realiści — mało widzą w tym dla siebie perspektyw. Przynajmniej jak dotychczas.

41. JAK PTASZEK GNIAZDKO WIJE..

Nie wszystkie zawody mają zapewnioną emeryturę. W takim przypadku należy samemu myśleć o przyszłości. Zapobiegliwość wiąże się z dojrzałością, wygasaniem bez troski młodych lat. Ona była przedstawicielką jednego z najstarszych zawodów świata. Tak się mówi. Koryntianka. Tak powiadał pewien mój znajomy.

Z powodzeniem szalała jeszcze w przedwojennych nocnych lokalach i za okupacji była damą liczącą się w tym światku. Nieuchronne obsuwanie zaczęło następować wraz z latami i zmianą rzeczywistości. Burdele zlikwidowano, profesjonalistki uprawiały swoje zajęcia w sposób półlegalny, zakamuflowany. Ale jeszcze tu i tam widywało się ją w akcji. Figura zgarbna, noga długa, kawaleryjska, jak mówili dawni koneserzy, pięknie toczona łydka, cienka w pęcinie, stopa z wysokim podbiciem. Tylko twarz traciła jędrną świeżość, przywiedła, fałdy i zmarszczki zaczęły gromadzić się pod podbródkiem i takim charakterystycznym, nerwowym ruchem podnosiła głowę i długo gładziła szyję. Czula ten cholerny czas! Widoki przed nią roztaczały się ponure. Te nieszczęsne widma, wymalowane jaskrawo, chude jak kościotrupy lub tłuste, przelewające się beki, które proponowały swe wdzięki-niewdzięki klientom. Kogo one mogły mieć? Najwyżej ślepych od gorzały,

półprzytomnych pijaczków. Nie mówiąc już o wenerii. Pamiętała doskonale dawne dziewczyny, te sprzed wojny, które leczyły się w szpitalu św. Łazarza przy Książęczej. One to zjawiając się po długiej nieobecności w mieście, wyjaśniały ze wstydliwym uśmiechem, że były „plac Trzech Krzyży, trochę niżej...” Co tam sięgać do pradziejów! Wystarczyło popatrzeć na te, co wysiadywały na dworcu. Cuchnące, zapijaczone stwory ani ludzkie, ani zwierzęce. Padały jak muchy. W śmietnikach, bramach, piwnicach. Wizja takiego upadku musiała być przejmująca. Gdzie tu szansa na utrzymanie jakiejś kobiecości, elegancji, resztek kobiecego wdzięku. Kto zechce pomóc tak nisko upadłej istocie. Nawet mogła na doczesne szczątki nie jest pewna. Bezimienny dół. Podjęła zajęcie. Może pierwszą w życiu pracę. Zatrudniła się jako szatniarka w nowo otwartej kawiarni na MDM-ie, który miał być w zamiarach socjalistycznych wizjonerów wzorcową architekturą powstającego z gruzów miasta i płaskorzeźby mocarnych robotnic, robotników o surowych, nieskazitelnym moralnie obliczach, z narzędziami pracy w dłoniach zdobiły frontony gmachów.

Ale życie ma swoje odwieczne prawa i do kawiarni szybko zaczęły sięgać męty z całego miasta. Ze względu na burdy w szatni długo się tam nie utrzymała, potrzebny był silny mężczyzna, przeniosła się na dół do toalety. Nie brakowało tu lekkich dziewczyn i one w jej toalecie miały miejsce odpoczynku, garderobę, gogo- walnię, żeby tak powiedzieć, kto jak kto, ale ona umiała się z nimi porozumieć. Bardzo lubiła ten udział z dystansu w tak dobrze znanym życiu. Chichoty dziewcząt, opowieści o klientach. Dziewczyny szanowały ją i radziły się w różnych kłopotach. Wspecjalizowała się w zawodzie babki klozetowej. Miasto tak nazywało panie urzędujące w tych przybytkach bez względu na wiek. Rygory socjalizmu nieco zelżały i można było rozmaite lokale użyteczności publicznej brać w tak zwaną ajencję od władz miejskich za pewną opłatą. Ona wzięła w ajencję przestronny szalet w podziemiach gmachu pod arkadami w Śródmieściu. Przybytek ów znajdował się w stanie zapuszczenia i dewastacji. Muszle brudne, posadzka wiecznie zalana, a jej siedziba wyglądała jak nora. Wnętrze to uległo w niedługim czasie radykalnej przemianie. Stało się schludnym pomieszczeniem o odmalowanych ścianach i zadbanym, dobrze funkcjonującym urządzeniach sanitarnych. Na brak klientów nie mogła narzekać, toaleta bowiem znajdowała się przy pryncypalnej ulicy i gnani ciśnieniem pęcherza i żołądka przechodnie zachodzili tu nieprzerwanym korowodem. Będąc osobą wszechstronnie doświadczoną dawała sobie łatwo radę z różnymi pijakami i awanturnikami, dbając o spokój i porządek w swoim lokalu. Miała już stałych klientów, którzy tytułowali ją panią kierowniczką i wymieniali towarzyskie uwagi na różne tematy. Nie próżnowała i robiła na drutach kolorowe szale i kamizelki. Czytywała też stare, przedwojenne romanse, rozsypujące się i zaczytane przez wiernych czytelników książki „Roju” i innych dawnych wydawnictw. W dzień kobiet dostawała goździki od wielbicieli. A wkrótce zaczęto widywać przy niej nobliwego, starszego pana o farbowanych na kruka włosach, przy- lizanych w dawnym stylu brylantyną. Bardzo czuły i zalotny. Nadszakiwał swojej damie. Ona rozkwitała w ciepłe jego zalotów. Poprawiała kunsztownie trefione loczki nad czołem, sprawdzała makijaż w lusterku. Stary, nobliwy nicpoń już był codziennie i tak sobie siedzieli na miękkich krzeselkach w jej gustownie urządzonej kancorku, z zagranicznym kalendarzem na ścianie, pełnym obnażonych dziewcząt na plażach i pod palmami, ze wzorzystymi kotarkami zasłaniającymi

okienka i kaktusem w doniczce na półce. Podgrzewała obiad w rondelkach na elektrycznej maszynie, parzyła kawę, a nawet wypijali po łyżeczce ze zgrabnych, rżniętych kieliszków ze złotymi obwódkami. Kantorek usytuowany był między strefą damską a męską toaletą.

I tak patrząc na tych dwoje siedzących naprzeciw siebie przy stoliku przykrytym czystym obrusikiem z frędzelkami, mimo woli przywoływało się słowa dawno zapomnianej piosenki — „I jak ptaszek gniazdko wije, tak i my będziemy wić...”

Nowe czasy wysokich czynszów i bezwzględnej konkurencji nie zakłóciły stabilności tej ostoi w podziemiach gmachu pod arkadami. Ona nadal króluje w toalecie. Bardzo wiekowa, wciąż jednak zadbana i zalotna. I tak jak dawniej widzieć można przy niej starszego, nobliwego pana. Czy tamten, czy następny adonis. Delikatnie szemrze miła dla ucha muzyka z radia. Siedzą przy stoliku i popijają kawę ze szklanek w metalowych koszyczkach. Widok optymistyczny. Zaczęła nosić okulary, co przydało jej intelektualnej głębi i jak przechodzisz obok okienka, płacąc z góry, bo taki rozsądnie wprowadziła obowiązek, to nie myśl sobie, że tam siedzi byle kto, jakaś byle jaka babcia klozetowa. O, nie!

42. KOLA

Był człowiekiem małomównym i siedząc przeszło rok w pojedynce tylko w chwilach najczarniejszej rozpaczki stukał drewniakiem w ścianę celi sąsiada, podchodził do okratowanego okienka z blindą zasłaniającą niebo i mówił przeciągle: „Ot, job twoju mać!...” Tylko te kilka słów, nigdy więcej. Suchy jak szczapa, żylasty, o szarej twarzy z wklęsłym, zmiażdżonym nosem. W więziennej łaźni zadziwił swoim tatuażem. Całe ciało od połowy szyi do połowy pośladków miał pokryte wytatuowaną pasiastą koszulką marynarską. Monotonny, pracowity szlak niebieskich pasów zajmujący połowę ciała, przykuwał uwagę młodych więźniów. Tylko nogi pozostały polem dla inwencji i fantazji mistrzów igły i tuszu. Ozdabiały je podobizny obnażonych kobiet, zwierząt z przewagą gadów i napisy po rosyjsku, przeważnie przekleństwa i zaklęcia.

„Ja z Odessy.” — wyjaśniał Kola powód powstania pasiastej koszulki. „Tam Czornoje Morie i czornomor- skij flot”.

Mówił niezłe po polsku, choć wtrącał dużo ruskich powiedzonek, poszczególnych słów i głos miał zaciąg- liwy.

Mało co mogło go zadziwić i okrutne harce pod celą, takie jak sąd nad kapusiem, obrabianie cwela czy walki konkurujących o prymat wyrokowców, traktował

jako wesołe igraszki i w porównaniu z tym, co opowiadał o swoich doświadczeniach, to rzeczywiście były wesołe igraszki.

Przed wojną byli u nas Biali Rosjanie. Dęba dali po rewolucji, przedzierali się z narażeniem życia przez granicę lub pozostali w Warszawie od czasów carskiego zaboru. Kola był przybyszem z ZSRR, rosyjskim złodziejem, jak mówi się u nich i przyszedł do nas w szeregach Armii Czerwonej. Opowiadał o sobie skąpo, lecz wystarczająco, żeby dowiedzieć się o bogactwie jego przeżyć. Ojciec bardzo wcześnie porzucił matkę i zniknął gdzieś na bezkresnych obszarach imperium. Matka była robotnicą na taśmociągu w kopalni i Kola jako siedmioletni chłopak rozpoczął termin w złodziejskim fachu. Poznał swój kraj od Moskwy, Kijowa, Odessy po daleką syberyjską północ. Tam siedział kilka razy w ponurym świetle gułagu i z ostatniego długiego wyroku wybawiło go powołanie do karnych batalionów sowieckiej armii, formacji powstałych z kryminalnych łagierników, którym dano wspaniałomyślnie szansę rehabilitacji. Przeznaczeni oni byli na mięso armatnie na pierwszą linię do najtrudniejszych zadań. Za nimi szli enkawudziści i uciekinierom strzelali w łeb. Mogli posuwać się tylko naprzód. Masowo ginęli. Kola szczęśliwie przeżył niejedno frontowe piekło i w zwycięskiej ofensywie Armii Czerwonej dotarł na ziemię polskie do Białegostoku. Nie wyjaśnioną ostatecznie zagadką pozostał sposób, w jaki zdobył polskie dokumenty — „białka” jak mówi się w języku przestępców. W każdym razie zdezerterował i przeistoczył się w Polaka. Według jego wersji został skierowany do fałszerza, mistrza swego fachu, który podrobił mu dowód na nazwisko nieżyjącego repatrianta z ziem wschodnich, utraconych po wojnie przez Polskę.

Patrząc w niebieskie niczym niezglębiona toń oczy Koli i przenosząc wzrok na jego silne jak cęgi palce porośnięte rudymi włoskami, łatwo można było sobie wyobrazić inny wariant zmiany obywatelstwa. W kręgach bliskich Koli ta druga wersja była przyjmowana jako bardziej prawdopodobna. (Mógł przecież palnąć w łeb któregoś z naszych rodaków i zabrać mu dokumenty?) Tam u nich życie nie miało wysokiej ceny. Kola został legalnym obywatelem naszego państwa.

Był dobrym włamywaczem i rzadko zdarzały mu się wpadki i odsiadki, które znosił ze stoickim spokojem, chwając sobie polskie więziennictwo w porównaniu z sowieckim systemem penitencjarnym znanym mu doskonale. Forsę ze skoków puszczał w pełnych fantazji hulankach, bawiąc się z kilkoma kobietami naraz. Usposobienie miał zmienne i z błahych powodów ogarniała go furia. Wtedy stawał się niebezpieczny. Mógł zarżnąć, zakatować na śmierć. Furia mijała nagle, jak przyszła, Kola stawał się na powrót łagodny jak baranek, wylewna i pocziwa słowiańska dusza. Hulał zawsze do ostatniego grosza, a potem znów rozglądał się za współnikami i jakąś intratną robótką. Mieszkał na rubieżach Pragi, na ulicy Zachariasza, na tyłach Kawęczyńskiej za bazyliką. Tam naprawdę diabeł mówił dobranoc. Żeńska i męska społeczność tej zakazanej dzielnicy bardzo go szanowała i w jego po spartańsku urządzonej, kawalerskim mieszkaniu pijało się gościnną wódkę i słuchało w jego wykonaniu bogatego repertuaru pieśni żołniersko-złodziejskich, z których najchętniej wyśpiewywał: „Pierwoj budiem diełać samolio- ty, a diewuszki patom...”, słynne czastuszki, pełne dosadnych powiedzonek i rzewną piosenkę o Odessie, gdzie powtarzał się refren „Odessa, oczeń charaszaja”.

Ziemia ojczysta, choćby była najgorszą, wyrodną matką, ma taką właściwość, że pamięć o niej nigdy nie

wygasa, siedzi głęboko w trzewiach, wierci, boruje. Kolę też łapała bolesna tęsknota za ojczyzną.

Raz spotkaliśmy się pod wiaduktem na Targowej i był jakiś nieswój. Wypiliśmy po wódce Pod Żółwiem. Długo łaziliśmy po parku. Doszliśmy aż nad jezioro Kamionkowskie. Kola kucnął na brzegu i puszczał na wodę kaczki — kamyki. Sunęły i odbijały się po powierzchni. Miętko plaskały na wodzie. Zaczął wspominać Matuszkę Rosję. Mówił, że tam lasy po horyzont i jeszcze dalej. Woda taka sama, płyniesz, płyniesz i końca nie widać. A góry, zadrzesz głowę i szczytów nie zobaczysz...

Popatrzył na wąski pasek wody jeziora. „Ot, job twoju mać!” — powiedział. Chyba w tej chwili nasz kraj musiał wydać mu się cholernie ciasną, więzienną izolatką.

43. PORTIERZY, SZATNIARZE, KELNERZY

W nocnej Kameralnej najważniejszą personą był portier. Bramkarz, jak się później mówiło. Pełnił tam wartość osobnik w sile wieku, o łysej, wypolerowanej głowie i profilu rzymskiego senatora. Stanowił pierwszą przeszkodę. Był kapryśny. Niekoniecznie odpowiedni banknot powodował otwarcie wrót tego Hadesu nocnych uciech. Mógł nie zagustować w twarzy petenta i to już wystarczyło. Spozierał przez uchylone drzwi, opatrzone solidnym łańcuchem i raz tak sondując fizjonomię pewnego gościa o czole nisko zarosłym czarnym włosem, stwierdził ze wzgardliwym parsknięciem: „0, małpa!” I nie pomogły żadne perswazje, zakłęcia. Nie wpuścił. Wiedzę o ludziach uzbierał bogatą i wiele sekretów znanych osobistości nie było mu obcych. Choćby — kto z kim i za ile. Chętnie słuchał zwierzeń. Sam pozostawał hermetyczny, niedostępny i nic o nim nie było wiadomo. Jedni mówili, że to eksfunkcjonariusz wysokiej rangi w bezpieczeństwie. Drudzy, że bankrut z dawnej epoki. Wraz z likwidacją nocnej Kameralnej, przeistoczony obecnie w bank, rozplynął się w niebycie. Po prostu zniknął i można przypuszczać, że jego istnienie było wyłącznie związane z tym sławetnym lokalem. Zapamiętałem jedno jego powiedzenie, którym chętnie szafował: „Za pieniądze lud się podli, a ksiądz modli”.

Następnym filarem w strukturze gastronomii był szatniarz. Rozmaici bywali szatniarze. W Kameralnej dziennej urzędowało dwóch aniołów. Pan Julek i pan Piotruś. Obaj mali, niebywale szybcy w ruchach, o pogodnych, życzliwych obliczach. Bardzo opiekuńczy. Pomagali w różnych kłopotach. Spełniali rolę gwarantów bezpieczeństwa gości. Często wykazywali się bezinteresowną sympatią. Kiedyś Zygmunt W. został w porę ostrzeżony o nadejściu wierzyciela. Innym razem gość „na wystawce” (ukrywał się przed organami) został w ostatnim momencie uprzedzony o obecności tajników w restauracji. Potrafili także jako świetni fachowcy szczególnie awanturniczych osobników umiejętnie spławić, posługując się groźbą i rozmaitymi podstępami. Obaj pobudowali sobie domki na trasie do Wołominy i zapraszali tam najbardziej zaprzyjaźnionych gości. Cóż to były za przyjęcia!

W Kamieniołomach, czyli w nocnym lokalu Hotelu Europejskiego, za marmurowym kontuarem szatni siedział pan Henryk, zwalisty jak szafa, o szerokim chłopskim obliczu i jasnym wejrzeniu. Stałym bywalcom, których darzył sympatią, pożyczał znaczne sumy pieniędzy bez żadnej gwarancji, nie mówiąc już o takich drobiazgach jak przyszywanie wieszaków czy oberwanych guzików do płaszcza. Pan Henryk w ogóle lubił szyć, łątać. Natura medytacyjna raczej. Wyznał kiedyś, że oczywiście musi składać meldunki wiadomym służbom. Taki los szatniarza. Ale jak to czyni, jest wyłącznie domeną jego inwencji. Piszącemu te słowa znanych jest kilka chlubnych zachowań pana Henryka i tą drogą wyraża mu uznanie. Bywali szatniarze ohydni, nieżyczliwi, wręcz nienawistni. Drenowali niemiłosiernie ceny papierosów lub udzielali pożyczek na gigantycznie wysoki procent. Niektórzy stwarzali wrażenie, jakby byli za ladą przypadkowo, na chwilę. Inni jeszcze dawali do zrozumienia, że to zwykły kamuflaż, w istocie bowiem co innego czynią. Szczególnie w lokalach wyższej kategorii dużo było pracowników tajnych służb. Albo jeszcze czynni. Albo renciści, dożywotnio związani z macierzystą instytucją. Oczywiście mówiono o takich, sugerując redukcję ludzkich cech wyższych w owych przypadkach. Ale w tym świecie uciech i trunków niewątpliwie najważniejszy był kelner. Szafarz, opiekun, doradca, spowiednik, druh. Lub gad, truciciel, oszust, słowem taki, co skrycie pluje gościowi w talerz i życzy mu najgorszego. Przykładami zilustrujemy te krańcowe postawy. W Przechodnim na Mokotowskiej pewien kelner w podeszłym już wieku był tak dbały, że rozpoznając kaca na obliczu gościa, od razu dysponował dla niego żurek lub barszcz. Nakazywał po ojcowsku namaścić żołądek zupą, a potem dopiero wypić.

W niektórych knajpach na Pradze, szczególnie w pobliżu bazaru, kelnerzy wyłącznie trudnili się paserstwem i donosicielstwem. Umiejętności w zakresie swego fachu mieli minimalne i nikomu to nie przeszkadzało. Na Krowiej ulicy, gdzie niegdyś znajdowała się rzeźnia, znaleziono kelnera okrutnie zadżganego. Komentarzy było wiele, poczynając od dintojry na kapusiu do kary za uchylanie się od paserskich zobowiązań płatniczych. Nie podążajmy jednak przesadnie na manowce dewiacji zawodowej. Przywracać należy jasne strony tego minionego świata „sztucznych rajów”. Pokrzepiać serca, a nie boleśnie ranić. W Smakoszu kelnerki widząc gości wydłubujących z kieszeni ostatnie grosze na wódkę, podawały im bezinteresownie na popitkę oranżadę. Niektóre zaś, bardziej złośliwe, powiadały słodko: «A do wódeczki na zakąseczkę „woda pompejańska”, prawda?» Tak nazywały zwykłą, chlorowaną kranówkę! I miały w sobie tyle kobiecego, opiekuńczego ciepła.

W Kameralnej kelnerzy doradzali na początek najlepsze zakąski, sporządzali umiejętnie zestawy potraw, wykazując znajomość rozmaitych schorzeń gości, przeważnie wątrobowych i wrzodowych. Sami czasem stawiali bywalcom, dotkniętym brakiem mamony, po jednym głębszym na rozproszenie przygnębienia. Pan Zegarek, kelner zawołany, o wyglądzie starego kocura z wierszy Eliota, bardzo rozgrzewał się tematem wyścigowym i słysząc rozmowę o konikach na torze, przysiadł się do stolika. Zapominał o swoim służbowym statusie, bezwiednie nalewał sobie kieliszek z butelki. Pograżając się już bez odwrotu w hazardowym wątku stawiał następną butelkę: na czas marzeń o wielkiej wygranej przestawał być kelnerem. Bywali kelnerzy, którzy lubili gawędzić i wspominać przeszłość. Jeden, pracując przed wojną w tym fachu, widywał Tetmajera, ponurego starca w pelerynie, który pił samotnie i z nikim nie rozmawiał. Nieobcy mu był Franc Fiszer, legendarny smakosz i filozof przy biesiadnym stole. Inny rysował na bibułkowych serwetkach karykatury dawnych bywalców Adrii: Wieniawę, Tuwima, Uniłowskiego. Byli to więc ludzie, którzy oprócz biegłości zawodowej zajmowali się jeszcze czymś bezinteresownym, niejako tylko dla ducha. Pamiętam kierownika restauracji, podobnego ludzako do gwiazdora Hollywood Johna Barrymore'a. Uwielbiał rozprawić o niemym kinie i braciach Mara. Wiedzę w tym przedmiocie posiadał imponującą.

Styl i obyczaj wśród arystokracji kelnerskiej panował przedwojenny. Tak to trwało do wczesnych lat 70. Żeby nie popadać w zbytnią apoteozę przeszłości, należy zaznaczyć, iż zdarzali się w tej profesji osobnicy przypadkowi. Jednego tytułowano majorem. P^o 1956 roku pewna grupa zwolnionych funkcjonariuszy MBP zasiliła gastronomię. Major czy kapitan uległ

zdrowym wpływom profesji i stał się świetnym kelnerem.

Siłę motoryczną stanowiła stara kadra. Oni nadawali ton i Janusz, młody człowiek z Woli, który wśród nich zaczynał od ucznia, przyjął wszystkie dawne cnoty, minimalnie tylko przybrudzone PRL-em. Przedwcześnie dojrzały, uroczysty celebrant swego zawodu. Najżywiej przechowuję w pamięci Józefa, kelnera o ochryłym głosie; był uczniem mego ojca przed wojną i wychwalał jego zalety.

— Pański tatuś nie pijał w ogóle wódki — mówił z sentymentem i wypijaliśmy po lufie za utracone dzieciństwo, młodość.

Stare lokale zamykano. Starzy kelnerzy przenosili się do wieczności lub odchodzili na zasłużony odpoczynek. Ostatni z nich pokazuje się z rzadka tu i ówdzie. Jeden człapie po Łazienkach. Inny dorabia na dyplomatycznych rautach. Józef, uczeń mego ojca, wyjechał do córki na antypody, aż do Australii. Miał ambitne zamiary. Pragnął tam założyć restaurację: specjalność — polskie potrawy i czysta wódka. Australia mu nie służyła. Gorzkniał, gasł. Wrócił po roku i umarł na serce. Czy oni, ci mistrzowie, przekazali coś swoim następcom? Patrzę na beczelnych, sztucznie ugrzeczniczonych, a tak prostackich i pazernych kelnerów w wykwinnych knajpach obecnej Warszawy i myślę, że nie ma żadnej ciągłości i następstwa pokoleń. Ci nowi są znikąd. Dzieci PRL-u. Sztuczne kwiaty na ziemi zdewastowanej i brzydkiej.

44. KADŁUBKI, KULASY

Miasto pełne było kalek. W przewadze mężczyzn. Ci z pustymi rękawami, jednoręczni nie liczyli się wcale w tej gildii. Najwięcej było kulasów. Skrzypiały protezy, sterczały kikuty z podwiązanymi nogawkami spodni, wspierali się na kulach. Mężczyzna bez nogi, mimo swego kalectwa, był przeważnie osobnikiem bardzo przebojowym. Potrafił dominować. Handel na wózkach w Śródmieściu trzymał w żelaznej garści Józef Kulas. Na bazarze Różyckiego rej wodził Leszek Kulas. Poruszali się wolno, powłócząc sztucznymi kończynami. Najchętniej siadywali na skrzynkach po piwie, murkach i tak siedząc prowadzili swoje interesy. Nie było taryfy ulgowej dla niepełnosprawnych i autorytet kulasów opierał się na sile i sprycie. Utrata nogi przy wrodzonej energii i innych przymiotach charakteru jeszcze bardziej hartowała takich osobników. Przeważnie padali ofiarą własnej brawury i odwagi. Okradali kolejowe transporty podczas okupacji i po wyzwoleniu. W tym procederze ryzyko kalectwa było bardzo duże.

Zaraz po wojnie na ulicach miasta pojawiali się dosyć często osobnicy pozbawieni kończyn górnych i dolnych w ogóle. Kadłubki na niskich, drewnianych postumentach wyściełanych kocem lub poduszką. Żebrali, ustawieni w ruchliwych punktach miasta. Posiadali umieszczoną na widoku tekturkę z wypisaną w formacją, iż są ofiarami wojny i często na wysokości ust przymocowane za pomocą drutu organki, na których wygrywali smutne melodyjki. Do takich kadłubków przychodziły o pewnych porach kobiety — opiekunki i karmiły ich, poiły. Pod wieczór ładowały swoich podopiecznych na wózki i odwoziły gdzieś. Przeważnie nie grzeszyły urodą, miały wygląd emerytowanych prostytutek.

Kiedyś obserwowałem jedną z nich. Otóż nim prze-taszczyła mężczyznę bez kończyn do inwalidzkiego wózka, przede wszystkim zajęła się chciwie przeliczaniem jego żebraczego utargu. Można było przypuszczać, że tych dwoje łączył związek bardziej pragmatyczny niż uczuciowy. Z biegiem lat kadłubków było coraz mniej. Wymierali. Natomiast nadal na handlowych placach czy w zachowanych enklawach dawnej zabudowy egzystowali inwalidzi bez nóg. W swoich wózkach, które wprawiali w ruch, obracając koła silnymi, muskularnymi rękoma, trzymali zapasy wódki na sprzedaż. Spełniali rolę permanentnego pogotowia, co stanowiło niezłe źródło utrzymania, gdyż w mieście tamtych czasów obowiązywały uciążliwe zakazy handlu alkoholem.

Na Mokotowskiej, w jednej z bram, długo wegetował beznogi mężczyzna o brutalnej, twardej twarzy jak wyciosanej z kamienia. Nazywał się Przybysz. Cieszył się znacznym autorytetem wśród opryszków, sutenerów i dziwek. Był to znany niegdyś złodziej, którego choroba Burgera pozbawiła nóg. Handlował wódką. Służył także radą i doświadczeniem młodym złodziejom. Pełnił funkcję magazyniera lewego towaru. W zakamarkach i przemyślnych schowkach swego inwalidzkiego wózka przechowywał różne „fanty” z kradzieży. Towarzyszył mu mały, kudłaty kundelek o urodzie zbliżonej do szpica. Przybysz często upijał się wściekle, ryczał jak zarzy

nane zwierzę i jeżeli ktoś znalazł się w zasięgu jego mocnych rąk, chwycił go za włosy i tłukł bez opamiętania. Pieska nigdy nie uderzył i kiedy był sam, coś do niego czule szeptał. Puchaty kundelek stawał na dwóch łapkach i wiernie wpatrywał się w swego pana. Przybysz zniknął w późnych latach 70.

Legendą mojego podwarszawskiego miasteczka był najstarszy z trzech braci Widłaków, śmiały, okupacyjny ryzykant. Mistrz „kity”, czyli zdobywania węgla z kolejowych transportów. Uciekając przed ban- szucami po dachach wagonów pędzącego pociągu, skoczył i stracił obydwie nogi powyżej kolan. Lecz się nie poddał. Nie chciał jeździć inwalidzkim wózkiem. Ile męki, hartu i uporu kosztowało go opanowanie sztuki chodzenia na dwóch protezach! Padał, ból rozrywał mu pokrwawione kikuty. Jednak nie ustępował. Zaciekle ponawiał próby. Wreszcie po długich miesiącach męczeńskich ćwiczeń pojawił się pod knajpą Dziadka na dwóch szeroko rozstawionych, skrzypiących nogach. Pleczysty, mocarny, o zawziętej twarzy niepokonanego kozaka miasta.

To był nasz Meresjew, bohater popularnej w PRL-u książki sowieckiego pisarza Borysa Polewoja pod tytułem Opowieść o prawdziwym człowieku.

Naszemu Meresjewowi poświęcam tekst o tych wszystkich, którzy mimo kalectwa nie poddali się bezsilności i żyli dalej tak, jak żyć chcieli.

45. DROGA

Był brutalny i bezwzględny. Sprawiał wrażenie zapaśnika. Mocna, nadmiernie rozwinięta szczeka, wklęsłe czoło i spłaszczony nos. Głowę pochylał do przodu, kołysał przydługimi, małpimi rękoma i małe oczka błyszczały zacierzeniem i agresją. Tak bardzo wygląd nie pasował do jego zajęcia. Grał na skrzypcach. Jeszcze w orkiestrze ojca, który wyuczył go muzycznego zawodu. Ojciec ze swoim zespołem przed wojną grywał w knajpach. Umarł zaraz po okupacji. Przejął po nim orkiestrę i dalej prowadzili działalność rozrywkową. Zespół był raczej podrzędny i przyjmowały ich restauracje niższej kategorii. Dorabiali na weselach, chrzcinach, imieninach.

„Jedziemy w trasę”, powiadał i zacierał ręce. Znaczyło to, że wybierają się w objazd prowincji. W przerwach między zajęciami odpoczynek stanowiły wódka i dziewczyny. Mieszkał w wielkiej, ponurej kamienicy na rogu Marszałkowskiej i Alei. Zagracone, brudne mieszkanie. Na stole zawsze pełno pozostałości po libacjach: rybne ości, zaskorupiałe talerze, puszki po konserwach i mnóstwo pustych butelek. Tym było wypełnione jego życie. Cały czas kipiał witalizmem nienasyconego zwierzęcia. Więcej pieniędzy, więcej dziewczyn, więcej gorzały.

W przerwach między tymi czynnościami pochłaniał

ogromne porcje golonki, schabowych, flaków. Podobno skrzypkiem był niezłym. Opanował od Cyganów sztukę wygrywania węgierskich, rzewnych melodii. To stanowiło kontrast. Skrzypce, delikatny instrument dla cudownych wirtuozów i jego bydlęca uroda, bydlęce życie. Nie był lubiany w kręgach klezmerów. Żadnej w nim lojalności ani koleżeństwa.

— Buldog — mówili muzykanci, zbierający się w Polonii i Małym Spatifie na Pankiewicza w oczekiwaniu na propozycje.

Potrafił bić się niezłe. Nie bał się nikogo i atakował jak wściekły byk naprawdę.

A jak traktował kobiety? Wyłącznie materacowo. Gdzieś w dalszym planie jego życia mającyla żona z dzieckiem. Porzucił ją i dawał jakieś ochłapy na utrzymanie dziecka.

Przed wszystkim gustował w orgiach z dziwkami. Niektóre lubiły go perwersyjnie, choć w pijackim amoku katował je bez pardonu. Zajmował się przy okazji pokątnym pośrednictwem w sprzedaży złota i dolarów. Od doliniarzy brał również kradzione zegarki, czyli „sikory” i sprzedawał na prowincji. Słynął z nieuczciwości.

„Przewala na chama!”, tak się o nim mówiło. Zdawać się mogło, że w tym monolitycznym żywocie bydlaka nie ma miejsca na słabości czy rozterki. Bryła bez szczeliny. Trudno więc zrozumieć powód jego upadku. Podobno został strasznie skatowany przez wierzycieli. Wstrząs mózgu, połamali go — długi pobyt w szpitalu. Taka hipoteza. Upatrywano także przyczyny w solidarności innych muzyków. Postanowili go zniszczyć.

W każdym razie jego orkiestra rozpadła się i sam już grywał na skrzypcach. Przez jakiś czas w najgorszych, zaplutyh spelunkach. Później na ulicy. Widywano go też w pociągach. Coś niedbale rzępolił i wrzucano mu drobniaki w czapkę. Kobiety pokazywały się przy nim coraz mamiejsze. Nieustannie osuwał się w dół. Może zresztą nie było to osuwanie. Redukcja potrzeb. Rosnące zubożenie. Opowiadano, że stał się łagodny i pokorny.

„Zdziecinniał.” — mówili niektórzy. „Wczesna skleroza od nadmiaru alkoholu i tłuszczu.”

Można mu było dać kopa, trzasnąć w dziób! Wcale nie oddawał.

Lecz istniał. Lata mijały i nadal snuł się po mieście. Lubił dworce. Tam sypiał. Wyjadał resztki z talerzy w bufetach. Penetrował śmietniki. Zbierał butelki, makulaturę. Nie pił nadmiernie. Jak wszyscy śmieciarze krzepił się denaturatem. Skrzypki poszły w niepamięć. Sprzedał? Ukradli? Stał się typowym włóczęgą. Kudłaty, brudny. Milczek inaczej. Monosylaby, bełkot, pomruki. Człapał coraz wolniej, stopy owijał workami, plastikowymi płachtami i tak snuł się ulicami miasta.

Dziś zobaczyłem go w Śródmieściu. Trzymał się jednak swojej dzielnicy. Siedział na murku w pobliżu amerykańskiego baru szybkiego jedzenia McDonald's. Te ogromne stopy jak łodzie rozstawił szeroko, między nimi spoczywał jego dziadowski worek z dobytkiem. Twarz miał pod same oczy zarośniętą poskręcany, si- wozarym włosom, w bruzdach czoła czarne smugi brudu. Dłonie sine i spuchnięte wsparł na kolanach i kołysał się lekko. Oczy przymknięte, nieruchoma twarz bez żadnego wyrazu. Odpoczywa? Śni? Zaśnie na zawsze? Wkrótce ruszy dalej? Żadnej nie można było znaleźć w nim odpowiedzi.

46. TAJEMNICZY BYWALEC

Zacząłem spotykać go we wczesnych latach 50. Rankami pojawiał się w kawiarni hotelu Polonia jako jeden z pierwszych gości i od razu z wypchanej teki wyciągał i rozkładał na stoliku książki, gazety, pliki papierów, bruliony. Nałożywszy grube okulary zaczynał czytać, coraz podkreślał ołówkiem poszczególne słowo, zdanie, zaginał rogi, odkładał książkę; zabierał się do gazet, żeby nagle i pospiesznie coś zanotować w brulionie lub wsunąć zapisaną karteczkę pomiędzy stronice odłożonej przed chwilą książki. Zamyślał się, gryzł ołówek, wicherzył włosy, popijał łyk wystygłej kawy i znów czytał, pisał. W miarę napływu gości jego stolik przypominał wysepkę spokoju i pracy w chaosie i tumultach. Wrzaski i pijackie burdy wcale mu nie przeszkadzały. Unosił głowę znad papierów i obojętnie patrzył na kłębiący się wokół tłumek. Zdobył sobie godną podziwu suwerenność. Nikt go nie wyśmiewał ani nie zaczepiał.

Był niezależny i nie drażnił swą odrębnością. Umiał nie zwracać na siebie uwagi. Można go było zobaczyć również w Dziku, Klubowej czy Pod Niedźwiedziem. W knajpianym tłoku potrafił wygospodarować sobie własną przestrzeń i czytał, wertował książki, gazety, żeby nagle zapisać coś; jakby spadało na niego natchnienie i ono kierowało jego piórem. Zamawiał kieliszek wódki, najwyżej dwa i sączył alkohol bez smaku i bez wstrętu, zupełnie obojętnie. Nigdy nie widziałem go z kimkolwiek. Ani z mężczyzną, ani z kobietą. Zawsze samotny. Obwarowany papierami i książkami. Naprawdę oryginał. Spotykałem go nie tylko za dnia. Kiedyś w Stolicy, było to apogeum nocnej swawoli — rozejrzałem się po sali i ze zdumieniem dostrzegłem charakterystyczną postać pochyloną nad stolikiem. Orkiestra grzmiała, śpiewaczka wyła do mikrofonu, pijani brali się za łby przy barze, a on, tajemniczy bywalec najspokojniej czytał książkę, nic mu nie przeszkadzało i na nic nie zwracał uwagi.

Dopytywałem się o niego u rozmaitych hulaków, stręczycieli, kelnerów, portierów. Właściwie nikt nie potrafił udzielić żadnych informacji. „Taki tam — odpowiadano zdawkowo — łązi tu i tam. Siedzi sobie, w papierach grzebie. Nieszkodliwy.”

Czy był to uczony, pisarz, któremu atmosfera knaj- pianej wrzawy potrzebna jest jak powietrze do pracy? A może nałogowy pożeracz książek, gazet, rejestrujący z nich rozmaite myśli, fakty, na swój prywatny użytek? Mogłem zakraść się do jego stolika i zza pleców zerknąć na książki, które studiował, i spróbować odczytać, to co notował. Ale nigdy tego nie zrobiłem. Pod koniec lat 70. przestałem go spotykać na miejskim szlaku. Nie był to człowiek młody. Przygnieciony ciężarem wieku przestał bywać. Chory, niedołączny, nie rusza się z domu. Nie ma go już pośród żywych.

Będąc niedawno w Budapeszcie, włóczyłem się z Jo- lfn Cservenits po kawiarniach tego pięknego miasta cesarsko-królewskiej monarchii.

— Przyszedł! — ucieszyła się Jolan.

W stylowej secesyjnej kawiarni o ścianach pokrytych frywolnymi malowidłami, przy jednym ze stolików z marmurowym blatem zasiadł starszy, wytworny pan, bambusową laseczkę zawiesił na poręczy krzesła. Był to

Ivnd Mśndy, świetny pisarz, piewca tego miasta nad Dunajem. Lata całe, dziesiątki lat spaceruje po swoim mieście, zachodząc do kawiarni. Już tylko trzy, może cztery ulubione miejsca pozostały mu na szlaku jego wędrówek. Secesyjne, nie przerobione na nowoczesność, koniecznie ze stolikami o marmurowych blatach. Tylko takie kawiarnie stanowią miejsce jego postoju podczas spaceru. Na marmurowych blatach Ivan Mśn- dy sporządza notatki do swoich opowiadań, korzystając z bibułkowych serwetek. Joldn zastanawiała się, jak długo jeszcze przetrwają stare kawiarnie. Miasto amerykanizuje się w szybkim tempie i bary typu McDonald's i Burger King rozpoczęły zwycięską ekspansję. Joldn Cservenits zmarła w tym roku. Ivan Mandy jeszcze spaceruje. Tylko już bardzo wolno.

A co będzie u nas? Znowu pojawi się jakiś tajemniczy spacerowicz, któremu będzie potrzeba takich miejsc. Kawiarenek, podrzędnych szynków, barów, ulicznych ogródków. Co on robi?

Biel bandażu skrywająca jej twarz tak nieskazitelnie czysta i tylko widoczne były oczy. Ciemne, bardzo ciemne. Szara chusta ciasno opinała głowę i tego samego koloru płaszcz, suknia. Na gołych stopach rzemieńne sandały. Dosyć wysoka. Pojawiała się zawsze z początkiem wiosny.

Pierwsza soczysta trawa pokrywała ziemię i różnokolorowe kwiecie obsypywało nagie, czarne dotąd drzewa. Wtedy ona rozpoczynała swoje spacerowanie, które trwały do późnej jesieni. Jej stały trakt prowadził Alejami Ujazdowskimi w pobliżu parków. Szczególnie upodobała sobie wczesne, rześkie poranki, kiedy powietrze było jeszcze czyste i rosa błyszczała na trawie. Świergotały ptaki i ona często przystawała, słuchając ich śpiewu. Stara, młoda? Jak wyglądała? Kolor jej włosów. To wszystko niemożliwe do odkrycia.

Nigdy nawet kosmyk włosów nie wymknął się spod chustki. Tylko biel płótna symetrycznymi pasmami okrywająca jej twarz. Szła bardzo szybkim krokiem. Nigdy nie był to powolny spacer. Podążała wzdłuż parku Ujazdowskiego, przechodziła przez Rozdroże, dalej wzdłuż Łazienek. Nigdy nie zagłębiała się w parkowe obszary. Zawsze ulicą. Jednak nie trotuarem, tylko przy samym parkanie. Czasem schodziła Agrykolą w dół. Tak szła z niebywałą gracją. Wyprostowana, ale nie

47. NIEZNAJOMA

sztywna. Równy, lekki rytm. Sylwetkę miała szczupłą, dziewczęcą i tak zwiewnie poruszała się. Właściwie płynęła. Ciało zgrabne, wiotkie i oślepiająca biel bandaży okrywających twarz. Tajemnica! Co kryło się pod tą bielą? Czy twarz została zniekształcona po jakimś wypadku? Blizny, deformacje? Czy jakaś okropna choroba? Rany, wrzody? Potworność rozkładu, dewastacji? Może monstrualna brzydota skrywała się pod tą bielą.

Pytania pozostawały bez odpowiedzi. Dochodziła do Belwederu i zawracała. Droga powrotna prowadziła do placu Trzech Krzyży. Znowu zawracała. Nigdy z nikim nie zamieniła słowa. Nikt jej nie zaczepiał. Nawet pijacy. Zawsze samotna. Płynęła ulicą i chwilami wydawała się istotą z innego świata. Bezcielesną zjawą. Gdzie mieszkała, kim była? Nieprzeparta chęć podążenia za nią. Potrzeba odkrycia tajemnicy. Takie pragnienia były jednak daremne. Ona jakoś tak magicznie zniknęła. Chwila roztargnienia (opuściłeś głowę, przeniosłeś wzrok gdzie indziej) i już jej nie było.

Naprawdę zniknęła. Widywałem ją przez wiele lat. Zaczęło się od roku 1950 i później rok za rokiem z początkiem wiosny pokazywała się w Alejach Ujazdowskich. Pod koniec lat 70. przestałem ją spotykać. Przychodzą kolejno wiosny i już jej nie ma. Tajemnica twarzy ukrytej za bielą płótna pozostała nie wyjaśniona. Być może ktoś zna całą zagadkę i milczy jak dotąd. Dla nas, chłopców z tamtych lat, jej widok był porażający jak błysk światła, które nierozzerwalnie łączy życie ze strachem, bólem i rozpaczą. Także z samotnością.

48. PAMIĘCI KOZAKÓW

Bywali kiedyś kozacy. Mistrzowie ulicznych bójek dla samej tylko sztuki bicia. Nie dla rabunku. Nie służyli swymi pięściami nikomu. Nie z okrucieństwa i upodobania do fizycznej przemocy. Jedynie z potrzeby sprawdzenia swych możliwości. Jak na rycerskich turniejach walczyli o palmę pierwszeństwa. Dla rozkoszy zwycięstwa. Dla chwały. Dla pełnych uwielbienia spojrzeń dziewczęcych. Tacy mistrzowie pięści zdobywali uznanie współczesnych. Pamięć o nich przekazywano potomności. Krążyły z pokolenia na pokolenie gadki i ballady o tych ostrych chłopakach, którzy trzymali fason. Była w tym zachowana ciągłość. Duma ze swego dziedzictwa. W latach 50. kozacy pięści buszowali po zabawach u Wedla, Elektryków, w Telekomie. Zaznaczali swą obecność efektownymi bójkami. Często bili się o dziewczyny. Komu prześle całusa i odda swą rękę! Oczywiście nie szło tu jeszcze o miłość dogonną, małżeńską. Kozacy byli bardzo młodzi. Dziewczyny też. Szlak tych „kozackich zagonów” prowadził od Zacisza, Targówka, bazaru Różyckiego, po Polonię, Dworzec Główny, do zieleniaka na Opaczewskiej. Zdarzały się im boje z przewagą przeciwników. Zastawiano na nich pułapki. Najlepsi wychodzili z opresji zwycięsko i bez szwanku. Tym barwniejsze później bywały opowieści o ich sukcesach. Musieli również walczyć o tron. O ty-

176 Marek Nowakowski

tul niekwestiowanego kozaka nad kozakami. Kozak obdarzony wawrzynem mistrza Pragi bezwarunkowo musiał zmierzyć się z najlepszym z Grochowa, Zacisza czy Targówka. W ten sposób zdobywał tytuł mistrza całego miasta po prawej stronie Wisły. Wspomnieć jeszcze należy o pojedynkach mistrzów wszechwag Pragi i Warszawy po drugiej stronie rzeki.

Spotkać się mogli w nocnej knajpie, na ulicy, w chaszczach nad Wisłą. Wpierw mierzyli się nawzajem zimnym, wzgardliwym spojrzeniem, potem chłostali obraźliwym słowem.

Wreszcie zabierali się do rękoczynów. Gama sposobów i środków stosowanych w walkach była nieskończenie szeroka. Cios łbem, zmagi, kopy, boks

o charakterze zbliżonym do ringowego. A kiedy ogarniała furia, dozwolone było już wszystko. Czasem walka kończyła się wypowiedzianym głośno — lepszy jesteś! Przeciwnik uznawał się za pokonanego i ustępował z placu boju. Bywało także zawieszenie broni. Tłukli się i tłukli, nie mogąc się pokonać. Odkładali finał do następnego razu.

A te walki, wyczyny „samotnych jeźdźców” z nawałą przeciwników. Gdzieś ich dopadli mściciele, pokonani w innych bójkach, zebrali się w kupę i chcieli wziąć rewanż. Samotny kozak nie dał się jednak. Rozgromił ich. Jak uciekali! Ilu zostało powalonych na arenie!

Bajczarska gadka przekazywała wyczyny herosa, kolo- ryzowała i wyolbrzymiała, czyniąc z tego barwne sagi, których się słuchało z wypiekami na policzkach. Ci legendarni najlepsi!

Atom, Globus, Bimber, Lew, Stasiak, Strzelec... Władcy dzielnic, przez pewien czas całego miasta. Detronizowani. Potrafili nieraz ponownie sięgnąć po tron i koronę. Ile to kosztowało hartu! Ile bitewnego znoju! Mnogość blizn, ran, ubytków w uzębieniu, połamanych nosów, żeber. Ciało kozaka. Blizny

1 guzy. Dokumentacja licznych walk. Na starość wo

PO WIDOKI 177

jownik czytał z nich jak z księgi, wspominając z rozrzewnieniem, jak to kiedyś szedł od triumfu do triumfu.

Gieroję łba i piąchy wywierali magiczny wpływ na młodszych adeptów. Byli niedościgłym wzorem i pragnienie pójścia ich śladami stawało się niekiedy natrętnym marzeniem.

Oto pewien letni wieczór 1953 roku. W ówczesnym centrum życia miejskiego pod Polonią obserwowałem z zapiętym tchem jednego z kozaków. Może Janek Katana, a może ktoś inny. Szedł powoli, lekko się zataczał. Posępny i milczący. Coś go męczyło, gryzło. Jakiś zawód, rozczarowanie. Szedł i najwyraźniej szukał przeciwników do walki. Pragnął rozładować się, poćwiczyć. Wybierał sobie wysokich, barczystych osobników. Z postury podobnych do niego, chwackich chojraków. Potrącał ich zaczepnie ramieniem i mierzył spojrzeniem pełnym agresji. Jedni oceniwszy na oko jego walory jako ulicznego boksera usuwali mu się z drogi w milczeniu. Nie podejmowali rzuconej rękawicy i odchodzili czym prędzej. Inni przystawali i odpowiadali na wyzwanie. Mój kozak był szybki jak błyskawica. Zbliżał się leniwie, nie wyjmując rąk z kieszeni. Drapieżnik przed skokiem. Wyprowadzał mocne uderzenie z lewej, poprawiał prawą. Chwytał przeciwnika za kłapy i walił z główki. Tak kroczył Alejami i jego drogę znaczyli pokonani. Jeden padł jak ścięty. Drugi słał się pod murem, oburącz ściskając brzuch. Trzeci uciekał z pokrwawioną twarzą. Zbierał kozak swoje żniwo. W oddali zamajaczył milicyjny patrol i mój bohater zniknął w przechodniej bramie. Pamiętam każdy szczegół tamtego zdarzenia. Twarz bohatera. Jego zachowanie. Był rycerski. Nie wyszukiwał słabszych. Wręcz przeciwnie. Bardzo starał się o odpowiedniego sparing-partnera. Nie pastwił się nad pokonanym. Przestrzegał kodeksu. Nocny anioł spadł na miasto i siał spustoszenie.

W ostatnich dniach 1993 roku spotkałem jednego z najsławniejszych niegdyś kozaków miasta. Choć przeszło sześćdziesięciolecie, to wcale nie emeryt, zgred. Sprężysty, muskularny, szybki w ruchach, bez kałduna. U siebie w wiejskiej posiadłości daje sobie radę z wiejskimi mołojcami. Trzask, prask, piątka, główka i po kmiotku!

— Dali mi spokój kawalerowie mazowieccy — powiada.

Bimber opowiedział historię z 1952 roku. Działa się więc 41 lat temu! Jego występ w miejscu publicznym, było to na plaży nad Wisłą, stoczył tam efektowny pojedynek z groźnym konkurentem o prymat w walkach — obserwowała piękna dziewczyna. Zapalała do niego afektem. Bywały takie uczucia, krótkie i gorące.

Jemu, chłopakowi z Brzeskiej, szczególnie podzielał na wyobraźnię ojciec dziewczyny. Był to minister jakiegoś resortu. No, może wiceminister. Może dyrektor departamentu. W każdym razie figura. Bimber nie oparł się pokusie i wybrał się z dziewczyną do Dołka w Polonii, gdzie schodziła się ferajna z całego miasta. Dziewczyna wzbudziła powszechny zachwyty. W miarę spożywanego alkoholu rosące pożądanie. Mundurowi i tajniacy (zawsze tu obecni), licząc na szerokie pełnomocnictwa swego urzędu, najbardziej nachalnie garnęli się do niej z łapami. Musiał Bimber skarcić bezczelnych zalotników, pouczyć ich, z kim jest ta piękna dziewczyna.

Bijatyka przypominać zaczęła bitwę, gdyż zawsze kiedy ktoś leje się z władzą, przyłączają się do tego samosądu liczni przeciwnicy władzy. Przybyły odwody z pobliskiego I komisariatu w Alejach i Bimber wraz ze swoją lubą znaleźli się w gościnnych pomieszczeniach cyrkułu. Tam nieustraszony Bimber zmagił się jeszcze z watahą policjantów. Pokonany, poturbowany i zakuty w kajdany, zasnął na betonie twardym snem utrudzonego bojownika. Happy end nastąpił o świcie. Tatusz pięknej dziewczyny osobiście przybył do komisariatu. Córka wyszła pierwsza. Za nią Bimber. Przepraszony przez gliny, choć ich też niezgorzej poturbował. Minister okazał się nader tolerancyjny. Córka nie chciała odjechać z nim jego służbowym wozem. Pozwolił jej na to. Pozostała ze swoim adonisem.

— No i poszliśmy na śniadanie do Polonii — kończy Bimber.

49. DIABEL

Sceneria wtedy naprawdę była groźna. Czarne niebo wisiało nad Warszawą i już gdzieś z oddali rozlegały się głucho grzmoty burzy. Ulice opustoszały. Ludzie uciekali przed zbliżającą się ulewą. Czas był przedwieczorny i raz jeszcze pokazało się błękitne niebo — mała wysepka w granatowej czerni chmur, rozjaśniając na chwilę poszarpaną, ceglastą ścianę, która pozostała po kamienicy na końcu ulicy Smolnej. Do tej ściany ze starym węglowym napisem — Min nie ma! przyparł Diabeł nieposłuszną dziewczynę. Drżała ze strachu i skowyczała psim głosem: „Przestań, przestań!...”

Tłukł ją metodycznie i dotkliwie, z zapamiętaniem sadysty. Krótkimi ciosami pięści po piersiach, brzuchu i na płask dłońią w twarz. Wyglądał jak skrytobójca, wysłannik burzy, która zbierała się nad miastem. Mały kłęb, krzywonogi, o twarzy prostackiej i zawziętej, z szerokim, płaskim nosem i wydatnymi guzami na czole, które mogły wydawać się diabelskimi rogami. Wreszcie dziewczyna nie wytrzymała i wyciągnęła z biustonosza, opinającego jej młode, sprężyste piersi zwitek banknotów. Diabeł przeliczył pieniądze i jeszcze raz wymierzył jej siarczysty policzek. Był sutenerem i swoją „stajnię” trzymał nader krótko, w surowym reżimie. Jego dziewczyny były to przeważnie giganciary, które uciekły z domu od rodziców czy mężów w poszukiwaniu łatwych uciech i przygód. Wyłapywał je po dworcach, kawiarniach. Po krótkim przeszkoleniu puszczał w miasto. Diabeł mieszkał ze sparaliżowaną matką i ich mieszkanie w kamienicy na Wilczej cudem uchowało się podczas wojennego kataklizmu. Tam na łóżkach przypominających więzienne prycze gniździła się jego starannie dobrana stajnia — cztero-, pięcioosobowe stadko dziewcząt.

Diabeł buszował w Śródmieściu i jego dziewczyny spacerowały Alejami, Marszałkowską, zatrzymując się na postój w Kopciuszku, Małgorzatce, Danusi i Colorado. Toteż często wieczorem można było zobaczyć tego niedużego, barczystego mężczyznę o brutalnej twarzy, wystającego w bramach kamienic śródmiejskiego rewiru. Czuwał, sprawdzał, kontrolował. Niektóre dziewczyny bowiem w miarę zdobywania doświadczeń pragnęły samodzielności i próbowały uwolnić się spod opieki swego alfonsa. Takiej anarchii Diabeł nie tolerował i siłą zmuszał je do respektowania niepisanych, ulicznych praw. Serca i uczuć chyba w nim było niewiele i kiedyś w Danusi jedna z dziewcząt wyznała mu, że spodziewa się dziecka.

„Zaszłam z tobą” — tak powiedziała.

Rozmowa była krótka i straszna. Diabeł na początku wyraził wątpliwość, czy to aby na pewno z nim. Następnie bez cienia wahania zdecydował o konieczności zabiegu. Dziewczyna miała w oczach jakiś ślad uczucia i widać było wyraźnie, jak jego słowa niszczą bezpowrotnie to coś dobre i czyste, co w niej kiełkować zaczynało.

Diabeł nie był już człowiekiem młodym i brzemień lat dawało znać o sobie. W Śródmieściu skutecznie wypierali go z najlepszych miejsc sutenerzy tej rangi co Edek Szatan i Tygrys. Byli młodszy, prężniejsi i Diabeł ze swoją „stajnią” przeniósł się na boczne ulice. Najlepsze jego

dziewczyny odchodziły do tych zwycięskich kondotierów z przyszłością. W jego przypadku następowało już nieustanne osuwanie się w coraz głębsze odmęty. Jeszcze fachowości i energii starczało mu na opiekę nad jedną, najwyżej dwiema dziewczynami marnego, żeby nie powiedzieć, najpośledniejszego gatunku. Polowały one przeważnie na zamroczonych alkoholem budowniczych Pałacu Kultury i Nauki i tych wszystkich monumentalnych MDM-ów i innych obiektów socjalizmu. Pod koniec lat 50. Diabeł przeistoczył się w nieszkodliwego emeryta o chudej, pomarszczonej twarzy i siwych włosach nad czołem. Jego diabelskie rogi zmalowały, prawie zanikły. Włóczył się po knajpach, kawiarniach i znajomi czasem stawiali mu wódkę. Niektóre z jego dawnych dziewczyn też nie odmawiały mu kielicha, a czasem nawet wciskały jakiś banknot w garść. Najwyraźniej po latach nie miały do niego żalu za twardą rękę i bolesne razy, których im nie szczędził. Zapomniały, przebaczyły, a może traktowały to jako niezbędne atrybuty władzy sutenera.

Tak sobie chodził niegdyś groźny, sławny Diabeł po Śródmieściu, właściwie już człapał i powłóczył nogami. Miasto zmieniło się, przeistaczała się jego atmosfera, obyczajowość, przybywały nowe pokolenia żulików, al- fonsiaków i niezauważalnie Diabła wymiotło. Po prostu przestało się go widywać, zresztą nie było już prawie nikogo, kto by go znał z dawnych lat.

50. JESZCZE O KSIĘCIU NOCY

Wczesna młodość to czas najchłonniejszego odbioru świata. Z latami człowiek kamienieje. Nie chłonie lecz odbija. I tylko nostalgicznie wspomina dawną swą gotowość odbioru bogactwa, którym właściwie jest każdy drugi człowiek. Jako głodny wrażeń szesnastolatek poznałem Księcia Nocy. Przez pewien czas był moim mentorem. Słuchałem z wypiekami bluźnierczych nauk, w których fantazja mieszała się z realnością, prawda z kłamstwem i dobro ze złem. W tym tyglu wrzało i kipiało. Jego apoteoza występku i reguł postępowania kryminalnego półświatka odpowiadała moim naiwnym wyobrażeniom o wolności. Szczególnie o wolności wyboru między światem oficjalnym i tym wyklętym. A opowieści o kawalerach nocy i księżycu powodowały dreszcze emocji. Zapewne było w tym dużo pozostałości z przedwojennych upojeń kabaretową Czarną Mańką, Wiktorem Zielińskim, knajpą u Joska na Gnojnej i reminiscencji z dawnych lektur w rodzaju powieści J.S. Mera o kawalerach księżycu. Ale ta refleksja pojawiła się dopiero po wielu latach. Najmocniejszą stroną sugestywnych czarów Księcia Nocy była jego swoboda erotyczna i te dziewczyny, nazywane przez niego „stajnią”. Wyzywające, bezwstydne klacze! Tyle obiecywały. Toteż sprowadzając jego inwencję i aktywność do realnych rozmiarów, można jedynie w nim widzieć sutene-

ra, drobnego cynkarza i meliniarza, który gościł w swym mieszkaniu kwiat złodziejskiej ferajny. Ale to redukcyjne rozpoznanie przyszło dopiero po latach. Wtedy był fascynującą osobistością. Powszechnie znany w zakazanych rewirach. Gościnnie podejmowany przez większych i mniejszych przestępców. Reedukowany na Gęsiówce, pod celą zawsze przydzielano mu wyro w uprzywilejowanym „Londynie”. To były fakty. Już wtedy zastanawiająca była jego erudycja, niepotrzebna przecież w takim życiu. Sprawiała wrażenie czegoś porzuconego po drodze. Dużo czytał. Znał i lubił literaturę piękną, historię. Cytował Kwiaty zła i erotyki Tetmajera. To pamiętam. Również Heinego. Też pamiętam. Miewał okresy samotności. Obwarowany książkami, pismami. Przesiadywał w bibliotekach. Może pragnął pisać? Stworzyć ze swojej wiedzy i fantazji świat. Znali go ludzie z innych środowisk. Zaraz po wojnie studiował w Akademii Nauk Politycznych. Słuchał wykładów asów dziennikarstwa: Józefa Wasowskiego, Trzebińskiego (stryja poety), Jacka Wołowskiego. Widywałem go w dobrej komitywie z ludźmi o wojennej przeszłości, tymi z konspiracji, z baretkami odznaczeń, znaczkami z kotwicą, harcerską lilijką. Wyraźnie był jednym z nich. Coś żywo wspominali, potakiwali sobie. Może należał do AK. Można wyobrazić sobie obszar jego młodości, okupacyjnych doświadczeń. Wiek się zgadzał. Tymczasem życie, które prowadził, nie było tylko dekadencją zabawą. Dziwki dawały mu utrzymanie, kradzieże nie były mu obce, polował na jeleni”. Hulał, pił. Pijaństwa nasilały się. Nieuchronne koszty. Dostępnie stał się alkohikiem. Monologi pełne polotu i fantazji zamieniły się w bełkot, brednię. Tracił inwencję. Redukował swoje potrzeby. Coraz mniej duchowości. Coraz mniej siły. Wzruszającą postacią tego dramatu była staruszka matka.

Mieszkał z nią w ocala

łej kamienicy w Alejach Jerozolimskich. Wiekowa pani, w słomkowym kapeluszu, nicianych rękawiczkach, w stroju mocno znośnym, ale pamiętającym jeszcze dawną świetność.

Chodziła z trudem i poszukiwała go w szynkach, kawiarniach.

— Rysiu! — wabiła. — Zrobiłam pyzy, takie jak lubisz. Chodź, wystygną!

Chciała go ratować. Starania były bezskuteczne. Rechotał szyderczo.

Te biedne matki! Osobny temat do rozważań. Były z dawnego, zburzonego przez kataklizm świata ładu i solidnych norm etycznych.

Po Bubę, jednego z malowniczych wykolejeńców, też przychodziła matka. Pani o czystej, szlachetnej twarzy i nieskazitelnych manierach. Cierpliwie wyczekiwała przy stoliku, gdzie przesiadywał jej syn z ladacznikami i pragnąc obronić go przed nadmiarem alkoholu, sama popijała. Na początku ze wstrętem, później się przyzwyczaiła.

Rozpacz tych matek musiała być przejmująca. Synowie tak świetnie się zapowiadali, zdolni, urodziwi. I w sposób niepojęty dla swych matek wybrali drogę nieuchronnego osuwania się na dno i nic ich nie mogło zatrzymać.

Przyczyn degradacji i samozatrąty tych często obiecujących młodych ludzi można upatrywać w wymiarze bardziej ogólnym, społecznym. Szkoła okupacji, która oprócz odwagi, szlachetności, ofiarności w służbie ojczyzny uczyła równocześnie pogardy dla ludzi, lekceważenia życia. Nadto stwarzała pokusy łatwego zdobywania bogactw nie zawsze uczciwą drogą. A wszystko to działo się przecież tyle lat! Potem przyszło powojenne trzęsienie ziemi. Nastąpiła nowa władza, ideologia. Stare wartości wyrzucono na śmietnik. Przyjęcie nowych reguł gry w życiu bywało często zdradą samych siebie i ca

łej przeszłości. Rozpadał się stary świat, okaleczone rodziny, utracone majątki. Ten nadmiar doświadczeń uczynił z niektórych młodych — cyników pozbawionych wszelkiej wiary. Więc ofiary trzęsienia ziemi. To osuwanie się na dno miało wymiar tragedii. My piętnastoletni, szesnastoletni chłopcy byliśmy tym procesem bezwiednie zafascynowani. Księżę Nocy zapadał się w nicość, mając w pogardzie wszelkie zasady. Anarchicznie zrywał swoje więzy z przeszłością, teraźniejszością. Władza była dla niego przedmiotem szyderstwa i kpiny. Uczucia bzdurą. Uczciwość głupotą. Strach przed śmiercią tchórzostwem. Wiara w Boga złudzeniem naiwnych. W tej postawie mieściła się na pewno jakaś rozpaczliwa próba zachowania własnej wolności.

Ostatni raz zobaczyłem Księcia Nocy w 1963 roku przy bazarze na Polnej. Wychudzony jak obozowy mużłmanin, zarosnięty, w łachmanach, pod strzępami marynarki nosił marynarską, pasiastą koszulkę — ten niespodziewany akcent w stroju żebraka uderzał w oczy. Emanował pełnym rozkładem, mówił bełkotliwie — w pustych dziąsłach sterczał groteskowo jeden jedyny czarny ząb. Służył za błazna handlarzom i w zamian za występy raczyli go gorzalką.

Podobno umarł gdzieś w więziennym szpitalu i teraz nie ma nawet śladu jego mogiły. Bezimienny grób zarósł chwastami.

Niemiałym zaskoczeniem dla mnie było niedawne spotkanie z Andrzejem W., uważnym czytelnikiem Powidoków. Andrzej W. to człowiek przedwojenny, rocznik 1928, wykształcenie filozoficzne; podczas okupacji bywał ze starszym bratem na konspiracyjnych wieczorach literackich „Sztuka i Naród”, gdzie Gajcy, Trzebiński recytowali swoje wiersze. Otóż Andrzej W. znał Księcia Nocy z czasów przedwojennych. Latem 1938 roku chłopcy z domów warszawskiej inteligencji wyjechali na wakacje do posiadłości ziemskiej w okolicach Płocka. Majątek był podupadły i żona właściciela łątała napięty budżet domowy organizując pobyt działwy z Warszawy. Pan Andrzej był tam z Księciem Nocy. Jeszcze jedną osobą, którą zapamiętał z tamtych dawnych wakacji jest pan Jerzy Fonkowicz, generał brygady w stanie spoczynku, szef departamentu kadr MON w czasie październikowego powrotu Gomułki, później korespondent naszej prasy w Finlandii.

Relacja pana Andrzeja zabrzmiała jak echo z zamierzchłej przeszłości. Wakacje chłopców we dworze pod Płockiem. O czym marzyli wtedy. Jaką wyobrażali sobie przyszłość, śpiewając przy ognisku: „Szumią knieje”, „Polesia czar”, „Kiedy ranne wstają zorze”. Jak różnie potoczyły się ich losy! Oto ostatnia wiadomość o Księciu Nocy. Reszta pozostanie tajemnicą już na zawsze.

51. FLAMINGO

Kredytowa, Mazowiecka, Czackiego. Tu zachował się fragment dawnego miasta. Dostojne, mieszczańskie kamienice, pałace, okazałe gmachy. Bramy z płaskorzeźbami, całe frontony zdobne w mitologiczne postacie, kunsztowne ornamenty wykute w kamieniu, fryzy, marmurowe wykładziny. Co krok odkrywa się imponująca pozostałość z dawnych lat. W jednym z takich pałaców mieści się ambasada włoska. W innej nie mniej imponującej budowli, dawnej siedzibie Towarzystwa Kredytowego, której fasadę projektował Henryk Marconi — teraz znajduje się Muzeum Etnograficzne. Gmach Banku PKO S.A., dolarowa ostoja Polaków w socjalizmie, z piękną, wysoką salą o suficie zdobnym w pastelowe malowidła. Przypominają się dawniejsze nazwy ulic. Kredytowa to niegdyś Erywańska, nazwana tak w czasie zaboru rosyjskiego dla uczczenia pamięci feldmarszałka Paszkiewicza, ks. Erywańskiego, natomiast pobliska Czackiego to dawniej Włodzimierska.

A jeszcze Pegazy na Kredytowej! Tytuł wspomnień Hanny Kister, żony wydawcy. Tutaj mieściły się głośnie w dwudziestoleciu wydawnictwa. Oficyna Jakuba Mortkowicza na Mazowieckiej. „Rój” Kistera i Wańkowicza na Kredytowej. Modna kawiarnia ówczesnej elity intelektualnej, która przeszła do historii miasta jako Mała Ziemiańska.

Patrząc na stare mury i przypominając nie istniejące lokale, łatwo można sobie wyobrazić dawne życie tych ulic. Niewielki to rezerwat. Pobliski plac Dąbrowskiego już otoczony wyłącznie zabudową powojenną, socjalistyczną. Ale mieszkał tu w latach 60. niezrównany piewca Warszawy, Miron Białoszewski, mistrz wiersza i prozy, czarodziej uskrzydlenia przyziemnych słów. Niedaleko tej enklawy wyrasta kopuła zboru ewangelickiego na placu Małachowskiego i budynek gimnazjum im. Mikołaja Reja, którego uczniem był pan Ivar Lunde (później tłumacz literatury polskiej i dyplomata norweski), syn inżyniera, pracującego przed I wojną w konsorcjum Alfreda Nobla w Banku, budowniczego rafinerii ropy naftowej w Gorlicach. Na miejscu obecnego hotelu Victoria jeszcze wiele lat po wojnie czerniały ruiny pałacu Kronenberga i resztki budynku IPS-u, gdzie znalazł przytulisko Teatr Żydowski Idy Kamińskiej. Naprawdę historyczna to okolica i ciągle odzywają się echa bliższej i dalszej historii. Na Kredytowej w jednej z zachowanych kamienic powstał w latach 50. nocny lokal Flamingo. Należało wejść w bramę, następnie schodami w dół do rozległych piwnicznych pomieszczeń i tam w czasie październikowego ożywienia ducha i materii rozpoczął swą działalność rozrywkową lokal o egzotycznej nazwie Flamingo, chętnie odwiedzany przez złotą młodzież Warszawy. Co prawda nie było tam wyszynku wódki i podawano tylko wino, ale panował nastrój, który przyciągał. Bar z wysokimi stołkami, zaciszne nisze, dyskretne światła, przestronny parkiet i niezła orkiestra. Tutaj jako początkujący pisarz spotkałem Jurka S., chłopaka z matecznika podziemnej Warszawy, który marzył o wielkich skokach i wielkim szmalu. Siedząc przy barze, popijając czerwone wino i racząc się dyskretnie wódką z butelki, snuliśmy swoje sny o potędze i chwale.

Czas Flamingo był niedługi, drzwi do piwnic zabito deskami, żeby znów po kilku latach powstała w tym miejscu restauracja z kuchnią żydowską o nazwie równie dźwięcznej co poprzednia, Amica. Lokal zyskał powodzenie i zachodzili tu zarówno ludzie przedwojenni jak i młodzież. Kucharz był mistrzem i serwowano dawno zapomniane potrawy: czulent, macebrę, sałatki galicyjskie, siekaną wątróbkę i gęsie pipki. Ozdobą restauracji była czarnowłosa kelnerka o ognistych oczach. Starsi, dystygowani panowie nazywali ją Różą Saro- mu. Inni mniej subtelni, rozochoceni alkoholem, patrząc na nią maślanymi z zachwyty oczyma, wołali: „Precz z Żydami, a Żydówki z nami!”

Kierownik restauracji, wysoki, postawny mężczyzna o nienagannej prezencji, śpiewał dla publiczności rzewne piosenki w jidisz, z których największym powodzeniem cieszyły się: „Żydowska Matka” i „Miasteczko Bełżc”.

Atmosfera była znakomita. Młodzi chciwie chłonęli nieznane uroki. Starzy tyle sobie przypominali. Chwilami ożywał dawny czas i kiedy jacyś goście smakosze prosili o najbardziej żydowską potrawę, kelner Edek, wielki kpiarz odpowiadał: „Najbardziej żydowską potrawą to jestem ja!”

Powrót do rzeczywistości bywał przykry. Wychodziło się na ulicę i czar pryskał. Ponure miasto. Pustka i ciemność.

Po marcu 1968 roku większość świetnej załogi restauracji Amica ze śpiewającym kierownikiem na czele opuściła kraj z paszportem w jedną stronę i rozproszyła się po świecie.

Po kilku latach martwoty piwnice doczekały się kolejnej metamorfozy. Ekipa fachowców przystąpiła do kapitalnego remontu, wewnątrz wyłożono boazerią, ściany hallu pokryto piaskowcem z płaskorzeźbami przed stawiającymi górniczy trud. Nowa restauracja nazwana została Barbórką i gościły tutaj na bankietach gremia kierownicze z fabryk, hut, zjednoczeń i centralnych zarządów. Standard był wysoki, kelnerzy w muszkach i smokingach, bar obficie zaopatrzony w zagraniczne trunki. Na górze zaś był lokal samoobsługowy z wyszynkiem na stojąco i spragniony element męski zaglądał tu ochoczo.

W późnych latach 80. wszystko zaczęło plajtować i splajtowała także Barbórka. Przystanąłem i zajrzałem przez szybę do wnętrza restauracji włoskiej Fontana Trevi, która od roku zajmuje pomieszczenia dawnego Flamingo. Obok zatrzymał się jegomość w moim wieku i westchnął. Wymieniliśmy spojrzenia. Znów westchnął. W odpowiedzi westchnąłem. Rozumieliśmy się bez słów.

52. JEDNOREKI ARTYSTA

Historia to już odległa, choć jeszcze według kwalifikacji uczonych historyków najnowsza. Rok 1950. Aleje, niedaleko skrzyżowania tej pryncypalnej ulicy z drugą równie pryncypalną Marszałkowską. Wszystko działo się w centrum ówczesnego miasta. Polonia, drewniany dworzec, blisko Telekom, knajpy. Pełno jeszcze gruzów. Tętniło życie. Pojawił się tu uliczny artysta. Przychodził przed południem. Ustawiał sztalugi, stolik i małe, płócienne krzeselko. Prawą rękę miał sztuczną i drewniana dłoń martwo zwisała w obcisłej, czarnej rękawiczce. Lewa ręka była cała i ona służyła mu do tworzenia. Twarz miał surową, chropawą i niebieskie, lodowate oczy. Siedział na rozkładanym krzeselku i obojętnie patrzył na przechodniów. Dużo palił. Wycięte z czarnego połyskliwego papieru profile i rysowane ołówkiem portrety na arkusikach brystołu, umocowane do sztalug zwracały uwagę ludzi.

Zatrzymywali się i żywo komentowali prace artysty. Jeżeli ktoś wyraził ochotę na pozowanie do swego portretu profilem lub en face, artysta w zależności od życzenia pracował nożyczkami lub ołówkiem. Jego oko i palce były niezawodne. Szybko powstawał wizerunek ładząco podobny do pierwowzoru.

„Jak żywy” — tak przeważnie komplementowano jego dzieło.

Szczególnie matki bardzo pragnęły, żeby uwiecznić ich pociechy. Czasem artysta nie przyjmował zlecenia.

„Nie czuję tej twarzy” — powiadał i nic już nie mogło zmienić jego zdania.

Towarzystwem mu całymi dniami. Znał już mnie doskonale, ale nie odzywał się wcale. Tylko z nagle sondował przenikliwym spojrzeniem.

Pewnego dnia polecił mi przypilnowanie swego ulicznego studia. Poszedł gdzieś. Potem powtarzało się to każdego dnia. Szedł do pobliskiego baru Metro. Po powrocie zawiewało od niego alkoholem, ale wcale nie był rozmowniejszy.

Nasza znajomość jednak pogłębiała się i pomagałem mu rozkładać i składać sztalugi. Taszczyliśmy we dwóch cały jego sprzęt do przystanku tramwajowego. Jeździł w kierunku Grochowa.

„No to do jutra!” — rzucał na pożegnanie. Kilka razy zaprosił mnie na kawę do Kopcuszką, kawiarni w starej kamienicy obłupanej z tynku i odślanającej ceglany mur jak mięso bez skóry. Siedzieliśmy milcząc, zamówił likier miętowy do kawy i tam w ciemnej, zadymionej salce powiedział, że życie dla sztuki to smród, głód i ubóstwo. Byłem więc przekonany, że to, co robi na ulicy, jest niezbędną dla egzystencji pracą zarobkową, a ambitne dzieła tworzy w swej pracowni na strychu, z dala od wścibskich spojrzeń gawiedzi. Wyobrażałem sobie także dramatyczne wydarzenia, które spowodowały, że stracił rękę.

Nastaly pierwsze letnie upały, zaczęły się szkolne wakacje i pewnego dnia poszliśmy na wódkę do Dzika, potem do Metra i Klubowej. Tam powiedział, że wkrótce wybierze się na sezon letni do Sopotu. Toteż kiedy po kilku dniach pojawiłem się przed Polonią, jego już tam nie było.

We Wrzeszczu mieszkała moja ciotka i po natar

czywych prośbach uzyskałem zgodę rodziców na wyjazd nad morze. Zaraz po przyjeździe wybrałem się z Wrzeszcza do Sopotu i tam na molo zobaczyłem jednorękiego artystę. Znów tak samo jak w Warszawie asystowałem mu wiernie i kiedy odchodził na jakiś czas, pilnowałem jego warsztatu pracy.

Sam Sopot był jak dzieło sztuki. Ołowiane morze z białymi grzywami fal, krzyk mew. Majestatyczny Grand, resztki zabudowań kasyna. Fantazyjne domki z werandami i pałacyki z wieżyczkami.

Później przeczytałem Buddenbrooków Manna i letnie wyjazdy rodziny patrycjusza z hanzeatyckiej Lubeki odtąd kojarzyły mi się z Sopotem. Jednoręki artysta zaś pozostał dla mnie pierwszym żywym człowiekiem, który sobą ucieleśnia sztukę.

Nasze drogi rozeszły się niezauważalnie i ostatecznie. W następnych latach pojawiło się wielu podobnych wirtuozów nożyczek i ołówka. Nieraz spoglądając na nich, myślę o moim mistrzu z roku 1950.

Zaliczała się do handlowej arystokracji. Miała budę na Skaryszewskiej. Ciuchy najlepszego gatunku z zagranicznymi metkami. Dla stałych klientek, koneserek bogatej elegancji i szyku trzymała na zapleczu szlachetne futra: karakuły, lisy, norki, oposy. Sort wysokiej jakości. Kupcowe z Chmielnej i bazaru Różyckiego w niedzielę do kościoła paradowały w tych futrach. Zarabiała na tamtą miarę bardzo dobrze, było to jednak zajęcie pracochłonne, ryzykowne i wymagało różnych umiejętności. Mróz czy grypowa plucha — ona zawsze na posterunku. Krzepiła się herbatą z termosu. Baby roznosiły gorące flaki i pyzy, co w zimowe dni podtrzymywało ciepło w organizmie. Kobieta była z niej drobna, niskiej postury, ale wielkiego ducha. Wiele potrafiła przetrzymać. Bo i te trudne konszachty z milicją, urzędem skarbowym. Gliniarze zawsze się mogli do niej przyczepić, nałożyć grzywnę, a nawet spowodować zamknięcie budy. A te psy gończe z urzędu skarbowego! Podatki, domiary. Opanowała skomplikowaną sztukę należytego współżycia z władzą. Pamiętała o imieninach, urodzinach gliniarzy, skarbowych inspektorów i innych dręczycieli. W samą porę wręczała im kosztowny i gustowny prezent. Ciuchy dla żonki, córki. Trunek zagraniczny dobrej jakości. Nie mówiąc już o zwitkach banknotów, które dyskretnie wsuwała w chciwe łapy. Ze

swej budy utrzymywała liczną rodzinę, dwie córki z zięciami, syna obiboka i letkiewicza, porzuconą przez niego żonę i wnuczka. Mając tak liczną trzódkę na utrzymaniu, nie mogła jednak liczyć na stałą pomoc kogokolwiek. Syn migał się i wykręcał od wszelkich obowiązków. Owszem, córki czasem zastępowały ją w handlu na placu. Ona wtedy jeździła po kurpiowskich wiochach, zapuszczała się w Rzeszowskie i aż na Podhale do górali. Wielu ludzi stamtąd miało swych bliskich w Ameryce i oni przysyłali im paki z ciuchami. To były jej źródła zaopatrzenia. Wyjazdy, dalekie trasy, pociągi, autobusy, targi z chciwymi chłopami. Podróżowała objuczona tobołami, trzeba uważać na złodziejską zarazę. Łatwo też podpaść milicji i zostać speku- lantką. Naprawdę była z niej kobita godna podziwu.

Ciuchy na Skaryszewskiej zostały zlikwidowane, przenieśli handel na Lubelską. Następnie na plac Szem- beka. Trzymała się przez cały ten czas na powierzchni i jej buda niezmiennie zaopatrzona była w towar najlepszego gatunku; chłamu, żadnej lichoty nigdy nie miała. Sama uważała, że los jej sprzyja. Szczególnie dziękowała opatrności za spokojne przeżycie tych najcięższych lat do 1956 roku. Kilka razy w tamtych czasach jej wolność wisiała na włosku. Raz na przykład chcieli ją wrobić w jakiś nielegalny handel, podrzucili do budy lewiznę. Rzecz cała była zbyt grubo szyta i po kilku dniach pobytu w areszcie wypuszczono ją jednak. Stanęła na schodkach komendy, popatrzyła na niebo i przeżegnała się. Podziękowała Bogu. Potem wszystko trochę zelżało i handlowało się już spokojniej. Ciuchy osiadły na dobre w Rembertowie i ona tam nadal posiadała budkę. Podupadł ten niegdyś atrakcyjny handel używaną odzieżą. Granice stały się bardziej otwarte i ludzie mieli różne inne możliwości zaopatrywania się w modne, zagraniczne ubrania. Ale ona już do innej handlowej branży się nie przeniosła. Była za stara i nie miała już za dużo siły. Zresztą ani syn, ani córki nie kwapili się do przejścia jej straganu. Córki czymś innym się zajmowały, a syn pozostał zatwardziałym próżniakiem. Chętnie tylko zwracali się do niej o pieniądze wsparcie.

Tego pamiętnego dnia w południe gwarzyła sobie z innymi handlarkami. Popijały tradycyjnie herbatę z cytryną. Wyglądała tak jak zawsze. Mała, drobna kobiecina, siwiuteńka jak gołąbek. Ruchu żadnego nie było. Siedziały przed straganami i patrzyły na nielicznych przechodniów. Jedna z nich powiedziała akurat:

- Co to za handel, psiakrew!
- Żarty, a nie handel! — druga dodała.

Popatrzyły na nią. Ona obsunęła się ze swego stołka. Wyglądało to tak, jakby stołek się załamał, czy coś podobnego. Upadła na ziemię. Jak przyjechało pogotowie, to już nic nie mogli zrobić. Serce. Później kilka razy na placu pojawił się jej syn. Patrzył smętnie na budę, która kiedyś była budą jego matki i odchodził.

54. PIGALAK

Tak został ochrzczony. I słusznie. Bo i stary sentyment do Francji w tej nazwie. I szczerą prawdą. Na tym placu, ozdobionym kilkoma rachitycznymi drzewami, ograniczonym z dwóch stron pocerniałym, ceglastym murem starych domostw zachowanych w tym kwartale miasta przy rogu Hożej i Poznańskiej, zbierały się dziewczyny. Dziewczyny! Oczywisty eufemizm. Przeważały bowiem wśród tutejszych profesjonalistek stare, widmowe istoty o twarzach sinych, zniszczonych i głosach niskich, zdartych. Były to uliczne weteranki, kiedyś zwane „gruzinkami” od gruzów zburzonej Warszawy, w których buszowały.

Miejsce posiadało swoje gastronomiczne zaplecze w postaci kawiarni Hoża, dosyć obskurnej spelunki z możliwością picia na stojąco pod papierosa, czyli bez zakąski, co wielu trunkowym bardzo ułatwiało życie. Niektórzy ludzie trunkowi sprawiają wrażenie bardzo zabieganych, pędzą do baru, aby wypić w pośpiechu lufę. Co ich tak goni? Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Może jakiś tajemniczy, metafizyczny imperatyw ich tak gna. Pigalak posiadając gastronomiczne zaplecze był samowystarczalny. Poszukiwacze erotycznych uciech napiwszy się dla kurażu ruszali na placyk.

Owe igraszki odbywały się przeważnie po zapadnię-

M

POWIDOKI 199 ^

ciu zmiernemu i uroda kobiet nie miała istotnego znaczenia. Całun nocy skrywał szpetotę. Tak można poetycko powiedzieć. Nawet najstarsze ulicznice mogły liczyć na wzięcie. Trzeba dodać, że tutejsze niewiasty nazywano lachociągami. Wyjaśnienie znaczenia tego terminu pozostawiamy domyślności czytelników. Powracając jeszcze do zaplecza. Oprócz kawiarni w pobliżu znajdowało się także pogotowie ratunkowe. Miało to niebagatelne znaczenie. Często na Pigalaku wybuchały bijatyki, odbywały się krwawe porachunki. Watahy małaolatów napadały na co bardziej opitych amatorów. Ofiary tych zajęć miały dosłownie kilkanaście kroków do pogotowia i kilka razy nawet ta minimalna odległość, jak ręka opatrności, uratowała niejednemu życie. Pogotowie traktowane było nie tylko jako szybka pomoc medyczna. W zimniejsze dni dziewczyny z Pigalaka zachodziły tam regularnie i udając oczekujące na zabieg pacjentki podrzemywały na ławkach w poczekalni. Gdy pochrapywały zbyt głośno, zmuszano je do opuszczenia ciepłego przytuliska. Pigalak i jego otoczenie miały posępny koloryt rozpusty i występku. Skąpe światła ulicznych latarni. Po placu snują się jakieś pokracczne postacie. Brzęk rozbijanego szkła, ochryple głosy, przekleństwa. W kawiarni kłęb mężczyzn oblega kontuar. Do pogotowia niosą pokrwawioną, zmasakrowaną ofiarę bójki, wypadku, napadu.

Wyje syrena karetki. Coś w tym było infernalnego! Dopiero kilka lat temu Pigalak przekształcił się w plac budowy i w szybkim tempie powstało tutaj osiedle nowoczesnych, estetycznych domów z parterami przeznaczonymi na sklepy, salony, galerie i zakłady rzemieślnicze- A kawiarnię Hoża zamknięto i teraz sądząc po

remoncie odbywającym się w jej wnętrzu będzie tutaj apteka.

Zakazane miejsce zmieniło zupełnie swój charakter i z rzadka tylko pojawi się zabłąkany poszukiwacz wiadomych uciech. Pokręci się, popatrzy i odchodzi zawiedziony.

55. OSTATNIA ENKLAWA

W latach 70. nastąpił kres ostatniej warszawskiej promenady gastronomicznej. Była to szczątkowa enklawa na zapleczu Marszałkowskiej. Róg Mokotowskiej i Pięknej jedna knajpa. Róg Mokotowskiej i Koszykowej druga knajpa. Jeszcze mały barek przylegający do tej drugiej knajpy, zwany potocznie Kieszenią, jako że był miniaturowy. Miało to wiadomy urok. W jednej wypieś, także w drugiej. Potem mogeś dopić się wmieszeni na stojaka pod jajeczko po japońsku czy serek tyłzycki.

Knajpy były stare, pamiętały dawną świetność miasta i przyciągały zagończyków nawet z dalekich stron. Do tej na rogu Mokotowskiej i Pięknej, specjalizującej się dawniej w potrawach z koniny i stąd zwanej Końską przychodził chudziutki, siny jak denaturat redaktor prasy Paxu. Przedwojenny dziennikarz, pisywał jakieś drobne informacje o kradzieżach i wypadkach w Słowie Powszechnym i tutaj przepijał wierszówkę. Przed wypiciem był jednym wielkim dygotem, trząsł się wewnątrz i zewnątrz; pieniędzy starczało mu ledwie na trzy wódki, a dopiero po czwartej mógł normalnie funkcjonować. Toteż jeżeli mu postawięś, redaktor stawał się czarującym kozerem, pełnym błyskotliwej swady, obdarzonym wspaniałą pamięcią Warszawy.

Opowiadał najchętniej o swoich spotkaniach z Jaraczem. Nazywał go Majstrem i było to przezwisko znane tylko najbliższym. Rzeczowe uznanie jego sztuki. Jaracz popijał z nim w szynkach dawnego Powiśla pośród wozaków, alfonsów, kieszonkowców, pajęczarzy i innych żulików. Przynajmniej tak twierdził redaktor i cytował zawołania i toasty wielkiego aktora, uwielbianego przez bywalców tych zakazanych spelunek. Otrzymywał od niego bezpłatne wejściówki do teatru. Również chętnie raczył słuchaczy barwnymi opowieściami z wokandy przedwojennych sądów na Lesznie. W wieczornej prasie zamieszczał sprawozdania z ciekawszych rozpraw. Zupełnie jak Wiech. Warto było mu postawić nie tylko jeden kieliszek. Odplacał się z nawiązką. Organizm ludzki ma jednak możliwości ograniczone i redaktor w pewnej chwili zaczynał tracić formę i wenę twórczą. Stawał się apatyczny i kolejne kieliszki zamieniały jego mowę w niezrozumiały bełkot. Obwisał nad szynkiem i zasypiał. Trzeba zaznaczyć, że mimo postępującej degradacji i ubóstwa traktowany był życzliwie przez personel. Nieraz nawet babka klozetowa pozwalała mu przespać się gratisowo w toalecie. Obcałowywał z wdzięczności jej ręce i zwracał się do niej — Ma chere madame!

Również tutejsi bywalcy od węglarza do urzędnika częstowali go wódką w zakresie swych skromnych możliwości.

Knajpy na Mokotowskiej ściągały mężczyzn z całego miasta, co wiąże się bezpośrednio z postępującą likwidacją małej, taniej gastronomii. Wtedy już przecież zamknięto stary szynk Przechodni (odwiedzany jeszcze przez Jana Kurnakowicza i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego) na Mokotowskiej naprzeciw klubu studenckiego Hybrydy, i osławionego Jontka na Wiejskiej. Tutaj więc podążali rzemieślnicy z warsztatów tapicerskich, ślusarskich, szklarskich i innych, które egzystowały w suterrenach kamienic śródmiejskiego kwartału. Niezapomnianą postacią pozostał pewien urzędnik z pobliskiego ministerstwa, nazywany Patkiem, jako że zegarki tej firmy słynęły niegdyś z niezawodnego mechanizmu. Punktualny był bowiem w zaspokajaniu swego pragnienia jak tenże zegarek. Ten starszy, starannie ubrany pan o gąbczastej, jakby permanentnie nasyconej alkoholem twarzy dokładnie co godzina opuszczał biuro i po kolei zachodził do tych dwóch szynków i Kieszeni, wypijając w każdym miejscu po kieliszku wódki pod papierosa osadzonego w szklanej lufce. Nigdy z nikim nie rozmawiał, nikomu się nie kłaniał. Absolutnie sam. Wypiwszy swoje trzy pięćdziesiątki wracał do pracy, żeby po godzinie pojawić się znów. Pewnego dnia nie przyszedł. Następnego dnia również. Człek to był wieku podeszłego i jego zaskakującą nieobecność wytłumaczono ostatecznym odejściem z tego padółu łez i cierpień.

Ważną osobistością rezerwatu na Mokotowskiej był przedwcześnie emerytowany generał D. Rosły, imponującej postury mężczyzna, mimo stroju cywilnego wyróżniał się wojskową, sprężystą postawą i krokiem. Po 1956 roku przez pewien czas był ogólnopolskim wodzem gliniarzy i jego zwolnienie ze służby wiązano z politycznymi powodami. Podobno zanadto uwierzył w Październik. Podobno postawił się okoniem Gomułce. Była też dosyć trywialna wersja, że rozpił się i zaniedbywał odpowiedzialną służbę. W każdym razie stał się regularnym bywalcem tych trzech blisko siebie położonych świątyń alkoholu. Zawsze towarzyszył mu okazały owczarek niemiecki, Tarzan. Pies czekał na swego pana pod drzwiami knajp. Potrafił tak wyczekiwać bez żadnych oznak zniecierpliwienia bardzo długo. Generał UJ siniał w szybkim tempie i jego dłonie zaczynały trze

potać jak ptaki. W ściśle określony dzień miesiąca, kiedy pan D. odbierał swą generalską rentę, miejscowi pijaczkowie z ogromną niecierpliwością wyczekiwali na niego. Wysyłali zwiadowców, którzy komunikowali im za pomocą sygnałów dźwiękowych i gestów, że generał opuścił już swój dom w alei Przyjaciół, historycznej ulicy komunistycznych dziennikarzy.

Generał D. nie był sobkiem i ten dzień stawał się świętem dla całej czeredy golasów. Pili na jego koszt. Jeżeli chodzi o życie wyższych sfer, to kilka razy za mojej kadencji w Dużym Smakoszu odbywały się bankiety dostojników Paxu, który tutaj na Mokotowskiej miał swoją siedzibę. W tym gronie widywałem księży-patriotów w sutannach. A raz pokazano mi wodza, Bolesława Piaseckiego.

Dziś nie ma już tych restauracji. Na miejscu Końskiej pełno marmurów, kolorowych reklam i produkty o obcojęzycznych nazwach — to sklep firmowy Infragrances. Na drugim rogu początkowo był sklep mięsny dla dyplomatów. Przemieniony został w fazie przejścia z komunizmu w kapitalizm na sklep spożywczy o zastanawiającej nazwie Elektra. Przyległa doń Kieszon została punktem usługowym ksero, jak głosi szyld nad wejściem. Ale stare miejsca przyciągają. Mają taką właściwość. Dotąd w pobliskich bramach gromadzą się mężczyźni przed lub po wypitce. Tym bardziej że w sklepie Elektra można nabyć wódkę i piwo. Tylko nie widać generała D. z wilczurem Tarzanem.

Przechodząc tędy, zwalniam nico kroku i przypominam sobie to i owo. Choćby honorarium za Busia, opowiadanie drukowane we Współczesności (redakcja na Koszykowej), które przepijaliśmy w Małym Smakoszu, szynku najdawniej zlikwidowanym — teraz fryzjer damski As. Patrzę na ondulowane damy i nadal widzę

POWIDOKI 205

stare wnętrze z gablotą na zakąski i półką zastawioną butelkami czystej z czerwoną i niebieską kartką. Szynk nakłada się na fryzjernię. Tamto silniejsze. No i bardzo młodzi byliśmy. Raczyliśmy się gorzałą i rozpierała nas siła gigantów. Cały świat u naszych stóp!

56. STOI FIGUS NA PIKIECIE

Zupełnie jak ułan na widocie. Może to od ułana wzięło początek? Wtedy jeszcze żywa była tradycja kawaleryjska. Pikięciarze najchętniej wystawali „pod zegarem”, to znaczy przed prowizorycznym, drewnianym dworcem naprzeciw Polonii. Lub „pod pedałem”, czyli przy wejściu do Fotoplastykonu w bramie kamienicy nr 47 w Alejach Jerozolimskich. Stroje mieli oryginalne, fryzury także. Amerykański styl życia, wielbili jazz, wszystko wiadomo. Bikiniarze, figusy. „Leci figus Targową ulicą, za nim dziwa z rozciętą spódnicą”. Słowa piosenki wyrażają ich pychę z powodu powodzenia u dziewczyn. Kolorowe ptaki na jednolitej, twardej glebie socjalizmu. Plebejska, ślepa odmiana tej samej walki o niezależność, prywatność, którą na wyższym szczeblu wyrażał wtedy Leopold Tyrmand. Tak stali gromadą

I podrygiwali rytmicznie. Często w ramach programu walki z wrogiem zderzały się z pikięciarzami zetempow- skie bojówki. Zetempowcy w strojach organizacyjnych: czerwony krawat, zielona koszula, próbowali im obcinać długie włosy i kunsztowne czuby nad czołem.

Chwyтали, spisywali personalia. Wspomagała ich milicja. Przeważnie takie incydenty zdarzały się na zabawach u Elektryków, w Telkowie czy na Różanej i później niejeden z wybitnych działaczy partyjnych i rządowych PRL-u wspominał z rozrzewnieniem, jak to ruszał do boju z wrażym, reakcyjnym elementem, śpiewając dla dodania sobie animuszu — „My ZMP reakcji nie boimy się!...” A także późniejsi rewizjoniści, następnie antykomuniści wspominali to samo i chwytali za serce nostalgia za utraconą młodością. Pikięciarze byli chłopakami dziarskimi i wiernymi swemu powołaniu. Nie dawali się jak mogli przewadze państwa i jego kohort. Oto niektórzy z nich godni uwiecznienia. Czarek, z zawodu frezer, był królem pikiety. Najlepiej się ubierał. Najlepiej tańczył. Budził wielki podziw, choć z wyglądu niepozorny kurdupel. Podobno był artystą w swoim frezerskim fachu. Pamiętam bardzo dobrze Zbyszka Młotka, który wyprowadzał piorunujący cios z lewej i pewno wielu zetempowców odczuło siłę jego uderzenia. Był małowówny, tępawy i narkotycznie odurzała go każda bijatyka. Potyczki zdarzały się nie tylko z zetempowcami. Pikiety ze sobą też tłukły się zawzięcie. Śródmiejska z praską. Ci z Pragi wystawali przed pomnikiem Czterech Smutnych. To był jeszcze czas silnych antagonizmów dzielnicowych. Szmulki nie wpuszczały na swoje terytorium tych z Targówka. Targówek, Zacisze, Mokotów ostrzyły kosy na ferajnę z Czernia- kowa.

W naszej śródmiejskiej pikięcie oprócz wyżej wymienionych wyróżniali się dwaj nierozłączni przyjaciele jj Edek z Grochowa i Toniek, którego rodzice przywędrowali ze Lwowa. Toniek po mistrzowsku podrywał dziewczyny, kochał jazz i znał jego historię. Edek z Grochowa natomiast pluł tak celnie! Można mu było wskazać jakiegoś frajera i polecić, żeby trafił na klapę jego marynarki czy w daszek cyklistówki. Żadnej nie było dla niego trudności. Ponadto Edek często recytował głuchym głosem rymowane powiedzenie: Baba to stworzenie boże, co powinno stać w oborze. Lecz ze względu na kształt dupy chłop ją przeniósł do chałupy!

Jeszcze na dalszym planie majaczy taki jeden jąkała. Opowiadając coś, najchętniej posługiwał się gestami i mimiką; używał właściwie dwóch tylko słów: Wisz, teges.

Ponadto pozostał w pamięci pewien tancerz zawołany. Na zabawach z powodzeniem konkurował z Czar-kiem, królem pikiety. Wychowywała go ciotka i w ciemnym, zagraconym mieszkaniu posiadał pokaźny zbiór przedwojennych, kolorowych zeszytów z przygodami Boba Hantera, Kena Meynarda, Tornado Billa i sierżanta Kinga z Królewskiej Konnej Policji. Z dziewczyn najbardziej wyrazista pozostała Jadźka Tarlutudu. Ona w bójkach uczestniczyła na prawach chłopaka. Miała nieźle opanowany cios głową, a także w okamgnieniu zdejmowała bucik na wysokim obcasie i waliła przeciwników po łbach, pokrzykując z należytą rytmiką — Tar! Lu Tudu!

Poznikali wszyscy ci pikieciarze. Czasem tylko z nagła ktoś zamajaczy, jak postać wynurzająca się z mgły.

Jąkała mignął w latach 70. Prowadził jakieś roboty budowlane, na małym palcu nosił gruby, złoty fingiel. Była to w pewnych kręgach oznaka materialnej pozycji i jąkała pochwalił się swoim powodzeniem.

— Walnąłem sobie niezłą chałupkę — wydukał. — Przyjedź, zobaczysz.

Najczęściej spotykałem Tońka. Niebieski ptak. Utrzymywał się z dorywczych podejrzanych zajęć. Następnie debiutował jako naturszczyk w filmie „Milionerzy i filantropi”. Zwał się tam Parmezan. Wystąpił w kilku jeszcze innych filmach. Zachodził do Spatifu i popijał wódkę z aktorami. Jako gwiazda filmowa zgasł dosyć szybko i zajął się pokątnym handlem fdate- listyką. Kupował od małolatów za psie pieniądze albumy ze znaczkami, które oni wynosili z domu. Siedział w pudle. Wyjechał w Bieszczady. Wrócił. Był kelnerem. Zniknął bez śladu.

Edka z Grochowa zobaczyłem rok temu nocą na przystanku autobusowym. Nie zmienił się zbyt wiele. Chudy, posępny, z cieniutkim wąsikiem. Pracował jako kierowca betoniarki. Pochwaliłem go za dawną umiejętność plucia. Wzruszył ramionami.

— Mam wnuka — powiedział. — Niech on teraz pluje. Milcząc paliliśmy papierosy. Nadjechał jego autobus i musieliśmy się rozstać.

A tego, który tańczył po mistrzowsku, widziałem niedawno w Amatorskiej. Stał w kolejce po kawę i coś mamrotał gniewnie. Dziwacznie kurczyła mu się twarz. Jakby bezbronnie wystawiona na ciosy wrogiego świata zewnętrznego. Obejrzał się i poznał mnie od razu.

— Co słyhać, neskim? — zapytał, używając starego, bikiniarskiego zwrotu. — Mieszkasz za granicą, prawda? Wpadłeś zobaczyć, co się dzieje na starych śmieciach...

— Skąd! — zaprzeczyłem. — Mieszkam stale tutaj.

Stracił zainteresowanie moją osobą. Znów zaczął mamrotać gniewnie. Sprawiał wrażenie człowieka psychicznie chorego. Wsłuchałem się w jego monolog. Złorzeczył na wszystko. Na zbyt powolne parzenie kawy. Na pogodę paskudną. Na ludzi. Na brak pieniędzy.

— Kurwy! Kurwy! — kwitował każdą kwestię, jakby znał winowajców.

Dawny figo fago. Oskubany, biedny ptak.

57. NIECH SIĘ ŚWIĘCI 1 MAJA!

Wiesiek był dziarskim, wesołym chłopakiem i doskonale się prezentował w bateldresie, подарowanym przez stryjka, żołnierza korpusu Andersa. Co prawda nie mógł w tym stroju chodzić do szkoły i pokazywał się w nim tylko w kościele i na zabawach w parku. Podobał się dziewczynom i życie przedstawiało mu się całkiem przyjemnie. Dlatego to, co przydarzyło mu się w świetlicy, można nazwać fatalnym zbiegiem okoliczności. Wiesiek wraz z dwoma kolegami został wyznaczony przez zarząd koła ZMP do zmiany dekoracji w świetlicy jedenastoklasowej szkoły TPD. Był już uczniem przedostatniej, licealnej klasy. Zmiana dekoracji dotyczyła zbliżającego się pierwszego dnia maja. Święta Ludzi Pracy. Tam w świetlicy wypili sobie butelkę wina i próbowali tańczyć modne, lecz zakazane boogie-woogie i inne tańce. Ze ściany spadł portret Józefa Wissarionowicza Stalina. Szkło osłaniające oblicze Stalina potrzaskało się na kawałki i sama podobizna została rozdarta obcasem Wieśka czy któregoś z dwóch pozostałych uczniów. Nazajutrz w szkole nastąpił sądny dzień. Aktyw uczniowski i nauczycielski zgodnie potępił haniebny incydent, składając odpowiedni meldunek do powiatowego urzędu bezpieczeństwa. Przyjechały dwie czarne „cytryny”. Wieśka i dwóch jego współników powieziono do willi na ulicy Piłsudskiego. Ponieważ był najstarszy z tej trójki i nie cieszył się opinią wzorowego zetempowca, został uznany za prowodyrę zajścia. Spędził w odosobnieniu pół roku. Został wydalony ze szkoły i zaopatrzony w wilczy bilet. Wyuczył się fachu kierowcy i pracował w zaopatrzeniu handlu miejskiego. Służbę wojskową odbywał w karnej jednostce, zatrudnionej w kopalni przy urobku węgla. Po powrocie do cywila już nie przypominał dawnego Wieśka. Przedwcześnie wyłysiał, zgarbiony; skąpo cedził słowa i nieczęsto się śmiał.

A dalsze jego dzieje pozostały nadal silnie związane z tą fatalną aferą w szkolnej świetlicy. Wprawdzie Stalin już nie żył i jego panowanie zostało potępione jako czas kultu jednostki oraz błędów i wypaczeń — jednak Wiesiek co roku w przeddzień majowego święta bywał zabierany z domu do aresztu milicyjnego i tam spędzał 24 godziny. Stosowano wtedy taką prewencję, polegającą na zatrzymywaniu w odosobnieniu elementów reakcyjnych i aspołecznych, aby swą obecnością na wolności nie zakłócały radosnego nastroju pochodów, akademii i festynów. W przypadku Wieśka ten środek zapobiegawczy stosowali konsekwentnie i nawet nie uratowało go zaświadczenie lekarskie, jakie któregoś razu przedstawił funkcjonariuszom MO.

Dopiero od 1960 roku przestali przychodzić po niego. Chociaż jeszcze zdarzały się sporadycznie takie lata, kiedy przypominali sobie o nim. W 1968 roku na przykład. No, ale od lat ma już spokój. Jednak zawsze schyłek dnia poprzedzającego 1 Maja kojarzy mu się uporczywie z wieczorną wizytą funkcjonariuszy.

Siedzi. Czeka. Wszystko mu się przypomina.

— Psiakrew! — otrząsa się wreszcie. — Co za baran ze mnie!

58. NAUCZYCIELE NA TORACH

Bywali nauczyciele. Oddani bez reszty niewdzięcznej misji kształcenia dzieci i młodzieży. Rozmiłowani w przedmiotach, których nauczali. Szczególnie fizyków i matematyków cechowała pasja w zgłębianiu swoich dziedzin. Niektórzy z nich skrywali nawet ambicje i pragnienia znacznie głębsze od pedagogicznych.

Była zima i ciemność. Rok 1948, może 1949. Ścisłe ustalenia niemożliwe. Większość naocznych świadków spoczywa w ziemi. Dla pozostałych tamten czas jest magmą trudną do chronologicznego uporządkowania.

Nasza kolejka EKD jak zwykle na odcinku między ostatnim przystankiem we Włochach i skrzyżowaniem z linią do Podkowy Leśnej i Grodziska Mazowieckiego zaczęła nabierać szybkości. Pęd i łoskot. Nagle rozległ się sygnał dźwiękowy. Motorniczy już dzwonił raz po raz. Równocześnie zaczął zwalniać. Wzbudził zainteresowanie pasażerów. Niektórzy próbowali otworzyć okna. Stojący na pomoście uchylili drzwi i patrzyli w ciemność na torach. Dzwonek motorniczego brzmiał coraz bardziej natarczywie. Na torach w niedalekiej odległości zamajaczyła ludzka sylwetka. Ktoś szedł i nie reagował na ostrzeżenie. Motorniczy zahamował gwałtownie. Rozległ się zgrzyt. Wagoniki stuknęły o siebie jak konie zatrzymane w pędzie. Chwilę jeszcze toczyły się siłą bezwładu. Stanęliśmy. Motorniczy wyskoczył z kabiny.

Ty dziadu jeden! — wykrzyknął. — Głuchy jesteś!

Przed kolejką w odległości kilkunastu metrów stał człowiek. Dopiero teraz odwrócił głowę. Rozległy się chichoty. Pasażerowie rozpoznali go od razu.

Był to nauczyciel fizyki w siedmioklasowej szkole powszechnej we Włochach, pan Borowicz.

Barczysty, zgarbiony, na szeroko rozstawionych, krzywych nogach; poły rozpiętej jesionki powiewały jak skrzydła, pod pachą dźwigał wypchaną tekę. Sprawiał wrażenie człowieka, który ocknął się dopiero w tej chwili.

— Pan profesor zamyślił się! — ludzie ze śmiechem komentowali incydent.

Nauczyciel fizyki, pan Borowicz, stary kawaler i samotnik, znany był ze swego roztargnienia i życia oderwanego od trywialnej codzienności. Był to fizyk zamiłowany i gruba teka, którą dźwigał pod pachą, zawierała jego słynny wynalazek. Pracował nad nim od lat i z postępu prac nie zwierzał się nikomu. Strzegł starannie swojej tajemnicy i z obawy przed ludzką ciekawością, nigdy nie rozstawał się z teczką. Podobno wynalazek był już na etapie końcowego opracowania (tak wyznał mojemu ojcu, do niego najwięcej miał zaufania) i teraz na torach też musiał nim mieć zaprzątniętą głowę.

Pan Borowicz swego przedmiotu uczył z zapałem, wiedzę posiadał ogromną, tylko niewiele posłuchu u dziatwy szkolnej. Wyśmiewano się z niego i naśladowano jego niedźwiedzi, niezgrabny chód. Nade wszystko jednak uczniowie próbowali zajrzeć do jego tajemniczej teczki. Wtedy pan Borowicz wpadał w złość i stawał się naprawdę groźny. Mieszkał kątem u jednego z podwło-

chowskich ogrodników i jego abnegacja posunięta była do ostateczności. Zapominał o posiłkach, goleniu się, myciu i często mój ojciec, chrząkając wypominał mu jego wygląd. „Kolego, trzeba się ogolić”. A czasem nawet przypominał mu przed lekcją o zapięciu guzików rozporka. Był wyłącznie pochłonięty fizyką i swoim wynalazkiem.

Teraz także jego czerwone z zimna dłonie kurczowo zaciskały się na tej wypchanej tece obwiązanej postronkami. Zawstydzony zszedł z nasypu kolejowego i swym niezgrabnym krokiem ruszył ścieżką między polami w stronę dalekiego światelka gospodarskich zabudowań.

Drugi raz niecierpliwy, ostrzegawczy sygnał dzwonka zabrzmiał w jasny, pogodny dzień. Może to była wiosna po zimie 1948 roku? Tym razem sygnał motorniczego był mniej gwałtowny. Ale też zwracał uwagę na niebezpieczeństwo. Pasażerowie zaczęli wyglądać z okien wagonów. W odległości kilkudziesięciu metrów tuż przy torach widać było trzech mężczyzn.

Padają rozmaite przypuszczenia. Wypadek? Ktoś został potrącony.

A zażywna jejmość, która w ogóle nie ruszyła się z miejsca, stwierdziła kategorycznie: „Pewno komuś obcięło nogę!”

Kolejka już bardzo wolno zbliżała się do tych mężczyzn przy torze. Jeden klęczał, dwaj byli pochyleni. Wpatrywali się w ziemię, właściwie w piasek ze żwirem, którym było wysypane pobocze torów. Gestykulowali, bardzo zaaferowani. Byli to trzej nauczyciele, matematycy. Wśród nich mój ojciec. Wracali z posiedzenia rady pedagogicznej i rozgrzał ich po drodze pewien geometryczny problem. Przystanęli więc i wyrysowali patykiem trapez czy inną figurę na żwirze. Przystąpili do obliczania jednego z jej boków i powstał spór co do metody. Problem pochłonął ich bez reszty.

Motorniczy, który był dawnym uczniem jednego z tych pedagogów, uklonił im się grzecznie i delikatnie przestrzegł przed zbyt niebezpiecznym zbliżaniem się do torów.

Tacy to byli nauczyciele.

59. MURZYNI Z POLONII

Pan August był muzykiem. Grał na perkusji w kawiarnianej orkiestrze. Latami widziało się jego twarz koloru sadzy i wełnistą czuprynę, zrazu czarną, potem popielatą z powodu siwizny. Orkiestra w hotelowej kawiarni przygrywała gościom od godzin popołudniowych do późnego wieczora. Najczęściej słyszało się „Walc” Brahmsa, „Na perskim rynku”, „Lekką kawalerię”, „Gdy wieczorne biją dzwony” i pan August stanowił egzotyczny kwiat pośród muzyków o typowych, nizinno-słowiańskich urodach. Był warszawskim Murzynem od lat osiadłym w tym mieście i zaakceptowanym przez jego mieszkańców. Starannie ubrany, zawsze w garniturze i nieskazitelnie białej koszuli, wyglądał godnie i reprezentacyjnie. A kiedy się odzywał, rozkoszą było słyszeć polską mowę w warszawskim wydaniu, zabarwioną akcentem i intonacją właściwą tylko rdzennym warszawiakom. Śmiał się wspaniale, odsłaniając imponujący komplet białych zębów. Jak wszyscy w tym mieście początkowo stawał na Mikołajczyka, czekał na Andersa, a później w czasie stalinizmu liczył się ze słowami i podobno nawet chodził w pierwszomajowym pochodzie, żeby nie podpaść. Niebagatelną rolę w jego popularności odgrywał fakt, że był jednym z bohaterów Cafe pod minogą powieści Wiecha z lat okupacji. Niewątpliwa nobilitacja.

Byłem siedemnastoletnim chłopakiem, w którego wyobraźni mieszały się jak w tyglu strzępy rozmaitych lektur, poczynając od książek o podróżach do Afryki sławnych odkrywców takich jak Mungo Park, Cecil Rhodes, Livingstone, Stanley po Chatę wuja Toma i Murzyna z załogi Narcyza, patrząc więc na tego warszawskiego Murzyna, zastanawiałem się, skąd pochodzi. Senegal, Kamerun, Tanganika, Liberia? Kafrowie, Bantu, Masaje... A może z Ameryki, potomek niewolników z plantacji trzciny cukrowej, bawełny? Czy ma krewnych tam, skąd przybył? Zadawałem sobie wiele podobnych pytań i znikąd nie mogłem otrzymać odpowiedzi. Tym bardziej to fascynujące, że pan August przecież tak bardzo był pogrążony w kłębowisku spraw warszawskiego półświatka (paserzy, dziewczyny, pokątny handel, muzyczne kontrakty) — trudno go było sobie wyobrazić gdzieś w dżungli nad rzeką Limpopo przy ognisku z innymi wojownikami w lamparcich skórkach, słuchającego głuchego stukotu tam-tamów. Dowiedziałem się tylko tyle, iż znalazł się w Warszawie z początkiem okupacji, grał w nocnej orkiestrze Adrii i po wojnie jeszcze przed Polonią, grywał w lokaliku pod efektowną nazwą Huragan (czas parterowej Marszałkowskiej), poznał jakąś kobietę, ożenił się z nią i tak zapuścił korzenie w warszawską glebę.

W 1955 roku po Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów pojawił się w Polonii młody Murzyn o kulach. Nogi miał sparaliżowane i wspierając się na kulach, sunął żwawo i zręcznie wśród kawiarnianych stolików. Niski, potężnie rozrosły tors w kontraście do cienkich, bezwładnych nóg, bardzo czarny aż hebanowy. Podobno był bojownikiem o wyzwolenie jakiejś kolonii w Afryce. Synem króla czy kacyka. Podobno pisał książki i artykuły. Ścigany przez władze kolonialne. Przebywał jakiś czas w ZSRR i stamtąd przyjechał do

nas. Klapę jego marynarki ozdabiała czerwona gwiazda z podobizną Lenina. Mieszkał w hotelowym apartamencie i całymi dniami przesiadywał w kawiarni i restauracji. Nocą schodził na Dołek. Nauczył się całkiem niezłe po polsku i szybko, bez żadnych uprzedzeń rasowych został przyjęty przez środowisko tutejszych dziewczyn i ich opiekunów. Wesoly, życzliwy. Stawiał hojnie i nie odmawiał pożyczek.

„Mój Sambo” — mówiła Edytka, blondyna z okazałym biustem, gładząc go jak lalkę po twarzy i wełnistej, jakby karbowanej czuprynie.

Przyciskał głowę do jej imponujących piersi. Pieszczoch! Inne dziewczyny też lubiły tego afrykańskiego gościa.

„Słodki czarnuszek” — takim go obdarzały komplementem zapewne nie tylko bezinteresownie. Zniknął równie nagle, jak się pojawił. Nastąpiło to około 1961 roku. Nigdy nie dowiedziałem się, czy pan August znał tego młodego Murzyna o kulach. Czy ich ścieżki skrzyżowały się. Może pan August wtedy już przestał grać w Polonii?

Później nikt z egzotycznych przybyszów nie zaznaczył się tak trwale jak ci dwaj. Epizodycznie jeszcze bywał tam pewien Mulat. Był to cwaniak z Gdyni. Dolary, złoto, marynarski przemyt. Podobno był owocem związku portowej dziewczyny z matrosem zagranicznego frachtowca. W tamtych czasach oko łowiło chciwie każdą odmienność. „Priwiślanskij” kraj był tak monotony, żadnej różnorodności. Ale już w latach 70. kolory i rasy znacznie spowszedniały. Nie wiem, czy ktokolwiek z młodych potem wstępujących w życie myślał tak bardzo intensywnie i wyobrażał sobie tak wiele, spoglądając na jakiegoś ciemnoskórego przybysza z daleka?

60. OBIADY DOMOWE NA CHMIELNEJ

Chmielna przez cały socjalizm zachowała się jako relikwium przeszłości. Pozostała enklawą małych sklepików, warsztatów, zegarmistrzów, jubilerów, grawerów. Przetrwały nawet niektóre przedwojenne firmy. Szewc Kielman, inni. Biczem satyry chłostano ich często (patrz: August Bęcwałski), a oni to cierpliwie znosili. Gnębiono domiarami. Jakoś wytrzymywali. Architektoniczny charakter ulicy też był stary. Kamienice, bramy, oficyny, podwórza-studnie. Kino Atlantic, hotel Terminus trwały niby pomniki dawnego miasta. Mowa na ulicy dłużej się uchowała niż gdzie indziej. Warszawska w kolorycie, soczysta, żartobliwie cyniczna. A oficjalnie Chmielna nazywała się Rutkowskiego. Od nazwiska komunisty, członka KPP, skazanego przez sąd wojskowy na karę śmierci. Bohater walki z wyzyskiem, kapitalizmem. Starsi ludzie po cichu mówili, że pracował dla sowieckiego wywiadu. Nie wiadomo. Zagmatwana jest historia komunizmu wschodniego i do tej pory uczeni badacze się spierają czy to bardziej agentura, czy ideowa gorączka. W każdym razie w kinie Atlantic w latach 50. obejrzałem amerykańskie filmy: „Mściwy Jastrząb”, „Bohaterki Pacyfiku”, „Pięciu zuchów” i do „Jasných łanów”, „Piątki z ulicy Barskiej” i „Pokolenia” miałem już bardziej sceptyczny stosunek.

Na Chmielnej nie opodał jej przecięcia z ulicą Zgo

da, gdzie stał dawny dom handlowy braci Jabłkowskich, w starej, odartej z tynku, podziobanej śladami pocisków kamienicy na trzecim piętrze, wydawano obiady domowe. Mieszkanie było ogromne, pięciopokojowe i w kuchni mieściła się ta jadłodajnia. Prywatna inicjatywa w gastronomii została już do szczętu zlikwidowana i z tej kuchni zachowałem trwałe wspomnienia czegoś, co tylko tam pozostało. Zrazy po nelsonsku z grzybami, gołąbki w sosie własnym z majerankiem, kotlety mielone z marchewką i groszkiem, pyzy ze skwarkami czy rzymska pieczeń. A zupy! Kapuśniak, kartoflanka, pomidorowa, grochówka. Można było brać dokładkę. Ceny przystępne dla średniej kieszeni. Stołownicy to w przewadze rzemieślnicy, kupcy, urzędnicy, okrasę stanowili przedstawiciele palestry i kompozytor Augustyn Bloch. Bywałem tam dzięki protekcji swojej siostry i zapamiętałem atmosferę tego wnętrza z wielką, fajerkową kuchnią, stołem z surowego drewna, przykrytym ceratą i dwoma stoliczkami — dostawkami. Czasem w kuchni pojawiał się właściciel mieszkania, pan inżynier S., chudziutki staruszek w garniturze i pod krawatem; klapy marynarki okropnie zatłuszczone. Jako właściciel lokalu, który dzierżawił kuchnię dla celów obiadowych, miał prawo do bezpłatnego posiłku. Pochłaniał ogromne ilości zupy, kotletów, sałatek, co wcale nie poprawiało jego wyglądu zasuszonej mumii. Patrzyłem na niego z podziwem i myślałem o jego jedynaku, który był żarliwym komunistą, zetwumowcem, zetempowcem i bojowym dziennikarzem; na wzór towarzysza Mao nosił niebieskawy uniform, zapinany pod szyją. Przywiózł dwa takie komplety z reporterskiej wyprawy do Chin. Nigdy go w tym mieszkaniu nie widziałem. Może wyrzekł się swego mieszczańskiego ojca? W tym domu nastawienie było zdecydowanie reakcyjne. Po cichu opowiadano sobie dowcipy polityczne

i w dzień śmierci Stalina nikt tam nie płakał. Obiady gotowały dwie starsze panie obcego klasowo pochodzenia. Jedna to eks-ziemianka („bezet" jak mówiono wtedy), druga zaś przed wojną piastowała stanowisko prokurentki w znanym domu bankowym. Przewracając na patelni skwierczące schabowe brały żywy udział w rozmowach o najnowszych książkach Iwaszkiewicza, Andrzejewskiego lub muzycznej wirtuozerii Ojstracha, Belli Dawidowicz, wspominając w tym kontekście Józefa Hoffmana. Wiekowy mecenas P. żywo i barwnie relacjonował przedwojenne procesy i ekstrawagancje obrońcy Hofmoka-Ostrowskiego. Obie panie też coś do tego sądowego wątku dorzucały. Były zawsze pogodne, życzliwe światu i ludziom. Dzielnie znosiły przeciwności losu w postaci donosów, domiarów i trwały na swym posterunku do późnych lat 60. Jedna z nich umarła, a druga osiągnąwszy osiemdziesiąt pięć lat poczuła ciężar wieku i zrezygnowała.

Teraz Chmielna bucha handlową wolnością i konkurencją. Pełno sklepów, kantorów, butików, lombardów, pizzerii, hamburgerów, hot-dogów. Tylko nie ma już obiadów domowych. Śladu po nich nie pozostało.

Natomiast syna inżyniera S. spotkałem niedawno przypadkiem. Rozgoryczony rozbitek. Jego umysł doktrynera i fanatyka źle trawi dzisiejsze czasy. Nienawidzi dawnych towarzyszy partyjnych, którzy w tym naszym niby-kapitalizmie czują się jak ryby w wodzie.

61. ZAPOMNIANA BITWA

Walka klasowa wcale nie była abstrakcyjnym wymysłem Marksa. Ta, o której będzie mowa, rozegrała się w bliskiej nam rzeczywistości i w dosyć specyficznym środowisku. Lecz przebieg miała ostry i zdecydowanie klasowy. Przystąpić należy do rekonstrukcji wydarzenia, które przypomniał Ziutek Kogut, znawca ówczesnej Warszawy. Był to początek 1955 roku. Siarczyste mrozy mocno dawały się we znaki i atak zimy między innymi mógł stać się przyczyną konfliktu. Rzecz działa się późnym wieczorem i sceną stała się Stodoła — lokal rozrywkowy na Emilii Plater. Dziewczyny z okolicznych ulic wtargnęły pokaźnym stadem do jej wnętrza. Na pewno ciepło tego przybytku, co prawda skąpo opalanego piecami, ale za to odpowiednio nagrzanego gorączką tyłu pijących i tańczących osób, przyciągnęło ulicznice. Tufty, rogówki, gruzinki, wytychy — wieloma obdarzano je epitetami — stanęły w progu, patrząc z przyjemnością na tańce i biesiadę. Niedługo jednak cieszyły się sielskim widokiem zabawy w ogromnej hali tego baraku, który przedtem był stołówką budowniczych Pałacu Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina. Bo natychmiast powstały od stolików tutejsze profesjonalistki, tak zwane lokalówki. One nie chodziły po ulicach, tylko urzędowały w kawiarniach i restauracjach. Stanowiły wyższą klasę zawodu.

Powstały i równie liczną gromadą zaczęły postępować groźnie w stronę tamtych. Poczuły się zagrożone w suwerennej strefie swoich działań. Było bowiem niepisanim prawem przestrzeganie stref działania. Ulicznice nie miały dostępu do nocnych lokali. Także odwrotnie: jeżeli lokalówki znalazły się przypadkiem na wolnym powietrzu, mogły być narażone na różne przykrości, bez odwołania. Tym razem zaczęło się od utarczki słownej, coraz bardziej burzliwej, z rosnącą liczbą wyzwisk. Jeszcze dwie strony konfliktu posługiwały się argumentami i panowała pewna logika w sporze. Ulicznice miały poważne zastrzeżenia co do statusu Stodoły. Czy jest to rzeczywiście prawdziwy nocny lokal? Czy tylko jakiś twór przejściowy dostępny zarówno dla wyższej kategorii kurtyzan, jak i niższej. Wagę wątpliwości podnosił fakt, że nie przestrzegano tutaj obowiązku zdawania w szatni wierzchniej odzieży. Lokalówki jednak nie uznały tej argumentacji twierdząc, iż każdy nocny lokal, niezależnie od pewnych odchyłeń, pozostaje lokalem i jako taki jest wyłączną domeną ich użytkowania. Polemika słowna wyczerpała swoje możliwości i strony zderzyły się ze sobą zaciekle. Dziewczyny szarpały się za fryzury, orały sobie pazurami twarze, ścigały bućki i waliły się nimi gdzie popadło. Niektóre wykazywały męskie talenty w walce. Wyprowadzały celne ciosy punktowe, strzelały tak zwanym bykiem, czyli główką. Poszły w ruch butelki, wszelkie szkło. Nieoczekiwanie do boju włączyli się mężczyźni. Sutenerzy jednego i drugiego ugrupowania wkroczyli do akcji z zapalem prawdziwych rycerzy swoich dam. Jedni tłukli drugich. Rozgorzała bardzo poważna bijatyka, z użyciem krzesel oraz innych ciężkich, twardych i ostrych narzędzi. Takie widowiska budzą nawet w aniołach łagodnego usposobienia krwawe namiętności i wkrótce cała obecna w Stodole płeć męska po

dzieliła się na dwa stronnictwa. Jedni obstawali za lokami, drudzy — za ulicznymi. I równie ostro wzięli się za łby.

Orkiestra na podium grała nadal, lecz wrzaski walczących stały się już głośniejsze od muzyki. Nim przybyły oddziały milicyjne z Komendy Stołecznej, wiele osób odniosło poważne obrażenia. Kilka spoczywało bez przytomności na podłodze, a krew obficie znaczyła ściany i stoły. Pewną liczbę uczestników i uczestniczek zajścia załadowano na ciężarówkę i powieziono do aresztu. Zaciekłość walczących stron była tak wielka, że jeszcze w ciężarówce szarpano się i obrzucano obelgami. Zapewne niektóre z zatrzymanych osób skazane zostały na wysiedlenie z Warszawy. Stosowano wtedy taką karę wobec elementów aspołecznych. Zielona Góra była ulubionym miejscem zsyłki.

W każdym razie Stodoła zawiesiła swą działalność rozrywkową na resztę nocy, poświęcając ten czas na usuwanie zniszczeń spowodowanych incydentem. Długo jeszcze Warszawa wspominała bitkę wywołaną przez kobiety. Potem zamknięto Stodołę, czasy się zmieniły i zapomniano o tym zupełnie. Dzięki Ziutkowi Kogutowi, jednemu z ostatnich żyjących uczestników wydarzenia, rzecz całą przywracamy dla potomności. ♦ * *

Ps. Zwracam się do pozostałych świadków tego wydarzenia z prośbą o ewentualne uzupełnienie powyższego opisu.

62. DOLCE VITA

Dawniej nazywała się Parana. Na parterze wzniesionego w latach 60. kilkupiętrowego domu mieszkalnego. Róg Marszałkowskiej i Sadowej. Sadowa dawniej nazywała się Księdza Skorupki, lecz ze względu na rolę bohaterskiego księdza w wojnie z bolszewikami w 20. roku, PRL przywrócił jeszcze dawniejszą nazwę ulicy. Przez lata dominowały tu gruzy i ocalałe gdzieś partery, w których zaraz po wojnie powstawały prowizoryczne sklepiki, kawiarnie, szynki. Na przeciwległym rogu zachował się wielki dom z czerwonej cegły, przypominający gotycki kasztel. Przed bramą tego domu wystawała pewna dama wiadomej konduity, zwana nie wiedzieć czemu Krwawą Adelą. Weteranka profesji, musiała debiutować przed wojną. Była monumentalna,

0 upiornie wymalowanej twarzy, z kruczym tapirem (może peruką) na głowie. Wyglądała jak pogromczyni dzikich zwierząt i prawie każdy z przechodniów rodzaju męskiego spoglądał na nią skrycie. Chętnych zapraszała w głąb bramy, skąd droga prowadziła do piwnic. Pobliska Parana miała charakter baru szybkiej obsługi, druga sala zaś przeznaczona była na kawiarnię. Od razu stała się miejscem spotkań graczy na wyścigach konnych. Zbierali się starzy i młodzi, studiowali programy

1 zaznaczali ołówkiem swoje typy na polu. W dni wyścigowe panował tutaj nastrój gorączki. Przychodzili po-

kątni bukmacherzy, trenerzy, dżokeje. Ozdobą towarzystwa byli niewątpliwie bracia Chatizow, Leon i Kola. Legendarna rodzina koniarzy. Osetyńcy. Ojciec Konstanty Chatizow z dalekiego Kaukazu, słynny jeździec w carskiej jeszcze Rosji. Przybył do Polski po rewolucji sowieckiej i zasłynął jako dżokej, później trener na Polu Mokotowskim. Był zdobywcą Wielkiej Pardubickiej. Jego syn Leon został również dżokejem. A młodszy Kola przed wojną ukończył podchorążówkę w Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu, brał udział w kampanii wrześniowej jako artylerzysta konny i w czasach Parany zajmował się bukmacherką, uprawiając jeszcze inne rodzaje hazardu. Bracia Chatizow traktowani byli z estymą i ich opinii o faworytach na polu wysłuchiowano w nabożnym skupieniu. Będąc wielbicielem Hadzi Murata wyobrażałem sobie czasem braci Chatizow w narodowych góralskich strojach, jako dżigitów walczących po stronie Szamila z armią księcia Woroncowa.

Przychodzili tutaj również inni osobliwi ludzie. Co dzień w południe można było zobaczyć godnego starca, wspierającego się na lasce z rzeźbioną rączką okutą srebrem. W zimie nosił staroświecką pelisę z bobrowym kołnierzem, czapę także miał futrzaną i zachowywał się dumnie, zgoła po pańsku. Podobno był właścicielem kamienicy, która niegdyś stała w tym miejscu i z nawyku wracał na stare śmieci. Starzec ów nie był graczem, siadywał gdzieś na uboczu i godzinami tkwił nieruchomo, wlepiając martwe, szkliste oczy przed siebie. Drugi starzec, Heniek Mądry, zaliczał się do konfraterni wyścigowej. Bardzo wiekowy, lecz dziarski. Zachował spojrzenie chłopaka z miasta; zawzięte, pełne energii. Grał we wszystko, poczynając od numerów na banknotach, a kończąc na dziecinnej ruletce. Opowiadał chętnie o starej Warszawie. Pamiętał jeszcze konne tramwaje

POWIDOKI 227

i Felusia Zdankiewicza z Kercelaka. Nie rozstawał się z kartami i czasem sam ze sobą grał w oczko. Jego przezwisko — Mądry, przydano mu z szacunku. Nigdy nie pracował.

Parana (choć byle jaka, socjalistyczny standard baru) miała w sobie jakiś magnes. Schodziła się tutaj prawdziwa dawna Warszawa. Zaglądał Wiech, który miał wątpliwości co do tytułu mojej książki Benek Kwaciarczyk.

— Po warszawsku powinno być Beniek — stwierdzał.

— Wyjątek od reguły — odpowiadałem.

Nieraz widziałem Adolfa Dymkę, witanego zawsze z gorącą sympatią. Także Antoniego Jaksztasa, popularnego konferansjera lat 50. i jego brata Jurka, hazardzistę jakich mało. A młodzi bywalcy szybko chwyтали warszawskiego bakcyła. Działał czar starych wspomnień, ludzi. Siła zaklęta w tym miejscu. Nie wiadomo, co było powodem.

Kilka lat temu zamknięto Paranę i na szybie wypisano czarną farbą — Remont. Długi to był remont. Rok bez mała trwał. Otworzono nowy lokal pod optymistyczną nazwą — Dolce Vita. Biel i marmury. W pierwszej sali serwowano włoskie lody, kilkanaście smaków. Druga sala nazwana Steak and Salad oferowała rozmaite dania gorące. Lody ściągały tabuny młodzieży. Steak and Salad była raczej pustawa. Przez pół roku ani śladu starych bywalców. Wymiotło ich zupełnie. Sytuacja zaczęła się normalizować wiosną ubiegłego roku wraz z początkiem sezonu wyścigowego. Znowu zjawili się starzy i młodzi gracze. Znowu studiują programy i dyskutują namiętnie o wierzchowcach. Kilku omszałych starców ozdabia to zacne grono. Nie ma już Koli Chatizowa. Odszedł Heniek Mądry. Pojawili się jednak ich sukcesorzy. Parana górą i można to nazwać zwycięstwem ducha nad materią.

63. ARTYSTA ŻYCIA

Ludzie często pragną być kimś więcej, niż są w istocie. Lub kimś innym, barwniejszym, ciekawszym. W tamtych latach koszarowej rzeczywistości, straszącej zewsząd wrogiem, zdradą, szpiegostwem, reakcyjnym podziemiem i czymś tam jeszcze — tak pragnąć było znacznie trudniej. Dużo to kosztowało wysiłku i tak mało pozostało wzorców godnych naśladowania. Powysychały stare źródła inspiracji, a nowych brakowało. Jednak ludzie bardzo chcieli wznosić się wyżej. Bardzo szukali skrzydeł.

Kazek z Przasnysza przechodził do Polonii. Specjalność: kieszeń, nie gardził też włamankiem, jak powiadał. Zawsze nosił w klapie znaczek ze Stalinem i z dziecięcą ochotą wcielał się w wyższego aktywistę partyjnego. Słabo znał komunistyczny żargon i ich rytuał: nieporadnie udawał. Ale i tak znajdowali się naiwni. Oszukał kilku na konto Stalina i kiedy go aresztowano, bronił swego znaczka w klapie niby prawdziwy ideowiec w kapitalistycznych kazamatach. „To mój fart” wołał.

Waldek Szramka, celowy kwarantanny na Gęsiówce tak pięknie opowiadał o swych kochankach, apartamentach, gdzie leją się kosztowne trunki i podłogi są wyściełane perskimi dywanami. A mieszkał przecież w cuchnącej, zagraconej melinie i dwie jego niezbyt urodziwe kobiety chodziły na ulicę. Musio, mój przyjaciel z dziecinnych lat... Jego znów roznosiła potrzeba zwracania na siebie uwagi, czynów niebywałych, sukcesów duchowych i materialnych. Toteż po podkradnięciu z pugilaresu swojej babki znacznej sumy pieniędzy, zaprosił mnie wraz z innymi kolegami do Dzika i fundował najdroższe dania, przechwalając się skokiem. W jego fantazji był to skok, napad, śmiała kradzież, która przyniosła tyle złota, biżuterii, pieniędzy. I na koniec zawołał głosem wyrostka przechodzącego mutację: „Jeszcze podajcie serce jelenia!” Jako że knajpa miała za specjalność dziczyznę. Tego smakołyku kuchnia nie posiadała, a Musio i tak na pewno wszystkie pieniądze wyciągnięte spod poduszki śpiącej babci wydał na fundę dla nas. Jurek Miller, który nosił pusty futerał po skrzypcach i udawał wirtuoza, grał swą rolę niby nowy Paganini. Jędrek J., szaleniec z impetem, czując nieprzepatą potrzebę zmiany swego przyziemnego statusu, raz był milicjantem i pobierał mandaty, to jako poseł, śmiały rzecznik bolączek szarych, biednych ludzi, zdemaskowany został aż w Jeleniej Górze. Inni jeszcze heroiczni odnowiciele zmieniali swą osobowość, profesję, wszystko! Nie każdy z nich wytrzymał siłę narzuconego sobie ciśnienia i widywałem takiego, co zwariował — naprawdę uwierzył, iż jest dyplomatą ambasady zachodniego mocarstwa. Nazywany był Attache.

Do tej artystycznej gildii niezmordowanych w inwencji wirtuozów sztuki życia należał Tadek Fryzjer. Pracował w jednym z tych małych „salonów męskich”, które zachowały się w ruderach Złotej. Tam trzaskając nożyczkami i ostrząc brzytwę na pasku — czasem spoglądał przez okno popstrzone przez muchy i i aż go odrzucało. Uciekał w świat swojej fantazji. Skalę poczynań miał szeroką. Pamiętam bardzo dawny czas, kiedy Tadek napisał powieść sensacyjną. Jej akcja toczyła się

na naszym przedmieściu. Była osnuta na słusznym ideologicznie schemacie: penetracji agentów CIA i wywiadu Gehlena na terenie Warszawy. Dzielni pracownicy kontrwywiadu demaskują wroga. Szermował pięknie oprawionym maszynopisem. Zgłosił się po stypendium twórcze do komendy milicji. Pertraktował z władzami miasta o wydanie utworu. Odwiedził także ZLP i o mały włos nie został członkiem koła młodych literatów, choć miał już pod czterdziestkę. Chciał sobie odmienić życie. Później zorganizował sieć akwizytorów, zbierających po wsiach zamówienia na kolorowe portrety z fotografii, sporządzane z okazji ślubów, chrztów itp. Był szefem firmy i swoich ludzi przyjmował w kawiarni Pod kurantem. Rzecz zakończyła się upadkiem firmy i długim śledztwem milicyjnym. Jeszcze później niezłomny Tadek Fryzjer zakładał spółdzielnię zabawkarską inwalidów. W czasach Gierka był mistrzem organizowania uczt weselnych i innych uroczystych przyjęć. Zniknął ze znacznymi zadatkami pobranymi na ten cel i z głębokiej konspiracji wydobyły go dopiero organa ścigania. Siedział w pudle jakiś czas. Po powrocie z odsiadki pracował znów w swoim fachu. Strzygł, golił, ale najwidoczniej myślał o czymś innym — wzrok miał nieobecny i często kaleczył klientów. Jeszcze w jego życiu zaistniała jakaś wdowa, sklepy, to i owo. Z tą wdową nie wytrzymał długo. Ona go chciała kupić, on ją przechytryć. Wiecznie zabiegany, pełno spraw do załatwienia, zawsze kropelki potu na czole i wzdłuż nosa, oczy płonące. Niewysoki, barczysty, szybki w ruchach. Tadek Fryzjera ostatni raz spotkałem tuż przed Gdańskim Sierpniem. Był po zawale. Pracował jako zaopatrzeniowiec szkolnych stołówek. Roztoczył przede mną jakieś miraże. Kipiał pomysłami. Umarł w pędzie. Dopadł go drugi zawał. Wyobrażam sobie zawsze, że w tych ostatnich chwilach miał jeszcze jakąś nową ideę do wcielenia w życie, ale już zabrakło mu czasu. Jeżeli dusza jest nieśmiertelna, to tam gdzieś wysoko Tadek dusza nie próżnuje. O, nie!

64. KONIEC DROGI

Jeżeli wyobrazić sobie życie w mieście jako wędrówkę, to początek następuje przeważnie w szpitalu położniczym, a potem trwa wieloletnie przemierzanie ulic, nieustanna wędrówka w zamkniętym obszarze, żeby wreszcie... Ale nie należy przedwcześnie doprowadzać rzeczy całej do finału. Otóż nie jest to ulica newralgiczna dla komunikacji miejskiej i nawet w dzisiejszych czasach rosnącej motoryzacji ruch na niej panuje znacznie mniejszy niż gdzie indziej. Nadal zachowała pewną ustronność i w przewodzie zabudowana jest ocalałą, przedwojenną architekturą. Biegnie od ulicy Tytusa Chałubińskiego i dochodzi do placu Starynkiewicza, wciśnięta z jednej strony między kompleks budynków Szpitala Dzieciątka Jezus, a z drugiej swej strony od Koszykowej, również ciągnie się zabudowa szpitalno- - medyczna. Ulica, o której mowa, nazwana została imieniem sławnego medyka z dawnych czasów Wojciecha Oczki i mieszczą się przy niej rozmaite instytuty i zakłady nauczania młodych adeptów medycyny. Jednak najbardziej znana jest z powodu kostnicy, gdzie lokuje się ciała nieboszczyków. Dlatego nade wszystko kojarzy się z końcem drogi rozumianej jako przejście życia w śmierć. Pobliskie szpitale i kliniki także kojarzą się z częstymi przypadkami zejścia ze świata doczesnego i ich wielość w kwartale wyżej wymienionych ulic logicz

POWIDOKI 233

nie uzasadnia istnienie tutaj przechowalni zwłok. Historycznej pikanterii dodaje fakt, że w czasach PRL-u przy nieodległej przecież ulicy Tytusa Chałubińskiego wielki, szary gmach zajmowała tzw. informacja wojskowa, której piwnice słynęły ze szczególnie okrutnego śledztwa i wielu osadzonych tam więźniów zostało zakatowa- nych na śmierć lub wysłanych wyrokiem sądu na egzekucję. Co prawda ofiary z tych katowni „informacji” na pewno nie były przekazywane do kostnicy. Lecz ze względu na to szczególne otoczenie, kostnica przy ulicy Wojciecha Oczki osadzona jest w kręgu chorób, tragicznych wypadków i nagłych zejść. Otoczona nadto aurą pamięci o okropnościach, jakie ludzie ludziom zgotowali. A choć przy tej ulicy mieści się klub medyka, gdzie gromadzi się dużo wesołej młodzieży, urządzone są tam potańcówki i występują kabarety, to przecież kostnica, a nie klub medyka posiada dominujące znaczenie i sprawia, że nastrój skupienia i powagi ogarnia przechodniów. Szpitalny mur z jednej strony i wjazd na podwórze kostnicy po drugiej stronie. Często tu widać grupki ludzi w czarnych, żałobnych strojach. Rozmawiają przyciszonymi głosami. Oczekują na wyprowadzenie bliskiego im zmarłego w ostatnią drogę. Z tyłu kostnicy widoczna jest ściana budynku kliniki dermatologicznej, która znajduje się przy równoległej ulicy Koszykowej. Kostnica więc plecami wspiera się o „wene- rię” i posiada to wcale niebłahą wymowę. Kiedyś bowiem choroby weneryczne stanowiły szczególnie niebezpieczną plagę ludzkości. Wśród nich syfilis zajmował pierwszą pozycję, będąc swoistym AIDS zupełnie niedawnych czasów i w dzieciństwie wysłuchałem kilku sugestywnych opowieści o młodych, przystojnych mężczyznach, którzy nagle otruli się arsenikiem lub powiesili na rzemyku. Nieszczęsne ofiary miłosnych uniesień, zwieńczonych tą okropną chorobą! Wszystko na tej uli

cy i wokół niej zdaje się być nasycone smętną powagą, jaka towarzyszy sprawom ostatecznym i wszędzie zda się słyszeć głucho brzmiące: Memento mori! Nagłość zejścia z pełni życia w śmierć. Nieuleczalne choroby. Tragiczne wypadki. Pamiętam Mietka S., łobuza pełnego uroku o nienasyconej pazerności życia. Żył to życie garściami i nagle padł. Nie zostało ostatecznie rozstrzygnięte czy pomogli mu wrogowie czy serce nie wytrzymało tempa. W każdym razie jedna noc wystarczyła i Mietek znalazł się najpierw w prosektorium, ponieważ zagadka jego śmierci wymagała sekcji zwłok, następnie spoczął w ciemnych, zimnych zakamarkach kostnicy. Stąd asystowaliśmy mu w drodze na cmentarz Bródnowski. W kilka lat później pożegnałem się z Ratuszem. Był to stary wędrowiec przez życie, naładowany energią i humorem. Lekkoduch, który przebalował nader przyjemnie pół wieku. Już od zarania postanowił niczego nie traktować solennie. Nie założył rodziny, nie miał potomstwa i nie zdobył żadnego majątku. Myślę, że nade wszystko pragnął czarować z codzienności niecodzienną, tęczę z szarzyzny i przyziemności przydawać skrzydeł. Twarz miał dziobatą, oczy iskrzące się wesołością i głos spiżowy. Można go nazwać „tamadą” Warszawy, bo na wzór tych gruzińskich mistrzów ceremonii przy biesiadnym stole, równie pięknie i kwiecicie umiał uczyć, hulanki i swawole.

Choroba spadła na niego jak grom i jej rozpoznanie było wyrokiem najwyższym bez odwołania. Jedyne co do terminu wykonania można się było spierać. Nie chciał Ratusz bezradnego oczekiwania i runął swym masywnym, przeszło stukilogramowym ciałem z okna na drugim piętrze sali Szpitala Dzieciątka Jezus. W kostnicy przy ulicy Oczki spoczął przed wyprowadzką na cmentarz. W pomieszczeniu przesiąkniętym wonią formaliny i jeszcze bardziej przykrego zapachu,

POWIDOKI 235

leżał Ratusz na kamiennej narze... Fachowcy od kosmetyki i upiększania nieboszczyków pokazali z dumą swoje dzieło.

— Jak żywy — powiedział jeden z nich, jedząc bułkę z kielbasą.

Starali się jak mogli najlepiej, opłaceni hojnie przez przyjaciół Ratusza.

Z tym ostatnim widokiem jego dostojnego oblicza pojechaliśmy za karawanem na Wólkę Węglową, której rozległa, goła połąć z daleką ścianą Puszczy Kampinoskiej wtedy dopiero zaczynała powstawać jako nowa nekropolia miasta. Najboleśniejszym przeżyciem stało się dla mnie pożegnanie ojca. Też spoczywał w tej kostnicy i stąd go odprowadzaliśmy w ostatnią drogę.

65. EKD

Człek w tych czasach wolnego rynku i konkurencji zabiegany za groszem. Czasem nawet nie wie za czym, ale goni. Warto jednak zwolnić. Bezinteresownie. Tak uczyniłem w pobliżu hotelu Marriott. Na jego tyłach, tam, gdzie Nowogrodzka, Chałubińskiego i wiadukt. Luksusowe wieżowce, biznesmeni za szklanymi ścianami.

Spowolniałem. Zacząłem się rozglądać. Tędy Nowogrodzką jeździłem na podbój niebiesko-żółtą kolejką EKD. Stara firma przedwojenna, słynęła z punktualności. Piękne, mosiężne okucia, boazerie, ławki i stoliki jak w Orient-Expressie. Konduktorzy w brązowych uniformach i czapkach na wzór francuskiego kepi. Jeździliśmy z Włoch do serca miasta, drżąc z podniecenia. Gnały nas marzenia o przygodach, sukcesach. Już — granica miasta jak obwieszczał konduktor, i Opa- czewską, Niemcewicza, Tarczyńską dojeżdżaliśmy do Nowogrodzkiej. Stosunki w kolejce były rodzinne, konduktorzy znali pasażerów, gwarzyli z nimi, a nam szczeniakom czasem pozwalali wspaniałomyślnie jechać na gapę. Z opowieści okupacyjnych zapamiętałem historię brawurowej ucieczki trzech konspiratorów schwytanych na trasie przez żandarmów. Kolejka wprawdzie przyspieszyła, potem zwolniła gwałtownie. Żandarmi zatoczyli się na ściany, a młodzi chłopcy z AK wyskoczyli w pędzie z wagonu. Podobno jednemu z Niemców zdążyli nawet zabrać broń. Była to zasługa motorniczego. My też uczyliśmy się wskakiwać i wyskakiwać w biegu. Taki fason.

Na trasie znajdowały się małe budki — przystanki, gdzie urzędowały kasjerki, starsze panie lub melancholijne panienki.

Miasto witało nas ogromnym gruzowiskiem, parterową Marszałkowską i masywem hotelu Polonia, gdzie tętniło życie. Ostatni przystanek był na Nowogrodzkiej tuż przed Marszałkowską. Tutaj także znajdował się przybytek gastronomiczny pod nazwą Przystanek. W knajpie urzędowały zziębnięte gruzinki, w ogóle gromadził się element. W tej ciżbie buszował, poszukując chłopców Karol Hanusz, stary aktor z „Czarnego kota”, „Momusa”, „Qui pro quo” — sława lekkiej muzy, który w szarym, biednym mieście wyglądał jak angielski lord. Zawsze dojeżdżając do ostatniego przystanku spoglądałem na wieżę kościoła św. Barbary obok gmachu „Romy”. Tutaj schwytano Burmajstra i jego kolegów, młodzieńców oskarżonych o szpiegostwo na rzecz imperializmu. Drzewa na kościelnym dziedzińcu szumiały w ciemności tajemniczo i wyobrażałem sobie tych chłopców w chwili osaczenia. Z latami trasa kolejki EKD zamienionej na WKD skracala się nieubłaganie. Już zatrzymywała się za Poczta Główną. Już za ulicą Emilii Plater. Aż cofnięto ostatni przystanek do rogu Nowogrodzkiej i Chałubińskiego przy bramie Szpitala Dzieciątka Jezus.

Ostatecznie linia włochowska umarła w latach 60., a ta druga do Milanówka, Podkowy Leśnej i Grodziska została przeniesiona do wykopu wzdłuż Alei Jerozolimskich. Wagoniki zmieniły zupełnie wygląd i kolor. Stare cacka zniknęły bezpowrotnie. Ocknąłem się z czadu wspomnień i popędziłem dalej ulicą pełną samochodów, reklam, sklepów i tak samo jak ja zabieganych ludzi.

66. MAGICZNE OCZY

Wabiły od ulicy. Zatrzymywałeś się i patrząc w głębinę za szkłem odkrywałeś Dajaków, łowców głów z Borneo, rajską urodę Cejlonu lub Statuę Wolności w Nowym Jorku. Wchodziliśmy w bramę i podwórzem do oficyny po prawej stronie. Tam znajdował się Fotoplastikon. Właściciel, zgarbiony mężczyzna, o bladej, namięklej twarzy, grubych, obwisłych wargach i wodnistych oczach, w czarnym andersowskim berecie z tasiemką, przypominał głębinową rybę. Kupując zniżkowe uczniowskie bilety, wstępowaliśmy do jego królestwa. Panowała tam ciemność, a pośrodku mieścił się okazały, graniasty walec podziurawiony otworami z grubym, wypukłym szkłem, przypominającym lunety. Siadaliśmy na krzeselkach, wciskaliśmy oświetlenie i rozpoczynał się seans. Obrazy, które przesuwały się przed naszymi oczyma, odurzały powiewem szerokiego świata bez granic. Kontynenty, oceany, wulkany, wyspy: Timor, Bali, Zanzibar, Martynika, Haiti. Zaginione cywilizacje Inków, Majów, Azteków. Park przyrody Yellowstone, selwasy Amazonii. Wielkie miasta świata. Patrzyliśmy. Czasem właściciel pozwalał nam obejrzeć program jeszcze raz i pomrukując łaskawie: „Patrzcie sobie, patrzcie” — ocierał się o nas jak stary kocur, próbował gładzić po plecach i rękach. Wtedy wzdychał tak dziwnie. Jego kobiety: żona i córka, zastępując go przy ka-
sie, patrzyły na nas nieżyczliwie, wręcz z ostentacyjną niechęcią. A my stłoczeni przy wejściu, potrafiliśmy wystawać tam godzinami. Często nie mając pieniędzy, spodziewaliśmy się, że właściciel ulituje się wreszcie i wpuści nas za darmo. Ważna jeszcze była muzyka. W płytotece Fotoplastikonu oprócz melodii arabskich, indyjskich i innych równie egzotycznych, które stanowiły tło programów, znajdował się okazały zbiór muzyki jazzowej od negro-spirytuals poprzez swing do wielkich mistrzów tego gatunku, takich jak Glenn Miller, Duke Ellington i Louis Armstrong. Jazz wtedy oficjalnie był wyklęty i w przedsiönku Fotoplastikonu biła prawdziwa krynica tej zakazanej muzyki. Zbierali się w tym miejscu bikiniarze, pikieciarze czy jak się ich jeszcze nazywało. Fryzury mieli specjalne: plerezy, czyli długie włosy spiętrzone nad czołem w czuby za pomocą brylantyny, kremu Nivea czy po prostu białka. Ubierali się w wąskie spodnie, skarpetki w kolorowe prążki, buty na grubej słoninie, marynarki z „ciuchów” na Skaryszewskiej (później z placu Szembeka) i krawaty malowane w palmy, Murzynów, bizona, kowbojów. Staliśmy i przytupywaliśmy w takt rytmicznej muzyki. Niektórzy posiadli w tym maestrię: swoiste występy solowe. Także śpiewało się i zapamiętałem takie oto słowa: „Sibonej to kraina nad morzem być może...” albo — „Szła karawana, wielbłądów ciągnął długi sznur, jakaś moc niezbadana gnała ją sam nie wiem gdzie...” Słowa i melodie kojarzyły się z obrazami Fotoplastikonu. Jeżeli dobrze pamiętam po tylu latach, to oglądałem przecież program o Tuaregach z gór Hoggaru, tajemniczych jeźdźcach z mieczami, w czarnych zasłonach na twarzach. W głowach kotłowało się i kotłowało. Oczy płonęły. A jeszcze te trzy wysokie kobiety, które czasem prowadził przez podwórze do swego mieszkania Książę Nocy z Polonii. Ita, Hanka Żydówka i Wiśka z Grochowa.

Wymalowane, eleganckie: wyglądały jak damy z karnawałowego balu.

— Stajnia Księcia Nocy — szeptali co bardziej doświadczeni z nas.

Tutaj poznałem Sławka, kulawego chłopaka z Ma-rymontu. Snuł on śmiałe plany wypraw w dżungle Angoli, Mozambiku. Po latach został znanym z brawury kryminalistą i wyrokowcem, liczącą się postacią podziemnego świata Warszawy. W tej kamienicy, która cała jest dla mnie Fotoplastikonem, mieszkała znacznie później moja pierwsza sympatia ze studiów. Jeszcze później głośny malarz, Aleksander Kobzdej i nigdy nie mogłem sobie przypomnieć, czy na tym samym piętrze mieszkał również mityczny Księżę Nocy. Jestem znów w Alejach Jerozolimskich. Fotoplastikon pozostał na swoim miejscu. Ale był martwy. Zmartwychwstał dopiero rok temu. Te same magiczne oczy patrzą na mnie przy wejściu w bramę kamienicy pod numrem 47.

67. CDT

Otwarcie domu handlowego było nader uroczyste. Towarzyszyły, temu wydarzeniu entuzjastyczne artykuły w prasie i radiowe reportaże. Dokładnie informowano o bogactwie różnorodnych towarów, rozmieszczonych na parterze i piętrach, poczynając od odzieży, obuwia, bielizny poprzez radioodbiorniki i aparaty fotograficzne do meblowych kompletów. Tak rozpoczął swą działalność pierwszy w Warszawie i całym PRL-u socjalistyczny „uniwermag” zorganizowany na wzór świątyni handlu w Kraju Rad.

Jureczek K. już jako młodzieniec szesnastoletni zdradzał zdecydowaną niechęć do życia zgodnego z obowiązującymi normami. Właściwie od dziecka sprawiał trudności wychowawcze, nie chciał się uczyć, wagarował i bardzo wcześnie przystał do szajki zdeprawowanych wyrostków, grasujących w krzakach nad Wisłą. Kipiał od pomysłów i jego inwencja nie ograniczała się tylko do szczeniackich rozrób.

W ten pierwszy uroczysty dzień otwarcia CDT-u Jureczek K. przed wieczorem wmieszał się w tłum kupujących i zwiedzających. Krążył po piętrach i wcale nie wyszedł stamtąd jak inni, kiedy ogłoszono czas zamykania domu handlowego. Ukrył się między stojakami z damską garderobą i później już w samotności rozpoczął dokładną penetrację pięter. Ubrał się w świetnie

dopasowany garnitur, koszulę, krawat, kamasze, przewiesił przez ramię płaszcz oraz zapakował w dwie walizy znaczną ilość aparatów fotograficznych Zorka i zegarków również produkcji radzieckiej. Następnie wykazując zimną krew godną zawodowca, przespał się na tapczanie w dziale meblowym. Tak doczekał otwarcia w następnym dniu i wmieszawszy się w tłum, który od rana już walił tutaj, opuścił świątynię uspołecznionego handlu. Co było potem, wiadomo. Sprzedaż towaru na bazarze Różyckiego i rozmaite uciechy wynikające z posiadania pieniędzy. Wtedy to po raz pierwszy wybrał się do nocnego lokalu Oaza na Targowej, bawiąc się po pańsku i rozrzutnie obdzielając obsługę napiwkami. Polubił CDT i wycieczki tam ponawiał kilka razy. Dom handlowy już był pilnowany nocą przez strażników i psy — groźne, niemieckie owczarki, specjalnie tresowane. Za czwartym razem został schwyty i rozpoczął termin od zakładu poprawczego w Studzieńcu do Gęsiówki. Przyjęty życzliwie przez przestępcze grono ze względu na oryginalność i brawurę swoich skoków, siedząc w pudle wzbogacał wyobraźnię i doświadczenie. Słuchał pilnie opowieści większych i mniejszych mistrzów rozmaitych profesji. Urodę miał jasną, budzącą sympatię; złociste kędziory, twarz o regularnych, męskich rysach i sportową, barczystą figurę. Był pełen optymizmu i śmiał się zaraźliwie. Czy miewał później równie zaskakujące pomysły? Już nigdy więcej z nim się nie zetknąłem. Tymczasem CDT wzbogacony o nocny lokal Stolica na ostatnim piętrze i kawiarnię na półpiętrze zwaną Antresola istniał jeszcze wiele lat. Teraz jest tu bogato zaopatrzonego magazynu dla dzieci „Smyk”. Przechodząc w pobliżu dawnego CDT-u wyobrażam sobie zawsze pana w więcej niż średnim wieku. Stoi i patrzy na oszklony budynek, nieco nadwreżony już zębem czasu. Po twarzy jego błąka się rzewny, nostalgiczny uśmiešek. To Jureczek K.

68. DZIWNI LOKATORZY (I)

Letnie dni. Chodziliśmy na gliniarki. Akacje poszarzałe od kurzu. Próbuje uporządkować zagmatwaną chronologię. Dopiero później z okienka na strychu patrzyliśmy na dymy i ogień nad Warszawą. Zaczęło się powstanie. Pani Wanda zamieszkała u nas przed powstaniem. Szepty rodziców. Opór ojca. Mówił coś o dużym ryzyku. „Mamy przecież dzieci” — powtarzał.

Pełen perswazji głos matki.

Pani Wanda pojawiła się z małym ratlerkiem. Była to suczka. Nazywała się Peretka. Z początku wydawała się ohydna. Trzęsa się cała, jakby nieustannie w dreszczach. Piskliwe szczekanie, charkot. Wyłupiaste oczy i małe, ostre zęby. Wyglądała jak wcielenie złości i hysterii. Z czasem polubiliśmy Peretkę i ona nas.

Pani Wanda była dużą, obfita kobietą o głębokim, melodyjnym głosie, który harmonizował ze znaczną wypukłością jej biustu. Ciemnowłosa, paliła dużo papierosów, wesoła. Zamieszkała w ostatnim pokoju. Kiedy przechodziła przez stołowy do łazienki, spoglądałem na nią ukradkiem. W rozchyleniu szlafroka pokazywały się nogi powyżej kolan. Dziwne wrażenie. Wibracja, stukot serca. Nogi pani Wandy miałem uporczywie przed oczyma. Szybko opuszczałem głowę. Wyobraźnia pieściła ten skradziony widok. Codziennie z okienka strychu patrzyliśmy w stronę Warszawy. Nad

miastem wznosiła się wielka luna w czapie gęstych, czarnych chmur. Pani Wanda popłakiwała w swoim pokoju. „Dlaczego od razu spodziewać się najgorszego” — perswadowała jej matka.

Nie wiedziałem, co było przyczyną płaczu naszej sublokatorki.

Powstanie upadło. Poznaliśmy po nagłej ciszy. Nie było już słycać kononady artyleryjskiej. Luna nad miastem malała. Ogień dogasał, więcej dymu. Rodzice chodzili do stacji kolejowej. Szosą Niemcy gnali wysiedleńców do obozu w Pruszkowie. Matka miała nadzieję odnaleźć swego kuzyna Andrzeja, który mieszkał na Mokotowskiej przy placu Trzech Krzyży.

Któregoś wieczoru zapukał do naszych drzwi pan Grudziński. Przed wojną był nauczycielem w szkole ojca. Uciekł z tłumu pędzonego do Pruszkowa. Był to wysoki, szczupły pan w złotych binoklach, bardzo dystyngowany i elegancki. Do kobiet zwracał się z niezwykle szacunkiem, używając zwrotu — łaskawa pani. Każdą niewiastę całował co najmniej dwa razy w rękę. Nawet teraz, z tobołkiem przewieszonym przez ramię, w niezbyt czystym i pomiętym ubraniu, był nadal dystyngowany. Rozmowa z rodzicami dotyczyła losów jego żony. W dzień wybuchu powstania była u swojej matki na Filtrowej i już nie zobaczyli się więcej. Bardzo się o nią martwił. Zamierzał wybrać się do Pruszkowa i zacząć poszukiwania. Na widok pani Wandy, sublokatorki z ostatniego pokoju, poderwał się natychmiast z krzesła i złożył dwukrotny pocałunek na jej dłoni.

— Jestem niezmiernie zaszczycony, łaskawa pani — powiedział i odprowadził ją ciepłym spojrzeniem znawcy kobiecych wdzięków. Ojciec z trudem skrył śmiech. Siostra zachichotała.

Pan Grudziński został ulokowany w stołowym pokoju i nocą zbudziły nas złowrogie głosy. Były przeciągłe i głuche jak ze studni, to znowu zamieniały się w przenikające strachem skowyty i rzężenie. Czytałem wtedy coś o wilkołakach i dźwięki dochodzące ze stołowego skojarzyły mi się natychmiast z wyobrażeniem ludzi przybierających wilczą, krwiożerczą postać. Poderwaliśmy się wszyscy. Matka, ojciec, siostra, ja. Pani Wanda też się obudziła i zawołała ze swego pokoju wystraszone głosem: „Stało się coś?”

Matka zapaliła świecę i ruszyliśmy groteskowym pochodem w nocnych koszulach do stołowego. To był pan Grudziński. Dźwignął się z kozetki, wysoki, chudy, trzęsącymi rękoma nakładał złote binokle. Skłonił się głęboko matce.

— Łaskawa pani zechce wybaczyć — powiedział. — Koszmarne sny mnie męczą.

A potem Niemcy uciekli też nocą. Dzień nie było nikogo i dopiero drugiego dnia rankiem przyszli Sowieci. Głucho dudniły po bruku czołgi, samochody. Rój żołnierzy w burch szynelach, z czerwonymi gwiazdkami na zimowych czapkach uszankach.

A jeszcze potem pan Grudziński szczęśliwie odnalazł swoją żonę i zamieszkali za torami w Nowych Włochach. Chyba w tym samym czasie pani Wanda rozstała się z nami. Była wzruszona, popłakiwała. Matka też wycierała chusteczką oczy.

— Chwała Bogu, że dobrze się skończyło — powiedział ojciec. Nosił bagaże pani Wandy do willysa, którym odjechała w kierunku zachodnim. — A już szeptali... Taka czarna... Oczy takie ma...

Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że pani Wanda była Żydówką i ukrywała się na podrobionych papierach. Przez pewien czas pisywała do nas z Francji, dopytując się o Perłkę. Suczka bowiem pozostała u nas.

Ulubienica całej rodziny. Kochana Perełka. Po trzech latach zapadła na nosówkę i nie było już dla niej ratunku. Zastrzyki, weterynarz. Nic nie pomogło.

Pewnego dnia wczesnym rankiem dźwignęła się ze swojego koszyka i podchodziła kolejno do naszych łóżek. Patrzyła intensywnie czarnymi, wylupianymi oczyma. Próbowwała wspiąć się wyżej. Ale nie miała już sił. Żegnała się.

69. DZIWNIE LOKATORZY (II)

Przez pewien czas wszyscy byliśmy stłoczeni w kuchni i pokoju sypialnym. W pozostałych pokojach kwatrowali oficerowie z batalionu ochrony sztabu generała Roli-Żymierskiego. Na gorze u pani gospodyni było jeszcze gorzej. Ona ze swoim kuzynem, panem Skórką, tylko w kuchni, a w pokojach major Cień, dowódca batalionu, jego adiutant i dwie kobiety, sekretarka i maszynistka. Zapamiętałem oficera politycznego, którego ulubionym powiedzeniem było: „Należy jeszcze wziąć pod uwagę moment psychologiczny”. Szafował nim wtrącając prawie w każdym zdaniu i najwyraźniej doceniał znaczenie czynnika psychologicznego w swojej pracy polityczno-wychowawczej.

Często do nas do kuchni zachodzili na herbatę wartownicy, kierowcy i opowiadali o czasach partyzanckich na Lubelszczyźnie. Byli to mieszkańcy wiosek z okolic Kraśnika. Służyli w leśnym oddziale AL pod wodzą Cienia, który nazywał się Kowalski. Na widok oficera politycznego urywali swoje pogaduszki i wychodzili z kuchni. „Moment psychologiczny” nie wywodził się z leśnego bractwa, przyszedł z Armią Czerwoną i w Lublinie odkomenderowano go do batalionu ochrony sztabu.

Pobyty wojaków zakończył się nagle i bez uprzedzenia. O świcie zbudziły nas podniesione głosy, tupotanie,

248 Marek Nowakowski

warkot zapalanych silników samochodowych. Następnie zapanowała cisza. Już ich nie było. Ruszyli dalej na zachód. Wojna jeszcze trwała.

Tego dnia pod surową, łącie wojskową komendą matki zabraliśmy się do mycia okien, wiórkowania i pastowania podłóg.

— Brud i dewastacja! — oburzyła się matka, kontrolując dokładnie stan robót i dostrzegając wszelką fuszerkę, niedbalstwo. Ona oczywiście w pracy była najlepsza i najszybsza.

Pierwszym powojennym sublokatorom był wujek Franek. Wrócił od Andersa i nie miał się gdzie zatrzymać. Jego warszawskie mieszkanie już nie istniało. Zamieszkał u nas w stołowym pokoju. Nosił się półwojskowo, w mundurowej bluzie i berecie, obwiedzionym czarną tasiemką ze wstążeczką. Miał w zapasie drugi taki sam beret, który dostałem od niego w podarunku. W II Korpusie służył w artylerii, miał stopień sierżanta. Był z natury małomówny i skąpo opowiadał o swoich przeżyciach. Wszyscy zaś nieustannie dopytywali się

o Syberię, Iran, Palestynę, Italię. Taka była przecież droga żołnierzy Andersa.

— Dziwak i stary kawaler — mówiła matka

I chciała go koniecznie ożenić.

Spaliło to na panewce. Wujek Franek, który był z zawodu buchalterem, wyjechał na Ziemię Zachodnie. Otrzymał tam posadę w zespole gospodarstw rolnych. Rodzice mu odradzali, lecz był uparty i z zielonym wojskowym workiem z impregnowanego płótna, przewieszonym przez ramię, opuścił nasz dom.

Jego miejsce w stołowym pokoju zajął następny sublokator, Staś, ulubiony kuzyn matki. Wysoki, przystojny młodzieniec, ubrany w typowy strój konspiracyjny młodzieży: sportową marynarkę z naszytymi kieszeniami, bryczesy z materiału zwanego pepitką i wysokie

POWIDOKI 249
buty oficerki. Te buty zawsze wyglansowane do wysokiego połysku przede wszystkim zwracały uwagę. Skrzypiały, a cholewy, zwane szklankami lekko opadały na obcasy. Staś jeszcze się nie ujawnił i miał dokumenty na inne nazwisko. Pod przybranym nazwiskiem rozpoczął studia na politechnice. Przed wojną studiował dwa lata germanistykę i mówił świetnie po niemiecku. Recytował w oryginale wiersze Goethego i śpiewał „Lili Marlen”. Teraz postanowił zostać inżynierem i uczył się zawzięcie. „Kuł się”, jak mówił ojciec, który też „kuł się” we wczesnej młodości przed I wojną światową.

W pokoju stołowym, rzadko opalanym z powodu kłopotów z węglem, kuzyn Staś owijał się kocem, popijał gorącą herbatę i do późna w noc ślęczał nad skryptami. Czasem przyjeżdżali do niego koledzy, młodzi ludzie ubrani podobnie jak on w kurtki, bluzy i buty z cholewami. Wtedy kuzyn Staś szykował się pośpiesznie do wyjścia.

— Uwważaj! — wołała za nim matka. Szli w kierunku stacji kolejowej. — Oni są tacy w gorącej wodzie kąpani — dodawała.

Pewnego razu, kiedy kuzyn Staś z wysiłkiem wciągał swoje ciasne oficerki, rozsunęły mu się poły marynarki, i za paskiem spodni zobaczyłem wciśnięty pistolet. Kuzyn Staś uśmiechnął się do mnie i nic nie powiedział. Lubił nucić przy goleniu szlagiery tamtych lat w rodzaju: „Czy pani mieszka sama czy razem z nim...”, „Osiemnaście ma lat i jest piękna jak kwiat” lub „Chcę, byś była moją żoną, wymarzoną i wyśnioną, hej!”.

Był pogodny i pełen energii. Nastawiał gramofon i zapraszał moją siostrę do tańca. Z wystudiowaną teatralnie miną uwodziciela jedną ręką obejmował ją lekko w talii, drugą zaś trzymał jej wysuniętą dłoń i przesuwali stopami w takt melodii walca lub tanga. Jego oficerki skrzypiały nieustająco. Siostra gubiła

rytm. Złościła się i traciła wiarę w swoje możliwości taneczne. Kuzyn Staś cierpliwie powtarzał kroki i przejścia. Lekcje zakończyły się pełnym sukcesem i siostra uwierzyła w swoje siły. Na przedmaturalnej studniówce tańczyła bez żadnych kompleksów. Kuzyn Staś wieczorami słuchał z ojcem zagranicznej stacji radiowej w języku polskim i dyskutowali o tym, co jeszcze może nastąpić.

„Ich komuniacka mać!” Kuzyn Staś używał takiego powiedzenia, mówiąc o powojennej władzy w Polsce.

Prognozę przyszłości miał jasną i zdecydowaną. Opór większości społeczeństwa spowoduje interwencję zachodnich mocarstw i komunizm padnie.

Po rocznym pobycie u nas, kuzyn Staś musiał zniknąć na jakiś czas z Warszawy. Przeniósł się do Krakowa. Pozostała po nim jakaś trudna do wyrażenia pustka i nawet ojciec, który traktował go jak „beczkę prochu”, przyznawał, że jego optymizm i energia bardzo podnosiły na duchu.

U

70. KOTŁOWNIA

Wejście było od boiska. Przy okienku zalegała zazwyczaj pokaźna hałda węgla. Na dole znajdowała się kotłownia. Tutaj krzątał się woźny i zarazem palacz, pan Wystąlek, rodem spod Kutna. Wielką łopatą wrzucał węgiel w czerwoną paszczę pieca centralnego ogrzewania. Jesienią i zimą podczas dużej pauzy kotłownia bywała swoistym klubem starszych uczniów, tych z klas licealnych. Nas, pariasów z niższych klas, kotłownia kusiła nieprzeparcie jako owoc zakazany i często próbowaliśmy się tam zakraść. Przeważnie bez powodzenia. Pan Wystąlek usłużny wobec licealistów, nas z powszechniaka traktował z pogardą, wręcz brutalnie. Potrafił dać kopniaka, zdzielić miotłą. Tylko bardzo rzadko, kiedy z polecenia tych starszych kolegów biegliśmy do pobliskiego sklepiku po papierosy czy zapalki, dostępowaliśmy łaski zstąpienia schodami w dół do kotłowni.

„Wpuść ich pan!” Polecali licealiści woźnemu i zbiegając kilkanaście stopni znajdowaliśmy się w ciemnym, piwnicznym wnętrzu, przesiąkniętym zapachem czadu, z bijącym od pieca żarem i ruchliwym odbłaskiem ognia na ścianach. Zbierała się tu dosyć liczna gromada licealistów. Lecz nie trzymali się oni razem. W swoim gronie kurzyli papierosy ci w białych koszulach i czerwonych krawatach, zetwuemowcy. Tak samo ci w niebieskich koszulach i czerwonych krawatach,

252 Marek Nowakowski

członkowie OMTUR-u. Białe koszule i zielone krawaty nosili członkowie ZWM-u „Wici”. Wiciarze, mówili

O sobie. Jeszcze pojawiali się tacy, którzy nie trzymali z nikim. Zupełnie osobni. Strój ich jednak też miał pewne znamiona jednolitości. Nosili buty z cholewami, oficerki, bryczesy i marynarki o kroju sportowym, często z pagonami. Ten strój był charakterystyczny dla konspiracyjnej młodzieży z czasu okupacji. Oni byli najstarsi. Jeden pielęgnował wąsiki. Ci palacze, podzieleni na zamknięte kręgi, z rzadka wymieniali między sobą zdawkowe uwagi, czasem służyli sobie ogniem

I częstowali się papierosami. Może jakie takie stosunki łączyły tych z ZWM-u i OMTUR-u. Ale już w zupełnej izolacji znajdowali się „wiciarze”. Najstarszy z nich był Lutek, syn właściciela cukierni. Najbardziej ostentacyjnie zaznaczali swą obecność ci w oficerkach i nawet pozwalali sobie na złośliwe przytyki wobec mundurowych, jak nazywali swoich kolegów z trzech organizacji młodzieżowych, choć sami też byli trochę mundurowi.

Nas, uczniów piątej i szóstej klasy szkoły podstawowej, szczególnie intrygowali zetwuemowcy. Byli kolorystycznie najbardziej kontrastowi. Najważniejszy z nich nazywał się Marzeń. Drugiego co do ważności przezywano Dziobusem z powodu śladów po ospie. Trzeci był Kulawy, z jedną stopą w ogromnym, ortopedycznym bucie. Marzeń pracował w zarządzie powiatowym ZWM-u i często jeździł na różne akcje. Pod szkołę podjeżdżał willys i Marzeń zwalniał się z lekcji. Jechał w teren. Tak mówiono. Dziobus należał już do ORMO. Widzieliśmy go kilka razy pod dawnym komisariatem policji granatowej na Cienistej. Mieścił się tam posterunek milicji obywatelskiej. Dziobus miał biało- -czerwoną opaskę na rękawie i trzymał w ręku karabin. Patrzyliśmy jak urzeczeni. Pewno też szykował się na jakąś akcję.

POWIDOKI 253

Dyrektor szkoły, łysy jegomość przezywany Gruchą, czasem zaglądał do kotłowni, żeby wydać jakieś polecenia panu Wystalkowi. Na jego widok ci w strojach organizacyjnych wcale nie chowali papierosów do rękawów i dalej sobie gwarzyli spokojnie. Dyrektor także jakby ich nie widział. Kiedyś zwrócił się do Marzenia, mówiąc: „Telefon do... — zawahał się chwilę — ciebie”. Marzeń skinął w podziękowaniu głową. Rzucił niedopałek, zdeptał obcasem i ruszył za dyrektorem do jego gabinetu.

Dyrektor był już na wylocie. Tak mówili nasi rodzice. Ci w oficerkach i bryczesach również nas bardzo intrygowali. Ale o ich sprawach niczego nie mogliśmy się dowiedzieć. Rozmawiali szeptem i odganiali nas jak psiaków. Ci z „Wici” majaczyli na ostatnim planie. Sy- nalkowie badylarzy z okolicy i prezes ich koła Lutek, który występował jako rzymski żołnierz w amatorskiej Golgocie, wystawianej w sali parafialnej. Ponadto oni do kotłowni przychodzili bardzo rzadko. Tylko dla fasonu. Lutek przecież nie palił.

Uroczyste akademie z okazji świąt państwowych organizowały wspólnie dwa związki młodzieży (czerwony krawat łączył ten sojusz) i ich przedstawiciele zasiadali w towarzystwie dyrektora za stołem prezydialnym. Uroczystości odbywały się w sali gimnastycznej i my, młodszy, używani byliśmy do recytacji wierszy rewolucyjnych. Tych w oficerkach i bryczesach nie widywało się wśród publiczności. Podobno w przeddzień takich świąt zatrzymywano ich i siedzieli w piwnicy urzędu bezpieczeństwa publicznego, który mieścił się w willi przy ulicy PKWN-u, dawniej Józefa Piłsudskiego. Niebawem doszło do połączenia PPS-u z PPR-em i w analogiczny sposób powstała jedna organizacja młodzieżowa. Ci starsi z kotłowni, przeroślaki, jak ich nazywaliśmy, nosili już jednolity strój: zielone koszule i czerwone krawaty. Wiciarze zanikli zupełnie.

Szkoła została jedenastolatką. Dziobus nie doczekał matury, rzucił naukę. Został milicjantem. Następnie przeszedł do pracy w więziennictwie. Jeździł kolejką EKD w granatowym stroju klawisza i w czapce z zielonym otokiem do więzienia na Rakowieckiej. Marzeń zaszedł wysoko. Był w centralnych władzach związku młodzieży. Czytałem o nim w prasie. Przeszedł do pracy w aparacie partyjnym. Dalsze jego losy są nieznane. Natomiast po wielu latach spotkałem tego Kulawego w ogromnym, ortopedycznym bucie (dawniej wyobrażałem sobie, że to jakaś kontuzja z partyzantki). Było to na planie zdjęciowym i zajmował się oświetleniem. Przypomniałem mu szkołę i naszą kotłownię. Skinął głową, ale nie podjął tego tematu.

Zacznijmy od serca miasta. Dzielnica śródmiejska. Choćby Polna. To dawne, nie istniejące ogarnęło znienacka. Bazar zajmował rozległy obszar wzdłuż Polnej do Nowowiejskiej naprzeciw gmachu Politechniki. To był macecznik. Szczególnie nocą, kiedy zajeżdżały tu wozy ogrodników zaopatrujących miasto w owoce, warzywa i inne ziemiopłody. Te badylarskie platformy, zaprężone w rosłe konie zaczynały zajeżdżać głęboką nocą i słychać było nieustanny stukot i zgrzyt kół po bruku, a w czasie deszczu charakterystyczne miękkie kłaskanie końskich kopyt. Muzyka nocy. Polna kwitła wtedy bujnym życiem. Zarówno hurtowi odbiorcy, jak detaliści tłoczyli się przy wozach podwarszawskich ogrodników. Chłód nocy i trudy zajęć wymagały rozgrzewki. Zaopatrzenie w gorzałę działało przez całą noc. Baby z koszykami, w których znajdowała się zakąska, przeważnie kaszanka i salceson. Wódkokrażcy z torbami pobrzękującymi szkłem. Alkohol ściągał bractwo z całego miasta. Niedopici z Paradisu, Polonii, Oazy, niebieskie ptaki, włóczędzy. Grasowali kieszonkowcy, licząc na łup przy dokonywanych tutaj transakcjach. Przybyłem tu raz z inteligentem spragnionym folkloru. Przysiedliśmy na ceglach i piliśmy z „gwinta”, na zakąskę tradycyjna kaszanka. Był z nami król bazaru, Szramka, mieszkaniec secesyjnej, narożnej kamienicy przy Śniadeckich, cudem ocalałej z pożogi. Inteligent

71. POLNA

256 Marek Nowakowski

gustował w kaszance i po wypiciu chwycił cały kawałek z papieru.

— Co ty, na wypas tu przyszedłeś? — zapytał Szramka i popatrzył na niego z obrzydzeniem.

Ten skąpy kawałek kaszanki przeznaczony był bowiem na trzech. Szramka budził szacunek. Był bogato obdziargany tatuażami; przed kilkoma dniami wyszedł z więzienia na Gęsiówce.

Z nocą na Polnej lat 50. wiąże się zabawna przygoda pewnego dyrektora jedenastoletniej szkoły TPD. Piął się po szczeblach kariery bardzo sprawnie. W kręgach nauczycielskich mówiono, że wkrótce zostanie kuratorem. Wtedy to mój ojciec, przedwojenny kierownik szkoły powszechnej we Włochach — obecnie podstawowej — został zwolniony ze swego stanowiska z powodu braku przymiotów politycznych. Dyrektor często z życzliwości szczerzej pouczał ojca, jak powinien postępować. Miał skłonność do kielicha. I oto pewnego ranka przybiegł do ojca rozdygotany, z obłędem w oczach i zawołał: „Antku, ratuj!”

Poprzedniego dnia popił mocno i zawędrował na Polną. Miał przy sobie tematy maturalne z ministerstwa. Tu na placu dopił się jeszcze pod kaszankę i film mu się urwał. Pamiętał jedynie, że wracał do Włoch badylarskim wozem. Mój ojciec poszedł w obchód po okolicznych obejściach ogrodników i u jednego z nich odnaleziono na wozie, pośród zgniłych liści kapusty, szarą zalakowaną kopertę z tematami na maturę. Wdzięczność dyrektora była ogromna.

Na Polnej bywał często Książę Nocy z Polonii, mi- toman, fantasta i sutener. Inni zagońcy: bokser Kolczyński, aktor Józef Nowak, znany z piorunującego ciosu głową Bimber. Ubecy z Koszykowej raz tu nawet strzelali. Podobno do zbiegłego wroga klasowego. W dzień na Polnej tlił się marniutki raczej handelek.

POWIDOKI 257

Choć i tak była to jedyna szansa kupienia czegokolwiek dla potrzeb domowych. Po tej stronie Wisły nie było już żadnego placu wolnej sprzedaży. Pańska też już nie istniała. Pan Michalski, słynny później Ormianin, mistrz kulinarny i restaurator z Kazimierza, sprzedawał wodę sodową z saturatora. W pobliżu, przy sklepiku spożywczym raczyli się- piwem znużeni nocą wojownicy. Wśród nich można było zobaczyć Tadeusza Schielego, lotnika z dywizjonu 303, który z Anglii przywiózł żonę, popularną w lokalach stolicy śpiewaczkę.

Z biegiem lat Polna kurczyła się i kurczyła. Wprowadzono zakaz wjazdu wozów konnych do Śródmieścia. Już tylko do „Zieleniaka” na Opaczewskiej dojeżdżali badylarze. Na terenie placu od strony Nowowiejskiej wznoszono nowe gmachy Politechniki. Do czasu dzisiejszego pozostała niewielka wysepka z zielonych bud, ogrodzonych dziurawym parkanem przy końcu Polnej, okrążona arteriami komunikacyjnymi, terenem budowy metra i wznoszonym ostatnio jakimś centrum handlowo- -bankowym. Ta ostatnia Polna była w czasach Gierka i Jaruzelskiego ekskluzywnym ośrodkiem sprzedaży przedniego mięsiva, wędlin, ryb i owoców egzotycznych po wysokich cenach. Zaopatrywali się tutaj zachodni dyplomaci i ludzie najzamożniejsi. Tyle z dawnego matecznika warszawskiej nocy pozostało. Nie tylko jednak! Pojawił się jak spod ziemi. Chudy, brodaty mężczyzna o pałających oczach. Szedł i zlorzeczył. Więc jeszcze żył! Tadek W., syn dawno zmarłego dozorca którejś kamienicy na Lwowskiej. Sławny niegdyś awanturnik, nienawidził milicjantów i mundurowych wszelkiego autoramentu. Rzucał się do bicia rycząc: „Wy czerwone kurwy!” Siedział w pudle wiele razy. Pobił nawet kiedyś radzieckich oficerów, którzy przyszli na Polną po pijanemu. Niezlomny był z niego bojownik. Przetrwał i trzymał się dawnego miejsca. Wyglądał jak zbuntowany Hiob.

72.

BYŁ TAKI PORANEK

Letni, piękny. Szedłem nad gliniankę. Myślałem

O obietnicy Paciorka. Miał zanęcić w oczku, gdzie brały szczupaki. Powietrze było rześkie i czyste, rosa błyszczała na trawie. Całkiem po wiejsku zapiał kogut w pobliskim ogródku.

Przejechała pierwsza kolejka

I długo jeszcze słychać było oddalający się łoskot. Żółty dom z balkonem znajdował się w pobliżu zabudowań straży pożarnej. Na podjeździe stał czerwony wóz strażacki, parciane węże oplatały jego boki. Wczesny ten dzień miał w sobie tyle radosnych, porywających odpowiedzi. Niezwykłych i niewyobrażalnych! Byłem bardzo młody i wszystko wydawało się pełne niespodzianek. Nawet ciemnozielony żuk, który sunął między kupkami końskiego łąjna. A kiedy uniosłem głowę, drzwi na balkonie żółtego domu otworzyły się szeroko.

Wyszła dziewczyna. Potem chłopak. Objęci wspierali się o poręcz balkonu. Dziewczyna włosy miała czarne, połyskliwe, oczy też jak węgle i bladą, wąską twarz madonny. Chłopak był jasnym blondynem, obnażony do pasa, tors brązowy. Przeciągnął się leniwie.

Dziewczyna mocniej przywarła do niego. Czarna dziewczyna i jasny chłopak. Obraz pary kochanków w oprawie pięknego letniego dnia przechowałem przez lata całe. Mirek z niejedną piękną dziewczyną wychodził na balkon żółtego, piętrowego domku, w którym na dole mieściła się pral

POWIDOKI 259

nia jego matki. W naszym miasteczku zdobył sobie opinię „uwodziciela, który zmienia wybranki jak rękawiczki”. Jego życie było nieprzerwanym pasmem romansów i zabaw. Wieczorem odprowadzałem go ciekawym spojrzeniem. Ruszał na hulaszczą wyprawę. Uczesany na mokro, elegancki; szedł krokiem zdobywcy. Nieraz widywałem go o szarym świcie, kiedy rozbawiony i podpity wysiadał z taksówki przed swoim domem. Był w towarzystwie tak samo rozbawionych dziewczyn i kompanów. Wracał z nocnych uciech w mieście. Dla nas, młodszych chłopców, był fascynującą postacią kondotiera. Królem życia. Był to u mnie czas lektury W pogoni za pełnią życia i Mirek tak bardzo kojarzył się z wyznaniem Franka Harrisa, niestrudzonego uwodziciela i mistrza przygody. Taksówka z Mirkiem odjeżdżała w noc. Malejąca światełka w ciemności. Staliśmy milcząc i wyobrażaliśmy sobie nocne lokale, bary, muzykę, kobiety. Życie Mirka płynęło efektownym nurtem, pełnym przyjemności i zdobyczy. Bez troskę materialną zapewniała mu matka, która niczego nie odmawiała swemu ulubionemu synowi. Była kobietą zamożną, przedsiębiorczą i mimo komunistycznych rygorów dawała sobie radę z przeciwnościami. Straciła męża podczas okupacji i odtąd samotnie trzymała w swych kobiecych dłoniach ster interesów. Mirek ukończył studia politechniczne ze znaczną pomocą matki, jak mówili złośliwi. Wkrótce ożenił się z urodziwą dziewczyną, niebieskooką i jasną jak on sam. Stanowili efektowną, nad wyraz dobraną parę. Matka zafundowała nowożeńcom willę na krańcach miasteczka. Tam zamieszkali i już od początku w przestronnym salonie podejmowali liczne grono bliższych i dalszych znajomych. Byli bardzo gościnni i przyjęcia u nich miały duże wzięcie. Tańce, trunki, bufet. Wszystko w hojnym nadmiarze. Dziecko, które przyszło na świat, ucieszyło matkę Mir

ka. Wreszcie doczekała się wnuczki. Jej rozrzutna dbałość o wygodę życia młodego stadła wzrosła niezmiernie. Właściwie troska o stronę materialną należała wyłącznie do matki Mirka. Młodzi pozostawali wolni od wszelkich przyziemności. Z czasem rozmaicie zaczęto mówić o tym młodym małżeństwie.

— Wilka ciągnie do lasu — powiadali niektórzy. Mirek co jakiś czas znikał z domu na noc, dzień, czasem jeszcze jedną noc. Widywano go w restauracjach i nocnych lokalach stolicy z innymi kobietami. Po dawnemu rozbawiony i uwodzicielski. Fundował, zbierał wokół siebie wesołą kompanię. Początkowo młoda żona cierpliwie wyczekiwała na męża. Długo w noc paliło się tam światło. Później coraz częściej pozostawiała dziecko pod opieką babci i również zaczęła znikać z domu. Małżeństwo rozsypywało się w szybkim tempie. Mirek ostentacyjnie afiszował się z kochanką. Była to nieco wyuzdana piękność w typie dansingowo-knaj- pianym. Znów rozbłysnął jak meteor. Jego intensywnie niebieskie oczy kipiały radością życia. Wiecznie głodny zdobywca. W domu był tylko gościem. Jego żona prowadziła odrębne życie. Tak to trwało i ich małżeństwo stało się oczywistym pozorem. Bywali razem na uroczystościach u jego matki i jej rodziców. Czasem pokazywali się razem z córką. Twarze mieli napięte i licytowali się w czułościach wobec dziecka. Aż rozleciała się zupełnie ta atrapa małżeństwa. Nastąpił rozwód. Willa została sprzedana. Pamiętam z tamtych lat nagle postarzałą matkę Mirka. Musiała boleśnie przeżyć ruinę swych pragnień i nadziei. Mirek pograżył się w hulaczkim życiu od Sopotu do Zakopanego. Dochodziły do nas opowieści o hucznych zabawach w Watrze, kawalkadzie sanek podążających do Romy w Dolinie Strążyskiej i bachanaliach z nagimi dziewczętami na plaży w Sopocie. Szybko stopniała gotówka uzyskana ze sprzedaży domu. Zamieszkał w ciasnej kawalerce w osiedlu szarych, smętnych bloków i widywano go z kobietami niezbyt urodziwymi. Wyraźnie podupadł jako Don Juan. Chętniej zresztą popijał w męskim towarzystwie i wspominał dawną świetność. Miał trzeźwe poczucie spadku swoich walorów na giełdzie powodzenia wśród kobiet. Pracował w jakimś przedsiębiorstwie budowlanym, zarabiał niewiele, a źródło dochodów matki już wyschło. Zazwyczaj był przygaszony i zgorzkniały. Jedynie alkohol ożywiał go mocniej i wtedy zapewne wydawało mu się, że znów krok ma lekki, magnes w oczach i „rój dziewcząt otacza go w krąg”.

Mobilizację w jego podupadłym życiu spowodowała Ameryka. Tam od wojny przebywał brat jego matki i zaproszony przez wuję polecił do Filadelfii. Był to rok 1970. Jak wielu rodaków upatrywał w tym skoku przez ocean szansę odmiany swego losu. Snuł wiele ambitnych planów. Sprawdzi się tam w zawodzie inżyniera budowlanego. Przejdzie konieczną kwarantannę i zweryfikuje dyplom. Nastąpi solidna stabilizacja na poziomie amerykańskiej klasy średniej. Poleciał. Potem wieści o nim docierały skąpo. Ktoś go widział. Ktoś z nim rozmawiał. Pracował na budowie jako robotnik. Ale mówił, że to tylko kwestia czasu. Rok, dwa, stanie na nogi. Ljsty, które pisał do matki były konwencjonalne, pozbawione konkretnych wiadomości. Natomiast relacje bezpośrednie nie były optymistyczne. Od picia nie odstąpił. Podobno zasmakował w narkotykach. Ale nie można było tak bardzo wierzyć tym informacjom. Wiadomo, Polacy. Jeden niezyciwy drugiemu. Po siedmiu latach ściągnął córkę. Ona już była po medycynie. Tam zaczęła specjalizację. Ale jej listy do babci nie przekazywały żadnych informacji o ojcu. Mieszkała gdzie indziej, rzadko się widywali. Chyba nie było między nimi

silniejszej więzi. Ktoś z naszego miasteczka wyjechał na „saksy” do USA i zetknął się z Mirkiem przez przypadek. Zmienił się nie do poznania. Stary, zmęczony facet. Poruszał się z trudem. Nie ucieszył się na widok ziomka. Nawet stropił się. Nie pragnął żadnego wspomnienia, sentymentalnego powrotu do źródeł. Gorzko i wściekle narzekał na twarde, nieprzychylne warunki w Stanach. Coś mówił o pechu, złym losie. Upili się obaj dokumentnie i rozstali. Przez te lata, tyle lat, nie mieliśmy żadnych pewnych wiadomości o Mirku. Umarła jego matka. Do dawnych przyjaciół nigdy listów nie pisał. Nikt nie znał jego adresu w Ameryce. Zawiadomienie o śmierci otrzymała wiekowa siostra matki. Życzeniem Mirka było, żeby jego prochy zostały przywiezione do kraju i złożone w grobie rodzinnym. Tak się stało. Czasem myślę o Mirku i zastanawiam się, czy tam w Ameryce, wegetując i topiąc w wódce czy narkotykach gorzyc niepowodzeń, przypominał sobie te piękne, letnie ranki we Włochach, kiedy wychodził na balkon żółtego domku, opierał się o poręcz i wystawiał twarz do wschodzącego słońca. Czy wtedy choć na chwilę życie nadal wydawało mu się nieprzerwanym pasmem przyjemności i miłosnych podbojów?